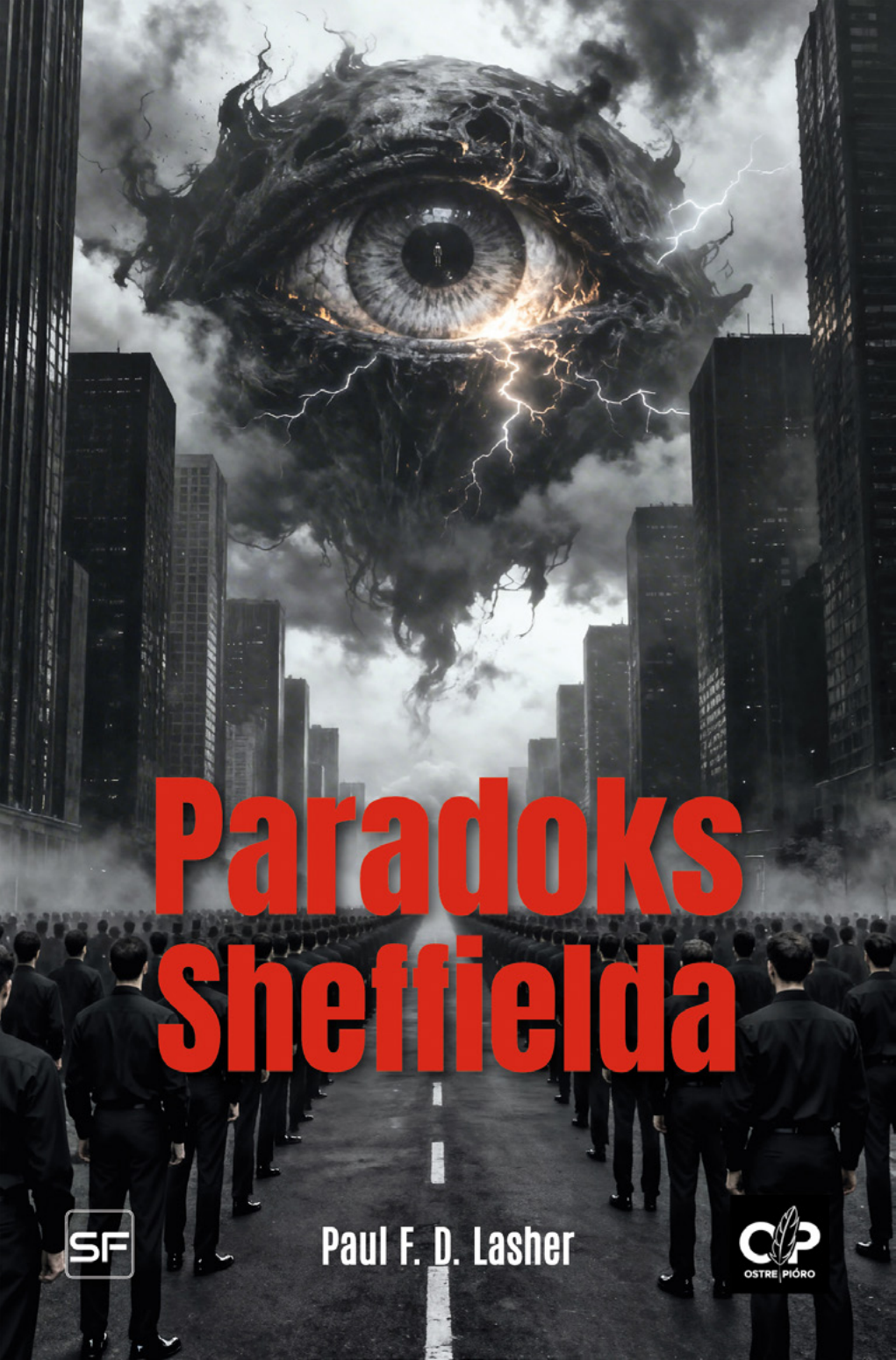




Paradoks Sheffielda

SF

Paul F. D. Lasher

CP
OSTRE PIÓRO

Paradoks Sheffielda

Paul F. D. Lasher

Copyright © Paul F. D. Lasher

Copyright © Ostre Pióro

Wydanie I

Szczecin 2026

ISBN (druk): 978-83-68498-54-7

ISBN (e-book): 978-83-68498-55-4

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Wydawca zezwala na udostępnianie okładki książki w internecie.

Redaktor prowadząca

Monika Całka | www.kropkaispolka.pl

Projekt okładki i stron tytułowych

Katarzyna Seredin-Kolarczyk | www.kaes-seredin.pl

Zdjęcie na okładce, ilustracje

Magnific (Freepik)

Redakcja

Aneta Stawiszyńska-Marciniak

Monika Całka | www.kropkaispolka.pl

Korekta

Magdalena Dziekan | magdadziekan.com

Dagmara Jaszczak-Bartosik

Projekt typograficzny, skład i łamanie

Katarzyna Seredin-Kolarczyk | www.kaes-seredin.pl



Wydawnictwo

Ostre Pióro

www.ostre-pioro.pl

Rozdział 0

Kostki chodnikowe układały się w monotonny wzór. Jego powtarzalność uderzała. Nie było mnie tutaj od ponad roku, ale jak zawsze, gdy tędy szedłem, liczyłem na jakąś zmianę. Nielogiczne, prawda? Bo niby dlaczego miałyby się zmienić sekwencja kostek chodnikowych?

Tak to jest, gdy umysł bez przerwy potrzebuje nowych doznań, czegoś, co odciągnie go od spowszedniałej rzeczywistości i zapewni zastrzyk dopaminy. A mój mózg był żądny neuroprzekaźników wszelakiej maści.

Pochłonięty myślami przeleciałem trzy tysiące kilometrów, by teraz stanąć przed drzwiami kamienicy moich rodziców. Był rok 2089, a to miejsce prezentowało się tak samo, jak dwieście lat temu. Tata dbał o to, by w wyglądzie naszego domu nic się nie zmieniało. Pozwalał tylko na drobne remonty. Kiedyś mnie to dziwiło. Nie podzielałem niechęci ojca do zmian, pociągała mnie nowoczesna opływowa architektura. Dziś już rozumiałem. Dzięki temu, że dom się nie zmieniał, wspomnienia z nim związane również pozostawały żywe.

– Cześć, tato – powiedziałem, rozglądając się po salonie. Byliśmy sami, ja i mój ciężko chory ojciec. – Gdzie mama?

– Poszła na zakupy. Siadaj. – Wskazał fotel w kącie pokoju.

Nawet ten mebel przywoływał obrazy z przeszłości. To z niego Mikołaj rozdawał prezenty. To na tym fotelu ojciec przyłał mi kiedyś pasem, próbując okiełznać nastolatka targanego burzą hormonów.

Usiadłem.

– Jak się czujesz? – zapytałem.

– A jak mam się czuć? Umieram. A mój syn... – Wypowiedź taty przerwał charczący kaszel. – A mój syn udaje, że nie wie, co należy zrobić – zakończył, patrząc mi prosto w oczy.

– Właśnie po to przyszedłem. Podjąłem decyzję.

Tata podniósł się do pozycji siedzącej o własnych siłach, nie korzystając z mechanizmów, w które wyposażone było łóżko.

– No więc, słucham, Bane. Jaka jest twoja decyzja?

Bane? Nie pamiętałem, kiedy ostatni raz zwrócił się do mnie w ten sposób. Moje imię wypowiedziane na głos mogło oznaczać tylko jedno: robiło się poważnie.

– Dołączę do programu SALUS. Oddam się im, bo tak trzeba – odpowiedziałem głosem pozbawionym emocji.

– Tak! – krzyknął tata, zakaszał i bez sił osunął się na łóżko. – Bóg dał ci coś, czego nie dał innym. Tak. – Popatrzył mi prosto w oczy. – Tak należy zrobić, synu.

Już chciałem powiedzieć, żeby Boga w to nie mieszał, ale wtedy dostrzegłem, że po jego policzku spływa łza. Mój tata płakał. Płakał ze szczęścia na wieść o tym, że jego syn będzie cierpiał z powodu podjęcia decyzji niezgodnej z jego przekonaniami. Pomyślałem nawet, żeby podejść i go przytulić, lecz ostatecznie nie ruszyłem się z miejsca. Tata pogardzał

ludźmi, którzy uzewnętrzniali swoje emocje. Gdybym okazał mu współczucie, czułby się poniżony.

Zgrzytnęła klamka.

– Bane! – Mama wpadła mi w ramiona. – Kiedy przyleciałeś? Co u cie... – urwała na widok taty, a jej twarz w sekundzie pobladła.

W jej oczach pojawił się strach. Strach przed odpowiedzią na pytanie, które miała zadać.

– Synu, co ty zrobiłeś? – Po jej policzkach popłynęły łzy. – Co ty zrobiłeś?! – krzyknęła, upuszczając klucze. – Chcesz się im oddać? Zostać królikiem doświadczalnym? Chcesz stracić nasze ostatnie wspólne lata? Dlaczego?

Usiadła przy stole. Ukryła twarz w dłoniach i rozszlochała się.

– Bo tak trzeba, mamo. Nie wiń za to taty. Ja naprawdę dostrzegam w tym głębszy sens. Mogę... Mamo! – podniosłem głos, widząc, że nic do niej nie dociera. – Nie chcę żegnać się z wami w ten sposób, proszę... – dodałem ciszej.

Mama otarła łzy, wstała i przytuliła mnie z całych sił.

– Kocham cię, Bane. Pamiętaj o tym – wyszeptała, nie wypuszczając mnie z objęć.

Tego właśnie potrzebowałem. Takiego pożegnania.

Mama jeszcze raz przetarła oczy i usiadła na łóżku obok taty.

– Napisz mi, proszę, kiedy, gdzie... Podobno możemy tam być, pożegnać się przed... – Jej głos znów się załamał.

– Oczywiście. Dam wam znać – odpowiedziałem, dobrze wiedząc, że tego nie zrobię.

To było nasze pożegnanie. Innego nie będzie.

Rozdział 0.1

Nie jestem taki jak inni

Nazywam się Bane Warner. Urodziłem się w roku 2058. Mam trzydzieści jeden lat i jestem wyjątkowy. Wiedziałem o tym już w podstawówce.

Młodość spędziłem w małym miasteczku, w którym przez co najmniej trzy miesiące w roku panowała prawdziwa zima. Ujemne temperatury i metrowe zaspy śniegu były czymś normalnym. Wszyscy chodzili opatuleni po uszy, a ja nie marzłem. Ciepło jakby mnie nie opuszczało. Nawet przy minus dwudziestu stopniach. Wbrew obawom mamy, nie chorowałem i nie odmrażałem sobie uszu. Myślę, że rodzice już wtedy czuli, że różnię się od innych dzieci, ale dopiero gdy poszedłem do liceum, ich zainteresowanie moją odmiennością przerodziło się w prawdziwe pytania.

Zimowe popołudnia spędzałem nad zamrożonym jeziorem. Czasem jeździłem na łyżwach, innym razem po prostu chodziłem po lodzie, obserwując wzory rysujące się pod butami. Pewnego dnia tafla nieoczekiwanie pękła, a ja z krzykiem wpadłem do wody. Byłem przerażony. Próbowałem wydostać się na powierzchnię, ale za każdym razem, gdy tylko trochę

się podciągnąłem, lód załamywał się pod moim ciężarem. Po kilku nieudanych próbach niespodziewanie się uspokoiłem. Wtedy zauważyłem, że w jednym miejscu tafla jest cieńsza i zrozumiałem. Skoro nie mogę po niej przejść, to się przez nią przebiję. Zacząłem rozbijać lód własnym ciałem, przesuając się powoli w kierunku brzegu. Pokonałem tak kilkadziesiąt metrów. Wyszedłem z wody, wróciłem do domu i opowiedziałem rodzicom o tym, co się wydarzyło. Nie uwierzyli mi, pomimo tego, że byłem przemoczony do suchej nitki. Gdy ściągałem mokre ubrania, do salonu wpadł, dysząc – jakby przebiegł maraton – nasz niemy sąsiad. Do dziś pamiętam słowa mamy tłumaczące energiczne gesty mężczyzny.

– Widziałem, jak wasz syn wpadł do jeziora, przedarł się przez lód do brzegu i jak gdyby nigdy nic wrócił do domu. Woda ma dziś dwa stopnie. Sprawdzałem rano.

Rodzice zamarli, patrząc to na mnie, to na sąsiada. Mama pobladła i zasłoniła usta dłonią. Tata tylko pokręcił głową, jakby próbował zrozumieć, jak to w ogóle możliwe.

Gdy rozpocząłem studia, moje niezwykle umiejętności zaczęły przyciągać ludzi, którzy starali się zrozumieć, co tak naprawdę się ze mną dzieje. Zostałem poddany dziesiątkom przeróżnych testów genetycznych, setkom badań w najbardziej zaawansowanych placówkach medycznych na całym świecie.

Okazało się, że... jestem normalny. Zgodnie z opinią profesorów medycyny jedynym organem, który zachowywał się nieszablonowo, był mój mózg. To w nim tkwiło wyjaśnienie tajemnicy ciepłych dłoni, pływania w lodowatej wodzie czy niesamowitej szybkości przyswajania nowych informacji. W odróżnieniu od innych ludzi, miałem ogromny wpływ na procesy zachodzące w moim organizmie. Potrafiłem pokonać

schematy i wypracowane w procesie ewolucji reakcje. Zaintrygowani naukowcy nie poprzestali jednak na diagnozie i dalej szukali przyczyny mojej wyjątkowości.

Pod kierownictwem znanego neurobiologa, profesora Josepha Kaspera, przeprowadzili zakrojone na szeroką skalę badania nad zdolnością umysłu do adaptacji, do zmiany schematów i procesów myślowych, czyli badania nad elastycznością umysłu. Ten sam zespół naukowców opracował testy „przezierności w odpowiedzi na bodźce” oraz zaawansowane analizy biochemiczne, które pozwalały z wysokim prawdopodobieństwem określić, czy dana osoba wykazuje anomalną neuroplastyczność. Gdy wyniki badań zostały opublikowane w czasopismach naukowych, natychmiast rozpoczęto testy i analizy. To wtedy się okazało, że nie jestem jedyny. Na całym świecie istniały jeszcze dwie osoby – mężczyzna i kobieta – o zdolnościach podobnych do moich. Nazwano nas elastami. Ponieważ byłem pierwszym zidentyfikowanym przypadkiem, to na mnie skupiła się cała uwaga. Może to i lepiej – zwłaszcza dla pozostałej dwójki, gdyż, jak się później okazało, zainteresowanie naukowców było nie tyle przywilejem, co ciężarem.

A teraz cofnijmy się do wydarzeń, które sprawiły, że świat nauki zwrócił na mnie swoją uwagę.

Rozdział 0.2

1 października 2088 – 41. Kongres Solvaya



Źródło: piqueshow.com | pastincolour

Kongresy Solvaya były konferencjami naukowymi koncentrującymi się na kluczowych problemach w dziedzinie nauk podstawowych. Najśłynniejszym był kongres piąty, który odbył się w październiku 1927 roku pod hasłem „Elektrony i fotony”.

Wówczas dyskutowana była teoria kwantowa. W gronie uczestników tego wydarzenia znalazły się takie osobistości jak: Albert Einstein, Niels Bohr, Werner Heisenberg, Erwin Schrödinger, Max Planck i Maria Skłodowska-Curie. Zdjęcie z piątego kongresu do dzisiaj jest symbolem potęgi ludzkiego umysłu.

Podobno to wtedy Einstein, rozczarowany zasadą nieoznaczoności Heisenberga, miał wymyślić słynne zdanie: „Bóg nie gra w kości”, na co Niels Bohr miał odpowiedzieć: „Einstein, przestań mówić Bogu, co ma robić”.

Drugim sławnym kongresem Solvaya był kongres trzydziesty siódmy, który odbył się w październiku 2047 roku. Doktor precyzyjnych nauk jądrowych Ernest Ektofaga zaprezentował na nim nowatorski proces rozszczepienia jądra atomu oparty na efektach kwantowych, co doprowadziło do niebywalej wręcz miniaturyzacji reaktorów atomowych. Pomimo silnego sprzeciwu koncernów korzystających z odnawialnych źródeł energii, miała nadejść nowa rewolucja atomowa.

I wreszcie kongres z roku 2088, który poza osobistościami świata fizyki przyciągnął szerokie grono darwinistów oraz biologów molekularnych, na czele z profesorem Josephem Kasperem, twórcą teorii elastyczności umysłu.

Sala Międzynarodowego Instytutu Solvaya w Brukseli pękała w szwach. Był to pierwszy kongres, na którym oczy wszystkich nie były skupione na wybitnych profesorach, lecz na magistrze mechaniki – pierwszym naukowo potwierdzonym elaście. Na mnie.

Po krótkim wstępie na specjalne podwyższenie, przez niektórych nazywane trybuną, wszedł profesor Kasper – krótko ostrzyżony mężczyzna średniego wzrostu, około sześćdziesiątki.

Znałem go dość dobrze, chociaż on sam zawsze powtarzał, że wiem o nim tylko tyle, ile powinienem wiedzieć.

– Szanowni państwo – zaczął profesor. – Dziękuję za zaufanie i wyznaczenie mnie na przewodniczącego kongresu. – Rozejrzał się po sali. – Nieskromnie dodam, że to, czym się z państwem podzielę, jest przełomem w zrozumieniu natury elastów. – Po tych słowach oczy wszystkich skupiły się na mnie. – Elastów nazywanych, całkowicie błędnie, nowym gantunkiem. Wraz z doktorem Michaeliem Fritschem uważamy, że elasti są kolejnym etapem ewolucji. Etapem, w którym człowiek przejmuje pełną kontrolę nad pozornie stałymi i uporządkowanymi procesami zachodzącymi w ludzkim organizmie. Etapem, w którym doświadcza pełnego poznania. Panie doktorze...

Profesor zszedł z trybuny, a z pierwszego rzędu siedzeń podniósł się doktor Michael Fritsch, wysoki i chudy wykładowca z mało znanego uniwersytetu w Arizonie. Gdy wchodził na podwyższenie, generatory fotonowe rzuciły na niego snop światła. Fritsch się skrzywił. Mało kto wiedział, że doktor cierpi na światłowstręt i nosi soczewki przyciemniające lub rozjaśniające obraz. Gdy jednak światło zmieniało się zbyt gwałtownie, soczewki nie nadążały, wywołując na jego twarzy grymas bólu.

Ja też się skrzywiłem, ale z innego powodu. Po prostu go nie lubiłem.

– Drodzy państwo – zaczął Fritsch, gdy za jego plecami wyświetlono pierwszy slajd prezentacji. – W ciągu ostatnich dwóch lat przeprowadziliśmy badania, które miały przybliżyć nas do zrozumienia natury elastów. W doświadczeniu pierwszym obiekt poddany został promieniowaniu kancerogennemu. W drugim – na ekranie pojawił się następny slajd – chcieliśmy

sprawdzić funkcje poznawcze elastów oraz ich hipotetyczne zdolności do zapamiętywania pozazmysłowego.

Cofnąłem się pamięcią do obu tych eksperymentów. Pierwszy miał miejsce dwa lata temu.



Od tygodnia przebywałem w szpitalu w Cannes. Utrzymany w jasnych kolorach budynek kliniki wyróżniał się minimalistyczną architekturą z dużymi przeszkleniami, wpuszczającymi do środka mnóstwo światła. Wewnątrz było sterylnie czysto, a powietrze pachniało mieszanką środków dezynfekujących i soli morskiej przynoszonej przez bryzę. W wyjątkowo przestronnej sali, w której przebywałem, rozmieszczono kamery monitorujące każdy mój ruch. Od tygodnia przeprowadzaliśmy proces adaptacji. Mówiąc wprost, uczyłem mózg tego, jak ma się zachować w określonych sytuacjach.

Do pomieszczenia wszedł Doktor Fritsch.

– Gdy pojawią się pierwsze komórki rakowe, niczego pan nie poczuje – powiedział, stając naprzeciw mnie. – Nie potrafimy jeszcze wyleczyć każdego nowotworu, ale potrafimy go bardzo szybko stworzyć. W ciągu kilku dni osiągamy to, co w naturze trwa lata, gdy rak ewoluuje i uczy się oszukiwać układ odpornościowy. Przechodzimy bezpośrednio z fazy początkowej do rozrostu guza nowotworowego. – Fritsch popatrzył mi prosto w oczy. – Organizm nie reaguje, nie niszczy tych mutacji, ponieważ uznaje je za część siebie. Choć wiemy, że tak nie jest, nie możemy nic zrobić. Nie możemy wskazać miejsca objętego chorobą i nakazać limfocytom, by się do niego dobrały. Nie możemy my, zwykli ludzie.

Do sali wszedł asystent Fritscha.

– Panie doktorze, są najnowsze wyniki. Potwierdzają, że pierwsze komórki nowotworowe już się namnażają. Brak reakcji ze strony układu immunologicznego. Daje nam to pięciodniowe okno dla pacjenta. Po tym czasie będziemy musieli przerwać eksperyment.

– Co to znaczy? – zapytałem, spoglądając na Fritscha.

– To znaczy, że jeżeli w ciągu tych pięciu dni nie zmieni pan biegu wydarzeń, użyjemy precyzyjnego lasera, aby wypalić zmutowane komórki i zapobiec przerzutom – odpowiedział z poważną miną doktor. – Zaczniemy ostatni etap adaptacji.

Jak miałem zmienić bieg wydarzeń? To było coś więcej niż ogrzanie rąk. Potrzebowałem szczegółowej wiedzy, aby uelastycznąć mózg i wywołać pożądaną reakcję organizmu.

Zaczęła się więc nauka.

Najpierw suche fakty o chorobie. Godziny wykładów. Później setki zdjęć zmutowanych komórek oraz ciał pozbawionych narządów – drastycznych dowodów na to, jakie spustoszenie sieje nowotwór. A to wszystko po to, by wywołać we mnie emocje niezbędne w procesie uelastyczniania mózgu. Zasada była prosta: albo powolna adaptacja i stopniowe rezultaty, tak jak w przypadku zziębniętych rąk, albo silne emocje i szybkie efekty, tak jak w przypadku kąpieli w lodowatym jeziorze.

Końcowy etap adaptacji sprowadzał się do wskazania mi miejsca, w którym rozwija się nowotwór oraz do pokazywania obrazów guza. Co godzinę dostarczano mi komunikaty typu „nowotwór złośliwy, zagrożenie życia”. Były też nagrania, żebym mógł zobaczyć, jak szybko rośnie. Później otrzymywałem wyniki badań zestawione ze zdjęciami chorych, którym nie udało się przeżyć, i tak w kółko. Zawsze ten sam schemat:

dane, fakty, informacje, a następnie bodźce mające wywołać określone emocje.

Następnego dnia niebieska plama w moim lewym płucu nadal dynamicznie się powiększała.

Adaptacja odbywała się w szpitalu, w którym zapewniono mi niewielki, nowoczesnie urządzony apartament. Co godzinę udawałem się na serię szybkich, ustandaryzowanych badań. Trzeciego dnia odwiedził mnie doktor Fritsch. Jego biały kitel zupełnie nie pasował do wystroju salonu. Mężczyzna usiadł na kanapie i odłożył tablet na stolik.

– Nic, panie Warner. Nawet jednego limfocytu T. Pański organizm nie reaguje. Nic się nie zmienia oprócz ciągłego rozrostu komórek rakowych. Jak tak dalej pójdzie, będziemy musieli położyć pana na stole – powiedział.

– Robię, co mogę – zapewniłem. – Bez przerwy myślę o nowotworze i o tym, co powinno się wydarzyć. Tak mnie to pochłania, że niekiedy tracę kontakt z rzeczywistością i nagle się orientuję, że jestem w innym pomieszczeniu niż wcześniej.

– Wiem. – Fritsch uniósł rękę. – To nie pana wina. Być może postawiliśmy poprzeczkę odrobinę za wysoko. Proszę dać z siebie wszystko, panie Warner. – Wstał. – Na tablecie znajdzie pan najnowsze zdjęcia nowotworu. Rośnie szybciej, niż przewidywaliśmy. Jutro po południu wypalimy komórki rakowe. Nie mamy już czasu – rzucił na zakończenie i wyszedł.

Popatrzyłem na zdjęcia. Plama zmieniła kolor z jasno- na ciemnoniebieski, nabierając złowieszczego wyglądu. *Może to dobrze*, pomyślałem. Pomimo całkowitego oddania sprawie byłem już tym wszystkim zmęczony. Chciałem wrócić do domu i chociaż przez kilka dni pożyć normalnie. Zazdrościłem innym elastom anonimowości. Dawła im szansę na zwyczajne życie.

Nazajutrz, gdy wszedłem do sali zabiegowej, przywitały mnie ponure miny personelu. Dostali zdjęcia z ostatniego badania. Plama oznaczająca nowotwór stała się czarna i niemal dwa razy większa niż ta na prześwietleniach z wczoraj. Wszyscy byli zawiedzeni, łącznie ze mną. Wtedy do sali wpadł zdenerwowany doktor Fritsch.

– Nie mamy czasu – powiedział zdecydowanym tonem. – Proszę przygotować pacjenta do zabiegu. Zaczynamy natychmiast!

– Zaraz, zaraz! Co się dzieje? – zapytałem nerwowo.

– Zmiany zachodzą zbyt szybko, panie Warner – wyjaśnił pełnym napięcia głosem Fritsch. – Nie możemy dłużej czekać. Nasze algorytmy tego nie przewidywały.

Mina mi zrzedła. Odpląnąłem na kilka sekund, podczas których przed oczami pojawiły mi się nagłówki serwisów informacyjnych: „Elasta zmarł podczas eksperymentu” czy „Nie podołał zadaniu – ewolucja zawiodła”. Pomyślałem o rodzicach... Sekundę później byłem już spokojny. Przecież oni, ci wszyscy lekarze, wiedzą, co robią...

– Rozumiem, proszę zatem działać – odparłem.

Fritsch wpatrywał się we mnie bez słowa. Wyglądał, jakby nie takiej odpowiedzi się spodziewał. Mimo to skinął głową i wyszedł.

Zabieg trwał pięć godzin, wybudzenie z narkozy – piętnaście minut. Gdy otworzyłem oczy, widziałem jak przez mgłę. Po chwili ostrość wzroku wróciła. Nad moją klatką piersiową wisiał jakiś przyrząd, zapewne do bezinwazyjnej biopsji. Wyglądał tak samo jak ten, który wcześniej wypływał zdjęcia tego, co we mnie rośło. Powoli odzyskiwałem pełną zdolność widzenia. Rozejrzałem się.

– Tata? Co ty tu robisz?

Na krześle w rogu sali siedział mój ojciec. Miał ponurą minę, ale to akurat w jego przypadku mogło kompletnie nic nie znaczyć. Milczał. Spojrzał tylko pytająco na kogoś, kto stał przy łóżku z mojej lewej strony. Z dużym wysiłkiem odwróciłem głowę. To był Fritsch. Od razu wyczułem, że coś jest nie tak.

– Panie Warner, zabieg trwał godzinę dłużej, niż planowaliśmy... – zaczął roztrzęsiony naukowiec. – Nie udało się nam usunąć wszystkich komórek – dokończył łamiącym się głosem.

– Nie udało się? O czym pan mówi?! – Miałem nadzieję, że się przesłyszałem. Kręciło mi się w głowie.

– Ja za to odpowiadam, panie Warner. Rak rozwija się tak szybko, że nic nie możemy zrobić... Podejrzewamy, że zawiódł algorytm dozujący. Bardzo mi przykro. Zostało panu kilka miesięcy życia. Musimy...

Reszty nie usłyszałem. Miałem przed oczami mamę ogładającą moją powolną agonię, tatę, którego wyjątkowy syn zamienia się w wyjątkowe warzywo, a później umiera. Jak mogli się tak pomylić?! Jak?! Minęło kilka sekund, zanim wróciłem do rzeczywistości.

Ku mojemu zdziwieniu sytuacja zmieniła się diametralnie. Fritsch stał uśmiechnięty, a tata kiwał głową z uznaniem.

– No i po wszystkim – powiedział doktor i się wyszczerzył.

– Co? O czym pan mówi? – zapytałem skołowany.

– Nie było żadnego zabiegu, panie Warner. – Fritsch wyglądał tak, jakby właśnie wyszedł z łazienki po relaksującej kąpieli. – Uśpiliśmy pana na kilka godzin, nawet nie przewieźliśmy pana do sali zabiegowej, leżał pan tutaj przez cały czas.

– Co... Ale mówił pan, że rak...

– Tak, wiem, co mówiłem. Przepraszam za to. Musieliśmy uciec się do pewnego fortelu. Chyba nie sądził pan, że możemy ograniczyć adaptację do zdjęć? – Fritsch podszedł do mojego taty. – Potrzebowaliśmy wsparcia. To musiało wyglądać naturalnie, a pan miał uwierzyć, że to naprawdę koniec. Emocje musiały być autentyczne, panie Warner. Nawet wstrzyknąłem sobie adrenalinę, żeby sprawiać wrażenie zdenerwowanego – dodał z szerokim uśmiechem.

Spojrzałem na tatę, nie wyglądał na przepełnionego poczuciem winy. Siedział i patrzył na mnie tak, jakby nic się nie stało.

– Czyli te zdjęcia zostały sfabrykowane? Oszukaliście mnie?

– Zdjęcia były prawdziwe. Co więcej, komórki rzeczywiście namnażały się szybciej niż zakładaliśmy. Dlatego musieliśmy przesunąć eksperyment o jeden dzień.

– Wy skur... – urwałem z szacunku do ojca. – Jak mogliście?! Tato, a ty? Jak mogłeś mi zrobić coś takiego?!

– Uznałem, że tak trzeba, Bane. Popatrz, czego dzięki temu dokonałeś – odpowiedział spokojnym głosem.

W tym momencie doktor Fritsch odwrócił w moją stronę biomonitor.

– Musieliśmy widzieć każdą milisekundę. – Postukał w ekran. – To są ujęcia nowotworu z pierwszych sekund po pana przebudzeniu. Udało się je zrobić dzięki temu urządzeniu. – Wskazał szary kloz wiszący na wysokości mojej klatki piersiowej.

Na ekranie widniała czarna plama. Zajmowała połowę jego powierzchni, co oznaczało, że rak jeszcze się rozrósł.

Fritsch stuknął w panel.

– A to są ujęcia z chwili, gdy poinformowaliśmy pana o błędzie w algorytmie i o przerzutach.

Czarna plama nadal tam była, tym razem jednak pojawiły się też jasnoniebieskie obiekty, małe kulki, które wniknęły w nią, przerywając niewidzialną barierę. Limfocyty T pochłaniały raka w takim tempie, że chwilę później na ekranie nie zostało nic. Fritsch odsunął monitor.

– Panie Warner. Na naszych oczach w ciągu kilku sekund zmusił pan swój organizm do zaatakowania komórek, które wcześniej uznawał on za swoje. Pozbył się pan nowotworu złośliwego w dokładnie pięć i pół sekundy! – oznajmił podniekształconym głosem.

– Jestem z ciebie dumny, synu – dodał tata.

Ja jednak myślami znowu byłem gdzie indziej.

Współpracowałem, angażowałem się w pełni, zgadzałem się na wszystko, a oni i tak mnie oszukali. Wykorzystali moje zaufanie, manipulowali mną. Ale mimo to... rozumiałem ich. Czy mieli wybór? Czy bez kłamstw i półprawd udałooby się osiągnąć cel? A może to ja powinienem był postarać się bardziej...

– Trudno mi przełknąć to, co się stało. Ale wybaczam ci, tato. Widzę, że udajesz spokój, choć dobrze wiem, ile cię to kosztuje – powiedziałem.

Przeniosłem wzrok na Fritscha.

– Natomiast panu gwarantuję, że to ostatni eksperyment, jaki pan na mnie przeprowadził.



W sali instytutu Solvaya zapadła cisza. Wszyscy uczestnicy Kongresu wpatrywali się we mnie. Oczywiście doktor Fritsch w prezentacji nie wspomniał o mojej reakcji na podstęp, skupił się na swoich niezaprzeczalnych zasługach. Mimo to

eksperyment opisał doskonale. Czuć było pasję, oddanie sprawie i emocje. Wiedział, że nazwisko Fritsch zapisze się na kartach historii już na zawsze. W atmosferze triumfu naukowiec zszedł z podwyższenia, a jego miejsce zajął profesor Kasper, by przedstawić drugi eksperyment.

Ponownie cofnąłem się myślami do tamtych wydarzeń.



Profesor notował coś w zeszycie. Mimo zaawansowanej technologii wciąż lubił tradycyjne metody. Ja przyciskałem wacik do przedramienia, tamując krew po trzecim już dzisiaj wkłuciu.

– Widzisz, Bane – odezwał się, nie odrywając wzroku od zapisków. – Dotarcie do tego etapu, w którym obecnie się znajdujemy, a właściwie, w którym ja się znajduję, zajęło ewolucji ponad dwadzieścia milionów lat.

Kasper podniósł zeszyt bliżej światła, tak jakby nie mógł odczytać własnego pisma.

– Potrzeba było wielu stuleci, byśmy nauczyli się chodzić w pozycji wyprostowanej. Miliony lat zajęło naszym organizmom wykształcenie większego i wydajniejszego mózgu.

Profesor wstał i podszedł do szafki z ampułkami w różnych kolorach.

– Mózgi tak nam urosły, zwiększając rozmiar czaszek, że rodzenie dzieci stało się problematyczne. – Naukowiec wodził oczami po półkach, nie przestając mówić: – Ewolucja pozostawiła więc noworodkom ciemiaczko. Dzięki niemu czaszka dziecka nie jest sztywno zrośnięta. Kości mogą się z łatwością poruszać względem siebie, a taka elastyczność jest niezwykle ważna podczas naturalnego porodu.

Kasper wyciągnął z szafy niebieską fiolkę i wrócił do biurka.

– Miliony lat, Bane. Miliony lat – mruknął, zamknął zeszyt i odwrócił się w moją stronę. – Darwiński spierali się od bardzo dawna, jakie jeszcze zmiany biologiczne mogą zajść w ciele człowieka, ale żaden z wielkich panów profesorów nie przewidywał ciebie. Nikt. I trudno się dziwić, patrząc na dane, którymi dysponowaliśmy do czasu odkrycia elastów. Dane wskazujące, że na poważne zmiany fizjonomiczne i strukturalne ewolucja potrzebuje wspomnianych milionów lat. Jesteś wyjątkowy, Bane. – Kasper wyciągnął palec wskazujący i stuknął mnie w czoło. – I wygląda na to, że takich jak ty jest niewiele. Proszę. – Profesor wręczył mi zeszyt. – Przygotowałem dla ciebie krótki tekst o dziedziczeniu genów. Jak szybko się tego nauczysz?

– Przecież pan wie. Wystarczy, że spojrzę.

W tym zakresie mój mózg jest elastyczny, odkąd sięgam pamięcią. Potrafię przyswajać wiedzę wręcz automatycznie. Mózg w jednej chwili zamienia wszystkie litery i wyrazy w zbiór pojęć i obrazów, który trafia bezpośrednio do pamięci.

– Sprawdź – odpowiedział z uśmiechem.

Niechętnie wziąłem zeszyt. Otworzyłem na zaznaczonej stronie i zacząłem czytać.

– Co jest...? – Z zaskoczeniem odkryłem, że muszę, jak normalny człowiek, czytać każdy wyraz.

Spróbowałem na głos, jakby miało to coś zmienić.

– „Na skutek wziernej regulacji ekspresji genów reakcyjnych, od pięćdziesięciu czterech do sześćdziesięciu procent aktywnych alleli pochodzi od ojca”. Co się dzieje? – zapytałem, spoglądając z dezorientacją na profesora.

– Potrafisz automatycznie zapamiętywać tylko to, co jest ci znane, Bane – odpowiedział.

Sięgnął po zeszyt, nabazgrał w nim coś i mi go oddał.

Tym razem to samo zdanie w ciągu milisekundy trafiło wprost do mojego ośrodka pamięci długotrwałej. Chociaż nie, nie to samo.

– „Na skutek regulacji ekspresji genów od pięćdziesięciu czterech do sześćdziesięciu procent aktywnych alleli pochodzi od ojca”. Cholera! Co się właśnie stało?

– Adaptacja. Gdy tylko odsetek nieznanych ci słów w danym zbiorze przekracza pewną granicę, musisz adaptować się od nowa. Tak jak przewidziałem. To dowodzi tego, że elastiści nie zapisują w pamięci ciągu pojęć, wyrazów, lecz samo zrozumienie. Żeby, jak to mówisz, „automatycznie przyswoić treść”, musisz ją najpierw zrozumieć. – Profesor podrapał się po głowie. – Powiem więcej. Gdyby w tym pierwszym zdaniu znalazło się wytłumaczenie słów, których wcześniej nie znałeś, wtedy wszystko w ciągu milisekund trafiłoby do twojej pamięci! A to dopiero początek.



Przez tydzień, z lepszymi lub gorszymi wynikami, potwierdzaliśmy założenia teoretyczne profesora. Kasper nie widział świata poza mną i swoimi badaniami. Żona z córką odeszła od niego już trzy lata temu, czym zresztą specjalnie się nie przejął. Kiedyś, po niemałej dawce alkoholu, wyjawiał mi nawet, że odetchnął z ulgą, gdy to się stało, bo wreszcie mógł się skupić na tym, co naprawdę ważne. Specyficzny człowiek.

Pod koniec trzeciego tygodnia prób przeszliśmy do drugiego etapu – właściwego zapamiętywania pozazmysłowego. Wtedy to określenie nic dla mnie nie znaczyło. Nie wiedziałem jeszcze,

że to, co miało nastąpić, na zawsze zmieni moje postrzeganie rzeczywistości.

Byliśmy w jednej ze szpitalnych sal. Na środku znajdował się metalowy stół oraz dwa krzesła. Kasper usiadł i z kieszeni lekarskiego kitla wyciągnął składany tablet. Rozłożył go i wskazał otwartą dłońią na drugie krzesło. Usiadłem.

– Dziecko uczy się na różne sposoby – zaczął. – Zazwyczaj musi dotknąć, obejrzeć, powąchać, posmakować. Dorosły, by poznawać to, co nowe, używa przeważnie dwóch zmysłów: wzroku oraz słuchu. Rzadziej korzysta z dotyku, prawie w ogóle ze smaku i węchu.

Kasper postukał w tablet, po czym odwrócił ekran w moją stronę. Zobaczyłem napis: „Każdy organizm potrzebuje bodźców”.

– Zamknij oczy i połóż dłón na stole – polecił.

Zrobiłem, jak prosił. Coś stuknęło i po chwili poczułem pod palcami wypukły kawałek papieru o wysokiej gramaturze.

– Rusz dłónią – dodał.

Kilka centymetrów w prawo wyczułem małe wypustki. Przejechałem po nich palcem wskazującym. To było to samo zdanie zapisane alfabetem Braille’a.

– Otwórz oczy i popatrz na tablet – kontynuował profesor. Wykonałem polecenie.

„01001110 011...”.

Tym razem zdanie było zapisane w systemie binarnym.

– A teraz wyobraź sobie, że zero to zapach rosołu, a jeden to zapach siarki. – Kasper położył tablet na stole. – Wyobraź sobie, że zero to smak jabłka, a jeden kawy. Albo że wszystko, co gorzkie i słodkie, to zero, a słone i kwaśne, to jeden. Albo...

– Panie profesorze, dopłyniemy do brzegu? Rozumiem. W ten sposób można zakodować każdą informację.

– Poczekaj, Bane. Cierpliwości. – Naukowiec się uśmiechnął. – Są na świecie ludzie, którzy poprzez węch czują smak, słyszą kolory czy smakują dźwięk. To synesteci¹. Ja chciałbym pójść o krok dalej. Z tobą. Chciałbym, żebyś potrafił przyswoić tyśiące linijek kodu binarnego w sekundę.

Profesor Kasper sięgnął do kieszeni, po czym położył na stole ampulkę z niebieskim płynem.

– To jest binaryt – powiedział z takim triumfem w głosie, jakby miał za to dostać Nagrodę Nobla.

Po chwili niezręcznej ciszy zapytałem:

– Binaryt?

– Substancja złożona z dwóch rodzajów wzajemnie nieoddziałujących molekuł. – Był tak podekscytowany, że na jego twarzy pojawiły się wypieki. – Nieoddziałujących, ale połączonych ze sobą na stałe wiązaniami chemicznymi. Molekuł, które nie występują nigdzie na świecie, w żadnym znanym organizmie. Na tyle dużych, że możemy uporządkować je szeregowo, oraz na tyle małych i obojętnych chemicznie, że sto procent z nich pokonuje barierę krew-mózg.

Wtedy zrozumiałem. Zrozumiałem, po co był ten cały wstęp o kodzie binarnym, smakach i zapachach. Binaryt miał posłużyć do przekazania mi informacji z pominięciem zmysłów. Dlatego Kasper nazwał ten proces zapamiętywaniem pozazmysłowym. Coś musiałoby dozować do mojego krwioobiegu poszczególne molekuły binarytu. Jedne oznaczałyby zera, drugie – jedynki. A ja miałem zaadaptować mózg, uelastyczyć go tak, by każdą

1 Synestezja – zdolność, dzięki której doświadczenia jednego zmysłu (np. słuchu, wzroku) wywołują jednocześnie wrażenia charakterystyczne dla innych zmysłów. Na przykład czerwony kolor może wywoływać uczucie ciepła, a cyfra cztery budzi skojarzenie z kolorem zielonym.

cząstkę, każdą z tych molekuł, przetwarzał wprost na informację, kodując ją w pamięci.

– Panie profesorze. Jest pan... – wykrztusiłem. – Jak pan na to wpadł?

– Mówiłem ci kiedyś, Bane, że nie potrafię myśleć o niczym innym.

Koncept, że wiedzę można podać w zastrzyku, wywołał we mnie euforię. Szybko jednak ustąpiła ona miejsca pytaniu, które nagle pojawiło się w mojej głowie: *A co, jeżeli ktoś pozna tajniki tego procesu i wykorzysta go przeciwko mnie?*

Profesor musiał zauważyć nagłą zmianę mojego nastroju.

– Ty będziesz otwierał i zamykał drzwi – powiedział z powagą w głosie. – Nauczysz się sekwencji zer i jedynek kontrolujących transmisję. Tylko ty będziesz ją znał. Pierwsza i ostatnia dawka binarytu staną się twoimi komendami: otwierającą i zamykającą. Jeżeli jednak tak zdecydujesz, już drugą dawką będziesz mógł przerwać transmisję.



Przez kolejne tygodnie ćwiczyliśmy. Adaptowałem mózg tak, by przekształcał cząstki binarytu na symbole i ich znaczenia. Starannie uczyłem się języka binarnego. Po każdej nowej dawce wiedzy dozowaliśmy mikrodawkę cudownego wynalazku, które miały mnie nakierować na właściwą adaptację. Zaangażowałem się całym sobą. Chciałem, żeby to się udało. Marzyłem, by fikcja stała się rzeczywistością. Gdzieś w środku czułem, że to właściwa droga.

Po dwóch miesiącach nadszedł czas próby. W sali szpitalnej nie było nikogo. Jedynie ja i Kasper. Tylko do niego miałem pełne zaufanie. Podłączona do mnie aparatura mrugała i pikała

na wszelkie możliwe sposoby. Profesor w ciszy analizował setki parametrów określających mój aktualny stan. Z pewnością chciał się upewnić, że wszystko przebiega prawidłowo. Był przygotowany na każdą okoliczność. Za ścianą czekał zespół niczego nieświadomych medyków, których profesor ściągnął pod pretekstem analizy trudnego przypadku klinicznego – pacjenta z rakiem opon mózgowych. Nieistniejącego pacjenta.

Pierwszy poadaptacyjny test z pojedynczymi, nic nieznaczącymi zerami i jedykami, zakończył się sukcesem. Ze stuprocentową dokładnością potrafiłem określić, czy wstrzyknięty we mnie binaryt to zero czy jeden. Odnajdywałem te cyfry w pamięci chwilę po pokonaniu przez binaryt bariery krew-mózg. Teraz przyszła kolej, by przetestować zdanie: „Każdy organizm potrzebuje bodźców” w wersji ze zmienionym szykiem wyrazów, żeby sprawdzić, czy mózg rozpozna je mimo modyfikacji.

W specjalnej aparaturze zbudowanej z setek kilometrów nanorurek umieszczono dokładnie pięć uporządkowanych w szeregu, molekuła za molekułą, nanolitrów binarytu z dodatkami – zer i jedynek na otwarcie, właściwego zdania oraz zer i jedynek na zamknięcie.

– Gotowy? – zapytał wyraźnie podekscytowany, ale i zdenerwowany Kasper.

– Gotowy – odpowiedziałem pewnie.

Profesor stuknął w tablet. Usłyszałem delikatny, stłumiony syk aparatury. Niespodziewanie naszły mnie wątpliwości, czy aby na pewno zabieramy się do tego od dobrej strony. Może lepiej byłoby... *Ech, trochę późno na takie przemyślenia, Bane. Zaufałeś... Teraz nie ma już odwrotu...*

Nagle poczułem mdłości, które z każdą sekundą przybierały na sile. Usiadłem, chwytając się za brzuch. Kasper patrzył na mnie

z niepokojem. Ja, zgięty wpół, z trudem łapałem powietrze. Profesor gwałtownie odwrócił się na pięcie i zdecydowanym krokiem ruszył do drzwi. Nie prostując się, podniosłem rękę w geście sprzeciwu.

– Niech pan poczeka – wyszeptalem.

Mdłości zniknęły. Poczułem irracjonalny niepokój, a następnie w mojej głowie zaczęły się pojawiać słowa, które po chwili ułożyły się w zdanie:

– Wszystkie bodźce potrzebują organizmu – powiedziałem.

– Tak! – Kasper aż podskoczył z radości. – Tak!



Profesor zakończył prezentację. Znów wszyscy patrzyli na mnie w milczeniu. Nie były to jednak te same pełne uznania spojrzenia, co chwilę wcześniej. Pomyślałem, że to za dużo nawet dla naukowców, którzy na co dzień zmagają się z nieintuicyjnymi teoriami, jak chociażby teorie świata kwantów. Nie... to było coś więcej. Ten eksperyment wykazał, że mam coś, czego nie ma nikt inny.

– Wiem. Wiem, że to, co zaprezentowaliśmy, wydaje się fantastyką naukową. – Profesor przerwał ciszę. – Jednak tak naprawdę jest to tylko potwierdzenie teorii o zdolnych do adaptacji mózgach elastów. Kolejny krok naprzód... krok, który niestety wiąże się z komplikacjami.

Komplikacjami? Popatrzyłem na profesora. O czym on mówi?

Kasper spojrzał na mnie i zrobił pauzę. Długą pauzę. Wyglądał tak, jakby chciał coś dodać, jakby przerwał tylko po to, by podkreślić emocje przed ważnym oświadczeniem. Po chwili jednak odwrócił wzrok, zszedł z podwyższenia i usiadł w pierwszym rzędzie, kilka metrów przede mną.

Podczas przerwy zniknął.

Rozdział 0.3

SALUS

Następnego dnia rano obudziło mnie pukanie. W typowy u elasty sposób mój mózg od razu dał mi kopa. Po przebudzeniu nie musiałem czekać na obniżenie poziomu melatoniny i wyrzwał kortyzolu. Byłem wyspany i gotowy do działania.

Podszedłem do drzwi. Przez wizjer zobaczyłem dwóch ubranych na czarno mężczyzn. Na koszulkach mieli małe znaczki: czerwony zakrzywiony krzyżyk w żółtym okręgu.

– Kto tam?

– Panie Warner. – Usłyszałem stłumiony głos jednego z mężczyzn. – Jesteśmy z Biura Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Dostaliśmy polecenie, żeby odwieźć pana na spotkanie.

Biuro Bezpieczeństwa Wewnętrznego?

– Jakie spotkanie, z kim? – zapytałem. – Panowie, albo szybko wyjaśnicie o co chodzi, albo naciskam guzik i za minutę będzie tutaj policja.

– Nie ma takiej potrzeby, panie Warner. Policja już tutaj jest. – Jeden z mężczyzn się przesunął. Zobaczyłem pięciu funkcjonariuszy. – Na spotkanie z profesorem Kasperem – dodał po chwili. – Spotkanie dotyczące wczorajszego wykładu.

W tym momencie moje okulary z przewodnictwem kostnym zawibrowały. Stuknąłem w zausznic i w mojej głowie rozległ się głos profesora:

– Idź z nimi, Bane. Przepraszam, że mnie tam nie ma, ale zwyczajnie mi nie pozwolili. To, co się tutaj dzieje, jest bardzo ważne. Powiedziałem, że nie podejmiemy żadnego działania bez ciebie – oznajmił i niespodziewanie się rozłączył.

Piętnaście minut później jechaliśmy windą w górę budynku Instytutu Solvaya. Staralem się nie okazywać narastającego we mnie niepokoju. Dwaj smutni panowie nie odstępowali mnie na krok. Przez całą drogę miałem przed oczami zaniepokojoną, niepewną, może nawet przestraszoną minę profesora. Teraz chciałem wyłącznie zrozumieć, co się dzieje.

Wysliśmy z windy. Na końcu korytarza towarzyszący mi funkcjonariusz otworzył drzwi, chyba jedyne na tym piętrze. Weszliśmy do niedużej sali konferencyjnej. Na środku umieszczono długi drewniany stół, przy którym siedział Kasper. Obok profesora stał mężczyzna: na oko metr dziewięćdziesiąt wzrostu, kwadratowa szczeka, haczykowaty nos i prawie czarne oczy. Był szczupły, bardzo szczupły, a jego dopasowana czarna koszula tylko to podkreślała. Zdecydowanie nie wzbudzał zaufania.

– Dzień dobry, panie Warner – zaczął niskim głosem, wyciągając do mnie dłoń. – Nazywam się Joel Ward.

Podszedłem bliżej i niechętnie uścisnąłem rękę.

– Jestem przedstawicielem Biura Bezpieczeństwa Wewnętrznego, a dokładniej wydziału o nazwie SALUS. Zechce pan usiąść? – Wskazał miejsce po drugiej stronie stołu.

Czyli on i Kasper mieli siedzieć obok siebie, a ja naprzeciwnie, jak na przesłuchaniu. Nieźle się zaczynało. Mimo tych myśli, bez słowa ruszyłem w stronę fotela.

– Jak wysokim, panie Ward? – zapytałem z przekąsem.
– Słucham? – Agent wyglądał na zbitego z tropu.
– Jak wysokim przedstawicielem Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego pan jest? – sprecyzowałem, siadając.

– Cóż... – Ward się uśmiechnął, poprawiając krawat. – Jak zapewne się pan domyśla, nie jesteśmy tak oficjalni jak inne agencje rządowe. Działamy trochę, że tak powiem, w ukryciu. – Popatrzył na mnie znacząco. – A jak wysoko? Raportuję bezpośrednio do prezydenta, panie Warner.

Do prezydenta... No bez jaj.

– Którego prezydenta? – zapytałem, gdyż nie było to takie oczywiste, skoro znajdowaliśmy się w centrum Brukseli.

– Prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki, których jest pan obywatelem. Proszę się nie martwić. Nasza jurysdykcja w Europie ma status prawny, jakiego mogą nam pozazdrościć inne agencje. Działamy w końcu dla dobra wszystkich.

Tego raczej nie potwierdzała zmieszana mina profesora Kaspera, który zresztą jak na razie nie wydusił z siebie ani jednego słowa.

– Panie profesorze. – Ward odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę ekspresu do kawy. – Proszę wprowadzić pana Warnera w temat.

Kasper położył ręce na stole, spoglądając na mnie z troską. Wyglądał bardziej na przejętego niż na przestraszonego. Ewidentnie zbierał myśli.

– Przepraszam cię, Bane. Naprawdę tego nie planowałem – powiedział. – Wczoraj nie przedstawiłem kompletnych wyników badań. Zakazali mi publikacji i pozwolili pokazać tylko pierwszą część. Drugiej nie mogłem zdradzić nawet tobie. – Kasper zerknął w stronę Warda, który nalewał kawy do

wielkiego szarego dzbanka. Profesor ściszył głos i pochylił się w moją stronę. – Grozili oskarżeniem o zdradę stanu, Bane. Oni nie żartują.

– Nic nie rozumiem! Co było w drugiej części? O co tutaj chodzi? – warknąłem.

W tym momencie do stołu wrócił Ward i postawił na środku dzbanek oraz kubki.

– Już od jakiegoś czasu uważnie śledzimy badania profesora – zaczął, siadając koło Kaspera. – Wnioski z drugiej części eksperymentu nie były dla nas zaskoczeniem. To właśnie to odkrycie doprowadziło do stworzenia programu SALUS. Na długo przed publikacją badań. Na długo przed panem. – Rzucił mi znaczące spojrzenie.

Czułem, jak wzbierają we mnie emocje. Nagle jedna ze ścian zrobiła się czarna i pojawił się na niej czerwony napis: „SALUS”.

– Gdy tylko oczy świata zwróciły się w stronę elastów, my uczyniliśmy to samo – ciągnął Ward. – Opracowaliśmy metody pozwalające odnaleźć ludzi takich jak pan. Proszę sobie wyobrazić nasze zaskoczenie, gdy się okazało, że na całym świecie jest was tylko troje. Co więcej, wszyscy urodziliście się tego samego roku, w tym samym miesiącu i w tym samym szpitalu. Żadnych innych podobieństw nie odnotowaliśmy. – Ward upił łyk kawy i popatrzył mi prosto w oczy. – Wiedział pan, że Einstein, człowiek, który zmienił bieg historii, miał znacznie powiększony płat ciemieniowy, czyli obszar mózgu odpowiadający między innymi za rozumienie języka symboli, pojęć abstrakcyjnych i geometrycznych?

Agent stuknął w panel na stole i napis „SALUS” zamienił się w obraz przedstawiający grawitacyjne zakrzywienie czasoprzestrzeni: ciężki obiekt na czarnej płaszczyźnie, która

poddaje się jego masie, zakrzywia się i tworzy skończony lej pod masywnym ciałem niebieskim.

– Czy pana zdaniem można wymyślić coś takiego bez precyzyjnych danych, bez fundamentów, obserwacji? Według nas była to czysta idea, panie Warner, mogąca powstać tylko w mózgu zaadaptowanym do tego typu abstrakcyjnego myślenia. Rozumie pan? Musiał uelastyczyć się w kierunku tych całkowicie nieintuicyjnych zagadnień.

– Przepraszam. Czy chce pan powiedzieć, że Albert Einstein był elastą? I opiera pan to twierdzenie na powiększonym płacie czołowym? I na tym, że ogólna i szczególna teoria względności były nieintuicyjne? – zapytałem.

– Tak jak powiedziałem... – Agent się zawahał. – Być może Einstein... – Przerwał i stuknął jeszcze raz w panel, na który wrócił napis „SALUS”. – Musimy się dowiedzieć, dlaczego jesteście tacy wyjątkowi, dlaczego jest was tylko troje, rozumie pan? – Ward stanął za profesorem i chwycił oparcie jego krzesła. – Dzięki binarytowi możemy znaleźć odpowiedzi.

Nie rozumiałem. Nadal niczego nie rozumiałem. Co miał do tego binaryt, którego zadaniem było błyskawicznie wtłoczyć do mojej głowy ogromną ilość informacji?

Agent wrócił na fotel.

– Pan profesor dał nam ostatnią szansę. Wszystkie metody, którymi obecnie dysponujemy, zostały wykorzystane. Każde laboratorium na świecie milion razy badało próbki biologiczne pobrane od pana. I nie dowiedzieliśmy się niczego nowego, a być może już nigdy nie narodzi się ktoś taki jak pan, nigdy.

Zaczynałem się denerwować. Czy oni zamierzali mnie wsadzić do formaliny, tak jak mózg Einsteina? Nie wytrzymałem.

– Czy powie mi pan wreszcie, do cholery, czego ode mnie chcecie?! – Walnąłem ręką w stół.

Ward spokojnie poprawił krawat. Popatrzył na profesora Kaspera, a później na mnie.

– Chcemy, żeby poddał się pan hibernacji, panie Warner. Co kilka lat będziemy pana wybudzać i aktualizować pana status, używając binarytu, aż do czasu, gdy technologia pozwoli nam poznać tajniki ewolucji pana mózgu, lub do czasu, gdy na świecie pojawi się więcej takich jak pan. Cały proces będzie nadzorował światowej klasy biolog wybrany przez profesora.

Otworzyłem szeroko oczy. Tego się nie spodziewałem. Zrobiło mi się niedobrze. Chcieli ze mnie zrobić królika doświadczalnego, worek na informacje, do momentu, gdy będą potrafili powiedzieć coś więcej o naturze mojego umysłu... A jeżeli to się nigdy nie stanie?

– A jeśli się nie zgodzę? Dlaczego odmawiacie mi prawa do normalnego życia? – zapytałem podniesionym głosem.

– Niczego panu nie odmawiamy, panie Warner – odpowiedział pospiesznie Ward. – Decyzja należy do pana, jednak... informacja o programie, jego implikacjach i o tym, że pan z niego zrezygnował, zostanie podana do publicznej wiadomości – dodał spokojnie. – Nie możemy trzymać tego w ukryciu.

– A co z moją rodziną? – kontynuowałem. – Nie pomyśleliście, że moje dzieci, które kiedyś chciałbym mieć, być może będą takie jak ja?

Ward popatrzył na Kaspera pytającym wzrokiem. Profesor splótł dłonie i oparł je na stole.

– Bane, to również było w drugiej części moich badań. – Kasper pochylił głowę. – Ty... – zawahał się. – Na podstawie

badan genetycznych wiemy, że... nie możesz mieć dzieci. Jesteś bezpłodny. Cała wasza trójka jest nieodwracalnie bezpłodna.

Te słowa uderzyły mnie bardziej niż wszystko, co do tej pory usłyszałem. Mimo że jeszcze nie myślałem na poważnie o potomstwie, wiadomość o niezdolności do jego spłodzenia spadła na mnie jak grom z jasnego nieba. Czułem, jak zalewa mnie pot. Moje serce waliło jak oszalałe. Wstałem gwałtownie.

– Nie wezmę udziału w żadnym cholernym programie – syknąłem. – Możecie ogłosić, cokolwiek chcecie, od razu podkreślając, że ja się wypisałem! Niech mnie nawet spalą na stosie! Mam to w dupie! – krzyknąłem i ruszyłem do wyjścia.

Jeżeli chcą mnie zatrzymać, będą musieli użyć siły. Nic takiego się jednak nie stało. Dwaj agenci przy drzwiach rozstąpili się, żebym mógł wyjść. Szumiało mi w głowie, ale przekraczając próg, usłyszałem jeszcze spokojny głos Warda:

– Gdyby zmienił pan zdanie, panie Warner, proszę skontaktować się z profesorem.

Rozdział 0.4

Dzisiaj

Stałem nad umywalką, patrząc w lustro. Wyglądałem strasznie. Wyrzuty sumienia po wczorajszym pożegnaniu z rodzicami nasilały myśli depresyjne. W głowie żegnałem się ze znanym mi światem. Na własne życzenie. Zerknąłem przez okno. Agenci SALUS-a byli wszędzie, śledzili każdy mój krok, a ja udawałem, że ich nie widzę. Zapewne się bali, że ucieknę albo że coś mi się stanie, a przecież byłem bezcennym królikiem doświadczalnym.

Po upublicznieniu założeń programu presja ze strony społeczeństwa była momentami nie do zniesienia. Decyzję podjąłem jednak sam. Dotknąłem oprawek okularów.

– Dzwon do profesora Kaspera.

Po kościach czaszki popłynęły vibracje.

– Słucham – odezwał się przyjaciel, z którym nie rozmawiałem od miesięcy.

– Zgadza się. Wezmę udział w programie.

Kasper milczał, ale wiedziałem, że wciąż tam jest. Słyszałem jego oddech.

– Dobrze cię słyszeć, Bane. Nawet nie wiesz... – zaczął, a wtedy gdzieś z oddali usłyszałem stłumiony kobiecy głos: „Joseph, kto dzwoni?”. Kasper odchrząknął i pośpiesznie dodał: – Dam znać, komu trzeba. Spakuj się. Ktoś po ciebie wkrótce przyjedzie. – Rozłączył się.



Minęła kolejna godzina podróży. Za oknem samochodu padał rzęsimy deszcz. Kierowca nie odpowiadał na żadne pytania, pomimo wielokrotnych prób nawiązania rozmowy. Nie powiedział, dokąd jadę, ale się domyśliłem. Spotkanie odbędzie się w Instytucie Solvaya. Dlaczego robią z tego tajemnicę?

Gdy dotarliśmy na miejsce, jeden z agentów SALUS-a zaprowadził mnie do sali konferencyjnej. Napięcie rosło z każdą sekundą. W pomieszczeniu słychać było tylko jednostajny, delikatny szum klimatyzacji. Przy długim stole siedział już Joel Ward. Miał nieprzenikniony wyraz twarzy, jakby wszystkie emocje ukrywał za maską.

– Proszę usiąść, panie Warner. – Wskazał miejsce po drugiej stronie stołu.

Usiadłem bez słowa.

Agent z czarnej teczki leżącej na blacie wyciągnął plik dokumentów. W tym samym czasie do sali wszedł niski, chudy mężczyzna. Miał gęste, krótko ścięte czarne włosy, a ubrany był w czarny garnitur z emblematem SALUS-a. Moją uwagę jednak przykuły jego oczy. Odkąd pamiętam, potrafię dostrzec w spojrzeniu niektórych ludzi coś szczególnego – coś trudnego do opisanie, ale wyraźnie odróżniającego pewne jednostki od reszty. Tak było i tym razem. Jakby nieznany mi zmysł

bombardował mnie informacją: „Zwróć na niego uwagę”. Tak. Jego oczy zdecydowanie były wyjątkowe.

Ward odwrócił się do niego i uśmiechnął, po czym odsunął krzesło obok siebie.

– Panie Warner. To jest Kimbel Reman. To jego profesor Kasper wybrał panu na towarzysza.

Popatrzyłem na Warda, a następnie na Remana, który wyciągnął do mnie rękę.

– Dzień dobry, panie Warner.

Gdy podałem mu dłoń, delikatnie pociągnąłem go w swoją stronę. Chciałem sprawdzić, jak zareaguje. Nawet nie drgnął.

– Przepraszam, że spotykamy się dopiero teraz, to wszystko dzieje się bardzo szybko. – Reman spojrzał wymownie w stronę Warda. – Jest mi niezmiernie miło, że to ja będę przy każdym pańskim wybudzeniu. Chciałbym, żebyśmy się lepiej poznali. Mam nadzieję, że...

Reman przerwał, gdy po raz kolejny otworzyły się drzwi. Do sali wszedł profesor Kasper. Wyglądał fatalnie, tak jakby nie przespał kilku ostatnich nocy. Był nieogolony, a jego zazwyczaj starannie ułożone włosy były potargane i tłuste. Bez słowa usiadł obok Remana i sztucznie się uśmiechnął.

– Bardzo przepraszam za spóźnienie. Czy zostaliście już sobie przedstawieni? – zapytał, spoglądając najpierw na mnie, później na pozostałych.

– Tak, Joseph – odparł Kimbel. – Dosłownie kilka sekund przed twoim wejściem.

Kasper skinął głową.

Spojrzałem na Remana. Mówił do profesora po imieniu. Chyba nigdy nie słyszałem, żeby ktoś poza najbliższymi zwracał się do niego w ten sposób. Joseph...

Kasper odchrząknął.

– Bane, Kimbel jest z wykształcenia mikrobiologiem. Jest też wielkim pasjonatem hibernacji i teorii opisującej elastów. Zna się na zaawansowanych systemach informatycznych lepiej niż niejeden programista po politechnice. Dzięki swym umiejętnościom będzie doskonałym wsparciem w podróży, w którą się udajesz. – Kasper kaszlnął sucho, jakby od kilku godzin nie miał w ustach wody. – Dokumenty, które ma dla ciebie pan Ward, to tylko formalność. Pierwszy krok w kierunku... – Profesor na chwilę się zawiesił.

Wyglądało to dziwnie. Przypomniawszy sobie o czymś ważnym? Po chwili mrugnął, a jego głowa zadrżała, tak jakby obudził się ze snu:

– ...krok w kierunku, w którym idziemy. To klauzule bezpieczeństwa dla ciebie, przygotowane tak, żebyś nie musiał się martwić o to, co tutaj zostawiasz.

Ward podał mi umowę. Przeczytałem ją w ciszy. Miała tylko trzy strony. Pierwsza opisywała, w jaki sposób SALUS ma zamiar opiekować się moją rodziną. Druga strona w wielu miejscach odwoływała się do załączników, które wcześniej widziałem. Zawierała szczegółowe informacje dotyczące hibernacji, zmian w moim organizmie takich jak wyłączenie termoregulacji, spowolnienie procesów życiowych czy obniżenie temperatury. Nie zapomniano też dodać zapisu o całkowitej bezbronności mojego organizmu wobec wszelkiego rodzaju patogenów. Dlatego też podczas hibernacji bardzo ważne było utrzymanie hermetycznego, kontrolowanego środowiska. Oczywiście musiałem podpisać zgodę na czekające mnie procedury medyczne oraz oświadczenie, że znam wszystkie możliwe zagrożenia. I wreszcie strona trzecia, zatytułowana „Proces”,

zawierała informacje o interwałach hibernacji, które miały wynosić maksymalnie dziesięć lat, a ich długość zależęć miała od końcowych wyników badań. Załączniki były i tu, ale do niektórych wciąż nie miałem dostępu.

Spojrzałem na Warda.

– Zdajecie sobie sprawę, że teraz mogę podpisać tylko dwie pierwsze strony, prawda? Chyba nie liczycie na mój podpis in blanco?

Ward odsunął ode mnie teczkę.

– Oczywiście, ma pan rację – zaczął. – Tak jak wspomniał pan Reman, wszystko dzieje się bardzo szybko. Potrzebujemy pana podpisów tylko na dwóch pierwszych stronach. Dzięki nim zyskamy gwarancję, że dołączy pan do programu i że możemy rozpocząć przygotowania. – Ward rozsunął dwie strony i położył jedną obok drugiej, po czym podał mi długopis. – Strona trzecia zawiera załączniki, musimy je jeszcze skonsultować, oczywiście dla pana dobra. Teraz zależy nam głównie na tym, by zaakceptował pan interwały wybudzenia. – Agent położył przede mną trzecią stronę. – Proszę tylko napisać, że godzi się pan na maksymalnie dziesięcioletnie interwały hibernacyjne. Tak jak powiedziałem, dzięki temu rozpoczniemy przygotowania.

Popatrzyłem na Kaspera. Miał grobową minę, unikał mojego wzroku. Nie potrafiłem niczego wyczytać z jego twarzy. Siedział jak posąg, obojętny, jakby w ogóle nie interesowało go to, co się tutaj dzieje.

– Nie, panie Ward. Chce pan, żebym na najważniejszej umowie w moim życiu nabazgrał, na co się zgadzam, a na co nie? – Ta cała sytuacja robiła się coraz bardziej irytująca. – Co to w ogóle ma być? – zapytałem, splatając ramiona na klatce

piersiowej. – Przez całą drogę nie dowiedziałem się absolutnie niczego. Kierowca w samochodzie zachowywał się, jakby mnie nie słyszał. Dobrowolnie na wszystko się zgodziłem, a wy otaczacie mnie agentami, tajemniczo milczycie i na dodatek nie potraficie nawet porządnie przygotować dokumentacji... A pan, panie Ward, myśli, że raportowanie bezpośrednio do prezydenta daje panu prawo działania w ten sposób i traktowania mnie jak jakiegoś nieświadomego przygłupa?

Agent poprawił się na krześle.

Widziałem, że po moich słowach stracił pewność siebie. Najwyraźniej trafiłem w czuły punkt.

– Dajecie mi do podpisania jakieś świstki, bez konkretnych informacji. Czy nie wie pan, panie Ward, że zgody na wszelkie procedury medyczne, w szczególności te dotyczące hibernacji, muszą być podpisywane w obecności lekarza o odpowiedniej specjalizacji, na wypadek, gdyby pojawiły się jakieś pytania?

Agent poczerwieniał na twarzy. Po jego skroni spłynęła kropelka potu.

– A pan, panie profesorze – tym razem spojrzałem w stronę Kaspera – wygląda, jakby ostatni tydzień spędził w kompletnym chaosie, jakby się pan nie mył od kilku dni. Czy to oznaka, że dzieje się coś poważnego, o czym nie wiem, czy po prostu ma pan wszystko w dupie?

Kasper uniósł brwi.

– To nie tak, Bane...

– To jak?! Wy tłumaczcie mi albo wychodzę.

Ward wstał i podszedł do dystrybutora wody w kącie sali. Powoli nalał płynu do kubka, po czym wrócił do stołu, przetarł spocone czoło chusteczką i usiadł, luzując krawat.

– Mamy dzisiaj poniedziałek, panie Warner. Do końca tego tygodnia w senacie zostanie przegłosowane prawo zakazujące hibernacji. Dlatego już teraz musimy mieć pana zgodę. Bez podpisów na pierwszych dwóch stronach nie możemy nawet zacząć przygotowań.

Wiadomość o głosowaniu w parlamencie wybiła mnie z rytmu.

– Zakaz hibernacji? Dlaczego? Kto się na to zgodził?

– Rząd. Bardzo proszę, żeby statystyka, którą panu zaraz przytoczę, została między nami. – Ward upił łyk wody. – Chęć poddania się kilkuletniej hibernacji wyraziło dziewiętnaście procent społeczeństwa w wieku produkcyjnym. Pomimo ogromnych kosztów chcą poświęcić na to oszczędności życia lub wziąć pożyczki. Wie pan, co to oznacza dla gospodarki kraju? Żadna automatyzacja nam nie pomoże, gdy nagle prawie jedna piąta wykwalifikowanej siły roboczej uda się na kilkuletni sen. Oczywiście moglibyśmy obejść zakaz, ale przecież nie jest pan anonimowym obywatelem. – Agent zerknął na Kaspera. – Pan profesor pracuje na najwyższych obrotach, żeby z naszym zespołem przygotować cały proces. Nie mamy żadnego innego specjalisty od binarytu, a to ta substancja będzie aktualizowała pana elastyczny mózg przy każdym wybudzeniu. Widzi pan. – Agent dopił wodę. – Nawet my nie powstrzymamy zakazu. W grę wchodzi ogromny kryzys, który może dotknąć wszystkich bez wyjątku. Nie spodziewaliśmy się pańskiej zgody, dlatego teraz działamy tak szybko i rzeczywiście nie jesteśmy dobrze przygotowani. Co nie zmienia faktu, że nie złamałem prawa. – Wskazał na Kimbela. – Pan Reman jest medykiem o odpowiedniej specjalizacji. Odpowie na pytania.

Przez chwilę przyglądałem się im w milczeniu. Co powinienem zrobić? W zasadzie już dawno podjąłem decyzję, więc co tak naprawdę się dla mnie zmieniło?

– Podpiszę dwie pierwsze strony, a na ostatniej dodam zastrzeżenie, że zgadzam się na maksymalnie dziesięcioletnie interwały. Jednak – uniosłem palec wskazujący – przed zapadnięciem w sen muszę zapoznać się ze wszystkimi załącznikami i to również zaznaczę w formie notatki. Oczywiście każdą zmianę zaparafuję, żeby nie było wątpliwości.

Ward skinął głową.

Rozdział 0.5

Spotkanie

To nie był dobry sen, pomyślałem, siadając na krawędzi łóżka. Zegarek wskazywał godzinę 8:35 we wtorek. Poprzedniego dnia podpisałem umowę określającą ramy mojego życia na kolejne kilka lat. Jeszcze rzut oka na statystyki. Wynik snu: sześćdziesiąt pięć punktów. Maksymalna ocena to sto. Za co program odjął mi aż trzydzieści pięć? Wyświetliłem dokładniejsze dane. Czas snu w normie, ilość cykli: trzy – dolna granica normy, regeneracja fizyczna i psychiczna w normie. Ruchy i przerwy we śnie poza skalą. Każde z przebudzeń było związane z natlenieniem krwi poniżej osiemdziesięciu dziewięciu procent. Jedno – poniżej osiemdziesięciu dwóch. Zegarek powinien nagrać odgłosy z otoczenia towarzyszące każdemu przebudzeniu. Kliknąłem ikonę mikrofonu na tarczy urządzenia.

– Odtwórz nagranie z drugiej trzydzieści pięć – poleciłem.
– Odtwarzam nagranie – odpowiedział wbudowany syntezyzator.

Usłyszałem miarowe oddechy. Spojrzałem na ekran. Tętno w normie, natlenienie w normie, temperatura w normie. Spałem jak zabity. Nagle pojawiły się trzaski, charakterystyczne dla

momentów, gdy pogrążone we śnie ciało powoli, ospale przewraca się na drugi bok. Tętno delikatnie wzrosło, natlenienie spadło nieznacznie, temperatura w normie. Teraz parametry powinny wrócić do poprzedniego stanu, tak się jednak nie stało. Tętno rosło liniowo. Słyszałem wyraźnie, jak mój oddech przyspiesza i z miarowego, powolnego sapania przechodzi w głośne, płytkie dyszenie. Ewidentnie śniło mi się coś nieprzyjemnego. Tylko koszmar mógł tłumaczyć tak gwałtowną reakcję. Nagle natlenienie spadło poniżej osiemdziesięciu siedmiu procent. Wtedy na nagraniu usłyszałem, jak gwałtownie nabieram powietrza, po czym zapada niepokojąca cisza. Odruchowo wstrzymałem oddech, przykładając ucho do zegarka w nadziei, że usłyszę coś więcej. Cisza była zatrważająca. Chociaż wiedziałem, że nic mi się nie stało, to w jakiś niezrozumiały sposób martwiłem się o siebie z nagrania. Natlenienie spadło poniżej osiemdziesięciu pięciu procent i nagle bezgłos na nagraniu zamienił się w przerażający krzyk: „Krisi! Krisi!”. Aż podskoczyłem, gwałtownie odsuwając głowę od zegarka. Nastąpiła kolejna sekunda ciszy, a zaraz po niej trzask, chyba uniosłem się do pozycji siedzącej. Na ekranie pojawił się czerwony napis: „Przebudzenie, godzina 2:35”.

Nigdy do tej pory nie miałem tak niskiej oceny snu. Zazwyczaj mój umysł reagował automatycznie i niezależnie od warunków zapewniał wynik powyżej dziewięćdziesięciu punktów. Wydaje się jednak, że tym razem emocje wygrały. Postanowiłem odszukać w pamięci chociaż fragment tego snu. Jakiś trop, który pozwoli mi zrozumieć, dlaczego wykrzykiwałem imię siostry. Zamknąłem oczy. Uspokoilem oddech. Skupiłem się na swoim wnętrzu, serce zwolniło.

Patrzyłem teraz w siebie. Mój umysł rozbłysnął milionem jasnych, iskrzących się ścieżek. Każda miała swój cel, ja szukałem tej

prowadzącej do pokoju ze snami. Zaciśnąłem mocniej powieki, serce jeszcze bardziej zwolniło i wtedy kłębowisko kolorowych nitek zniknęło, a na tle czarnej pustki zostało jedno czerwone pasemko. Po chwili pojawiła się przede mną mała drewniana szafka: „Koszmar z godziny 2:35”. Otworzyłem ją. W środku leżała kartka formatu A5. Uniosłem ją i na odwrocie zobaczyłem napis: „Klucz do samochodu: XXXZ!82DY”.

I to miał być ten koszmar? Pochyliłem się, żeby dokładnie obejrzieć skrytkę, coś tam jeszcze musiało być... Wtedy z transu wyrwały mnie wibracje telefonu. Zerknąłem na ekran, numer nieznany. Odebrałem.

– Panie Warner. Na zewnątrz czeka na pana samochód – powiedział kobiecy głos.

– Ale ja nie zama... – Nie zdążyłem dokończyć. Rozmówczyni zakończyła połączenie.

Wyjrzałem przez okno. Przed domem stał czerwony Nukleon 3, najnowszy model firmy Raptor Automation. Klasa średnia jeździła samochodami semiatomowymi, w których potrzeba nagłego poboru znacznej ilości mocy była zaspokajana przez małe bioniczne akumulatory ze stałym elektrolitem. Na takie cacka jak to przed oknem stać było tylko naprawdę bogatych ludzi. Nukleon 3 z generatorami w najnowszej technologii czerpał moc wprost ze znajdujących się pod maską minielektrowni jądrowych. Rozpędzał się do setki w dziewięć dziesiątych sekundy. Oczywiście nikt nie ustawiał sobie takiej akceleracji, bo przeciążenia podczas znacznego przyspieszania nie należały do przyjemnych.

No dobra, pomyślałem. Idę.

Obejrzałem samochód. Był piękny. Opływowe kształty, agresywny sportowy przód i dwa minimalistyczne spoilery wystające delikatnie poza obrys tylnej maski. Chwyciłem za

klamkę i w tym samym momencie na szybie pojawił się napis: „Podaj kod”, a pod nim klawiatura.

Kod... jaki kod?

Otworzyłem szeroko oczy, powoli wyciągnąłem rękę i niepewnie wstukałem: XXZZ!82DY. Samochód wydał z siebie dziwny, cichy dźwięk przypominający dzwonek, po czym drzwi się uniosły.

Odskokczyłem gwałtownie. Wziąłem głęboki oddech i pochyliłem się, by zajrzeć do środka. Nukleon był pusty.

Cholera. Mam wsiąść?

Wyprostowałem się i rozejrzałem po okolicy. SUV-y, w których siedzieli agenci SALUS-a, stały tam, gdzie zawsze.

No dalej, Bane, decyzja. Tylko zachowuj się normalnie, nie panikuj. Odwróciłem się na pięcie i tak swobodnie, jak tylko zdołałem, ruszyłem w stronę domu. Nie miałem pojęcia, kto podstawił samochód. Wchodzenie do środka byłoby skrajną głupotą, proszeniem się o kłopoty. Kod, który mi się przyśnił, dodawał tajemniczości całej tej sytuacji. Tajemniczości... Stałem jak wryty. Mój umysł mozolnie łączył kropki.

W dzieciństwie w naszej podwórkowej grupie posługiwaliśmy się własnymi szyframi. Wciąż pamiętałem, co oznaczały poszczególne znaki. Z kodu, który mi się przyśnił, wyłoniła się... data urodzenia. Nabrałem pewności, że to nie przypadek. Zawróciłem, szybko pokonałem kilka kroków dzielących mnie od Nukleona i wsiadłem na miejsce pasażera.

Drzwi zamknęły się automatycznie. Omiotłem wzrokiem wnętrze samochodu. Z zewnątrz może wyglądał inaczej niż dawne modele, w środku jednak był dokładnie taki sam – pusty.

Z głośników odezwała się sztuczna inteligencja pojazdu – tym samym kobiecym głosem, który słyszałem kilka minut wcześniej, gdy odebrałem połączenie telefoniczne.

- Czy możemy ruszać?
- Dokąd? – zapytałem.
- Do domu pana siostry.

Wiedziałem. Wyśniony kod oznaczał datę urodzin mojej siostry, ale nie tę oficjalną, zapisaną w dokumentach, tylko prawdziwą. Krisi urodziła się ósmego września o godzinie 23:58. Położna odbierająca poród wpisała w dokumentacji szpitalnej godzinę 0:03, dziewiąty września. O tym, że moja siostra tak naprawdę urodziła się dzień wcześniej, wiedzieliśmy tylko ja, mama i tata.

Ale jak Krisi dostała się do mojego koszmaru? To zdecydowanie nie było proste. Co prawda określone sny można było łatwo wywołać na przykład przez sugestię, ale przecież w tym przypadku dostałem jasne i czytelne informacje: kod do samochodu, datę... Jednak zanim o to zapytam, będzie musiała mi wyjaśnić, co się z nią działo przez ostatni rok, w którym nie raczyła odezwać się do brata.

– Poczekaj – rzuciłem. – Zanim ruszymy, powiedz, jakie mamy przyspieszenie?

- Trzy i pół sekundy do setki, proszę pana – odpowiedziała AI.
- Ustaw maks, dziewięć dziesiątych.

Na bocznej szybie pojawił się formularz zgody oraz miejsce do zeskanowania opuszki kciuka, dla potwierdzenia, że zapoznałem się z ryzykiem i je akceptuję. Przyłożyłem palec. Siedzenie zrobiło się miękkie i nieco się w nie zapadłem. Fotel uformował się tak, żebym się przypadkiem nie zsunął i nie skończył w bagażniku. Boki osłoniły przód moich ramion, by zapewnić ochronę przed przeciążeniami. Silnik zasyczał delikatnie. Samochód ruszył i z całą szczerością muszę przyznać, że nie tego się spodziewałem.

Lubiłem przeciążenia, ale to, co poczułem... Tego nawet dla mnie było za dużo. Podczas tych dwóch sekund, gdy przyspieszyliśmy do dwustu kilometrów na godzinę, nie udało mi się złapać oddechu. Ucisk w klatce piersiowej był tak duży, że bałem się o własne życie. Dobrze, że nie zjadłem śniadania.

Samochód osiągnął założoną prędkość. Ciężko sapiąc, złapałem się za gardło. Fotel wrócił do pierwotnego kształtu, a z jego boków wysunęły się żelowe pasy, które docisnęły mnie do siedzenia. Dlaczego nie zapięły się wcześniej? Nie miałem pojęcia... *Nigdy więcej*, pomyślałem. *Nigdy więcej*. Wtedy, ku mojemu zdziwieniu, samochód ostro skręcił, najpierw w lewo, później w prawo, po czym po raz kolejny gwałtownie przyspieszył.

– Co jest?! Stop!

Po skręcie, który niemal wyszarpnął mnie z objęć żelowych pasów, zerknąłem na ekran. Wyświetlał się na nim czerwony napis: „Jazda autonomiczna”.

– Wyłącz jazdę autonomiczną! Natychmiast!

Samochód nie zareagował i przyspieszył jeszcze bardziej. Teraz poruszaliśmy się z prędkością trzystu dwudziestu kilometrów na godzinę. Kolejny gwałtowny skręt. Pasy boleśnie zacisnęły się na mojej klatce piersiowej, całkowicie krępując mi ruchy. Skręt. Trzysta sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Kolejny skręt. Nukleon wjechał na główną magistralę i, mijając dosłownie o włos inne samochody, włączył się do ruchu. Zwolniliśmy do stu kilometrów na godzinę.

– Co to było, do cholery?! Chcesz nas zabić?!

AI samochodu nie odpowiedziała. Wtedy jednak przez okno dostrzegłem trzy czarne SUV-y SALUS-a. Zatrzymały się przy zjeździe na główną magistralę. Pociąg poduszkowy, który właśnie nadjechał, zablokował im przejazd. A więc to tak... Brawo, Krisi.

Chwilę później Nukleon zjechał z głównej magistrali w boczną trasę, a następnie skręcił w polną drogę, by po kilku minutach zatrzymać się koło małego drewnianego domku w lesie. *Tak, to też pasuje do mojej siostry*, pomyślałem, wysiadając.

Podszedłem do drzwi. Nie widziałem żadnego dzwonka. Wzięłem głęboki oddech i zapukałem. Czekałem chwilę, nic... Zapukałem jeszcze raz, wciąż nic.

Nagle usłyszałem narastający szelest dochodzący gdzieś zza domu. Po chwili z prawej strony nadleciał mały dron. Zawisł przede mną i chyba mnie zeskanował, bo drzwi się otworzyły. W środku stał humanoidalny srebrny robot z kanciastymi barkami i wydrukowaną nieruchomą twarzą. Jego korpus był przytwierdzony do niewielkiej platformy z kółkami.

– Dzień dobry, panie Warner – zaczął ładnym, niemal ludzkim głosem. – Pani Warner przybędzie za około trzydzieści pięć minut. Proszę wejść do salonu. Przygotowałam kawę i ciasteczka – powiedział... a w zasadzie powiedziała... i ruszyła w głąb pomieszczenia. – Proszę za mną, panie Warner. Proszę za mną.

Wyłożony boazerią przedpokój z wiszącymi to tu, to tam obrazami, wywołał we mnie falę ciepłych uczuć. Kojarzył mi się z siostrą i rodzinnymi wypadami do chaty w górach. Przypominał dźwięk desek trzeszczących pod stopami, zapach wilgotnego drewna i ten szczególny półmrok, w którym czas wydaje się zwalniać. Przypomniałem sobie, jak siedzieliśmy razem przy kominku, popijając gorącą herbatę, a za oknem śnieg osiadał na parapetach niczym miętka, biała wata.

Robot zatrzymał się przed dębowymi drzwiami. Otworzyły się automatycznie i zobaczyłem salon.

Był piękny. Ściany z bali podkreślały górski klimat. Drewniana postarzana podłoga idealnie pasowała do kamiennego kominka,

przed którym na stole czekały dwa kubki z parującą kawą oraz talerzyk z moimi ulubionymi ciasteczkami cynamonowymi. Wokół stołu ustawiono masywne fotele obite owczą skórą, a nieco dalej, przy ścianie, góralską kanapę. Wszystko delikatnie oświetlone dziennym światłem wpadającym przez okno, które doskonale współgrało z ciepłą poświatą ognia z kominka.

– Proszę usiąść, panie Warner. Proszę napić się kawy. Proszę poczekać. Pani Warner przyjdzie.

Trochę zdziwił mnie nagły brak szczegółów, ale usiadłem i wziąłem łyk kawy. Doskonała...

– Pani Warner przyjdzie? Kiedy dokładnie?

– Pojawiły się drobne przeszkody. Pani Warner przyjedzie.

– Możesz mnie po prostu z nią połączyć? – zapytałem zniecierpliwiony.

– Pani Warner nie przyjedzie – oznajmił nagle robot tym samym obojętnym tonem. – Spotkania dzisiaj nie będzie. Pani Warner skontaktuje się z panem. Przepraszam za niedogodności.

Ta informacja całkowicie zbiła mnie z tropu.

– Żartujesz sobie? Połącz mnie z nią! W tej chwili chcę z nią rozmawiać – dodałem rozkazującym tonem, który zazwyczaj działał na wszystkie prymitywne humanoidy.

– Nie mam dostępu, panie Warner. Nie mogę wykonywać połączeń.

Wstałem z krzesła.

– W takim razie podaj mi namiary, sam to zrobię – powiedziałem i uświadomiłem sobie, że i tak nie mam z czego zadzwonić. Nawet okulary zostawiłem w domu.

– Nie mam takich danych – odparł robot. – Przed domem czeka już na pana samochód, panie Warner. Proszę się do niego udać. Pospiesznie – dodał.

Cholera. Pospiesznie... Niby dlaczego?

– A jeżeli nie pójdę?

Robot milczał kilka sekund, jakby jego sztuczne zwoje nie były przygotowane na takie pytanie, po czym odparł:

– Wtedy będę musiała ewakuować pana osobiście.

Tak, użył... użyła słowa „ewakuować”, i to „osobiście”. Stwierdziłem, że ta kupa złomu w niczym mi nie pomoże. Odwróciłem się na pięcie i bez słowa ruszyłem w stronę drzwi. Na zewnątrz uderzyło mnie w twarz chłodne powietrze. Wsiadłem do Nukleona. Silnik zasyczał. Samochód ruszył gwałtownie, a mnie znów wbiło w fotel.

O co chodzi? Czyżby agenci, których zgubiłem, namierzili jednak to miejsce?

Nukleon wiózł mnie inną drogą, a przynajmniej tak mi się wydawało. Pewności nabrałem, gdy samochód zatrzymał się trzy przecznice od domu. Drzwi się otworzyły i AI samochodu powiedziało:

– Dziękuję za podróż. Można wysiadać.

Jeszcze przez chwilę próbowałem różnych komend, by zmusić auto do nawiązania połączenia z Krisi lub do zawiezienia mnie do niej, niestety moje starania spełzły na niczym. Nukleon był zabezpieczony, najpewniej właśnie przez siostrę.

Zrezygnowany wysiadłem i ruszyłem do domu. Przed budynkiem przechadzało się w tę i z powrotem dwóch panów, których nigdy wcześniej nie widziałem. Dziwne. To raczej nudna i spokojna okolica, bardzo rzadko spotykałem tutaj kogoś innego niż sąsiadów. Gdy mężczyźni mnie zobaczyli, przeszli przez ulicę na drugą stronę i szybko zniknęli. Zapewne byli agentami SALUS-a.

Niczego z tego nie rozumiałem, po co to wszystko...? Czy coś stało się mojej siostrze, czy tylko chciała coś sprawdzić?

W przypadku Kriś można było założyć prawie każdy scenariusz. Postanowiłem dłużej się nad tym nie zastanawiać i poczekać na kontakt z jej strony.

Rozdział 0.6

Niespodziewane

Środa. Minęły dwa dni od podpisania umowy, a ja czułem, jakby wydarzyło się to kilka godzin temu. Klamka zapadła.

Ścieżka w parku prowadziła między drzewami. Mijałem kolejne ławki i latarnie. Dysząc, zerknąłem na zegarek. Przebiegłem pięć kilometrów. Natlenienie organizmu: dziewięćdziesiąt dziewięć procent; tętno: sto pięćdziesiąt jeden uderzeń na minutę; zakwaszenie organizmu: jeden procent.

Nagle poczułem delikatną wibrację okularów i usłyszałem:

– Dzwoni nieznanany numer.

Zwolniłem do chodu i spojrzałem jeszcze raz na zegarek. Numer zastrzeżony... Ciekawe. Odebrałem połączenie.

– Słucham.

– Bane, z tej strony Kimbel. Kimbel Reman.

Nie pamiętałem, żebyśmy przeszli na ty, ale w sumie nie miało to większego znaczenia.

– Tak?

– Profesor Kasper miał zawał serca. Nie żyje.

Zatrzymałem się.

– Zawał serca? Przecież on się regularnie badał. Kiedy to się stało?
– Dzisiaj w nocy – odparł Reman. – Dzwonię, można powiedzieć, na jego prośbę. Dziwnie to zabrzmiało, ale zostawił jasne wytyczne, co ma się wydarzyć w przypadku jego śmierci.

Oczy mi się zaszklily. Stary lajdak zawsze miał wszystko poukładane. Niestety przypomniałem też sobie naszą ostatnią rozmowę. Cholera. Żałowałem teraz każdego wypowiedzianego wówczas słowa.

Usłyszałem, jak Kimbel nabiera powietrza, po czym wypuszcza je gwałtownie.

– Pogrzeb jutro o godzinie ósmej rano, przy parku van Tervuren w Brukseli. Jesteś na liście osób, które Joseph chciał zaprosić na pożegnanie. Będziesz?

Zapadła niezręczna cisza.

– Będę – odpowiedziałem w końcu.
– Dobrze. Dam znać rodzinie. Czy trzeba kogoś po ciebie wysłać?

- Nie, dam sobie radę.
- Dobrze, w takim razie do zoba...
- Kimbel... – wtrąciłem pośpiesznie.
- Tak?
- Dziękuję za telefon i informację.
- Jasne. Nie spóźnij się.

Mój rozmówca się rozłączył.

Całą drogę powrotną biegłem na tętnie sto osiemdziesiąt. Jedną z niewielu bliskich mi i szanowanych przeze mnie osób zmarła, i to nagle. A nasze pożegnanie... Przyspieszyłem.



W domu żałobnym byli już wszyscy. Tak przynajmniej mi się wydawało, gdy dołączałem do nielicznego grona zebranego przy trumnie. Z głośników popłynęła Lacrimosa Mozarta, niosąc się ciężko nad zebranych tłumem. Spojrzałem na żonę Kaspera. Piękna, dojrzała kobieta roniła łzy pod czarną woalką. Płakała też ich córka. Widać, że mimo wszystko nie był im obojętny. Muzyka potęgowała atmosferę smutku i powagi. Powietrze było gęste od emocji.

Nie wiem, skąd pojawił się przy mnie Kimbel. Skinął głową i podał mi rękę.

Oprócz Joela Warda i rodziny Kaspera nie znałem ludzi stojących obok trumny. Mój wzrok przykuł dobrze zbudowany, wysoki brunet w czarnych okularach trzeciej generacji – od razu poznałem ten model. Sam chciałem mieć takie. Mikroreaktory i zaawansowane funkcje z dożywotnim serwisem. Mało kogo stać było na taki zakup. Okulary produkowała firma Raptor Automation, która rok temu pojawiła się znikąd i błyskawicznie podbiła rynek robotyki użytkowej.

Mężczyzna uklęknął na jedno kolano, położył coś na trumnie, dotknął jej i się uśmiechnął.

– Kto to jest, ten z raptorami? – szepnąłem do Kimbela.

– Heiko Steinmetz – odpowiedział. – Filantrop, miliarder, dziewiątka na liście „Forbesa”.

– Co on tutaj robi?

– Nie wiem. Był na liście, był numer, więc zadzwoniłem, a on się zjawił.

Przyszła moja kolej i podeszedłem do trumny.

Żegnaj, przyjacielu. Jeżeli gdzieś tam jesteś, chciałbym, żebyś wiedział, że żałuję naszego ostatniego spotkania. Byłeś dla mnie wielkim autorytetem. Spoczywaj w spokoju.

Za mną nie stał już żaden z żałobników. Muzyka przycichła, a na mównicę wszedł Kimbel. Wszystkie spojrzenia powędrowały w jego stronę.

– Wiecie – zaczął – że ta uroczystość została szczegółowo zaplanowana. Do odczytania przemowy Joseph wyznaczył mnie, najpewniej zakładając, że dam radę zrobić to bez zbędnych emocji. Spróbuję.

Kimbel przez dziesięć minut mówił o pracy Kaspera; o tym jak wielkie miała dla niego znaczenie i jak z jej powodu zaniebdał rodzinę. W imieniu profesora przeprosił jego żonę i córkę. Wtedy wdowa po raz kolejny wybuchła płaczem. Na koniec przyszedł czas na podziękowania dla żałobników. Z zainteresowaniem czekałem na słowa do Heiko Steinmetza.

– Heiko, drogi druhu. – Kimbel spojrzał w stronę wyczytanego. – Dziękuję ci za twoje oddanie i za twoją pomoc. To dzięki tobie jest jeszcze nadzieja.

I tyle?

Kimbel odwrócił głowę w moim kierunku.

– I wreszcie sens mojej pracy, mojego życia i poświęcenia: Bane Warner. To dzięki tobie miałem cel, prowadzący mnie przez ciemność codziennych myśli. Szczerze wierzę, że to ty jesteś przełomem w dążeniu człowieka do doskonałości. Chociaż odszedłem, ty wiesz, co masz robić. Zawsze wiedziałeś. Przepraszam i proszę o wybaczenie. Życzę ci wszystkiego dobrego na trudnej ścieżce, którą właśnie zaczynasz podążać. Bądź na niej zawsze tak radosny jak twój tata. – Kimbel zamknął książeczkę, z której czytał. – A teraz zapraszam wszystkich na mały poczęstunek – dodał i zszedł z mównicy.

A ja nadal stałem jak wryty. Zrobiło mi się głupio. Ja sensem jego życia? A rodzina? Ciemność myśli? Trudna ścieżka?

I wreszcie: zdanie o moim ojcu? Tata poza domem rzeczywiście często się uśmiechał, ale Kasper doskonale wiedział, że ostatnie, co można było o nim powiedzieć, to to, że był radosny. Podszedłem do Kimbela, zmierzającego do stołu z przekąskami.

– Skąd wziąłeś przemówienie? – zapytałem bez ceregieli.

– Było w skrytce, którą otworzono po odczytaniu woli zmarłego. Coś nie tak?

Hmm... Czyli i ono stanowiło część testamentu.

– Pytam z ciekawości. Zgodzisz się, że było dość intrygujące.

– Tak, cały Joseph – rzucił i sięgnął po ciastko. – Niczego dzisiaj nie jadłem – dodał i ruszył do głównego bufetu.

Znajdowało się tam wszystko: kanapki, mięsa, desery. Kimbel nalał kawy, wziął kilka przekąsek i usiedliśmy przy jednym ze stołów.

– Jest akceptacja – zaczął. – Jeszcze nie ma dokładnego planu, ale już mogę ci zdradzić, że jutro się spotkamy, żebyś zapoznał się z procesem. Chcemy, abyś w piątek rano poddał się hibernacji na jasno określonych zasadach. Głosowanie penalizujące tę procedurę ma się odbyć po południu.

Popatrzyłem na Kimbela i przytaknąłem. Cały czas miałem w głowie ostatnie słowa profesora. Czy to była pomyłka? Czy to miało coś znaczyć?

Wstałem od stołu i podszedłem do wdowy.

– Najszczerze kondolencje, pani Kasper. Pani mąż był dla mnie wielkim autorytetem.

Spojrzała na mnie zmęczonym wzrokiem.

– Dziękuję, panie Warner. Wiem, jak wiele znaczyła dla niego praca... Czasem miałam wrażenie, że więcej niż my... – zawahała się, jakby nie była pewna, czy powinna mówić dalej. – Może to głupie, ale... myślałam, że zostanie z nami dłużej. Że

w końcu zwolni, zacznie spędzać więcej czasu z rodziną. Ale on... – urwała i westchnęła. – On zawsze miał inne plany.

Nie wiedziałem, jak zareagować na taką szczerość.

– Przykro mi – odpowiedziałem.

– Proszę pamiętać o tym, co przekazał w swoim pożegnaniu. Skoro uznał, że miał pan znaczenie w jego życiu... to znaczy, że tak było.

Jej głos był spokojny, ale w oczach nadal błyszczały łzy.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu. Chciałem coś powiedzieć, może dodać jej otuchy, ale każde słowo wydawało się zbędne. W końcu skinąłem głową, a ona odwzajemniła gest.

To tyle, jeśli chodzi o moją obecność na pogrzebie. Odwróciłem się na pięcie i wyszedłem.

Rozdział 0.7

Proces

Zerknąłem na zegarek. Był czwartek, 9:45. Przez ostatnie pięć godzin krew pobrano mi dziewięć razy. Nie wiem, ile czasu spędziłem w pracowni RTG i z iloma lekarzami się widziałem. Od kilku minut czekałem w jednym z gabinetów szpitalnych, wypełnionych po brzegi sprzętem medycznym. Nagle do środka wszedł Reman w białym kitlu i z tabletem w dłoni. Usiadł przy mnie.

– Mam już potwierdzenie. Twoja pierwsza hibernacja może trwać maksymalnie osiem lat.

– Dlaczego? – zapytałem zdziwiony. – Przecież miało być dziesięć.

– Masz za mało tkanki tłuszczowej – wyjaśnił poważnie. – Opiszę ci to na przykładzie. Myślę, że to będzie najlepsza analogia do tego, co może się wydarzyć. – Kimbel sięgnął po starą gazetę, która leżała na stoliku i zaczął czytać:

„W leżącej za kołem podbiegunowym tundrze próżno szukać drzew czy jakiegokolwiek wysokiej roślinności. Skrajnie krótki okres wegetacyjny i niskie temperatury sprawiają, że olbrzymie połacie

terenu pokryte są co najwyżej niewielkimi krzewami, a w zdecydowanej większości jedynie trawami, mchami i porostami. Nic dziwnego, skoro lato jest nie tylko krótkie, ale i chłodne, a zimą temperatura spada nawet do minus pięćdziesięciu stopni Celsjusza. W cieplejszych miesiącach wprawmemu obserwatorowi uda się od czasu do czasu dostrzec przemykających pomiędzy skałami i kępami traw właścicieli nakrapianych beżowych futer. To susłogony arktyczne, kuzyni wiewiórek zamieszkujący północne obszary Ameryki Północnej i Rosji. Sympatyczne gryzonie buszują pośród niskiej roślinności jedynie przez cztery najcieplejsze miesiące. Po została część roku, kiedy temperatury są najniższe, a pożywienie praktycznie niedostępne, spędzają w hibernacji. Spośród wszystkich strategii na przetrwanie zimy ta jest bodaj najbardziej fascynująca. W legowiskach znajdujących się pomiędzy przypominającą beton wieczną zmarzliną a grubą warstwą śniegu temperatura może spadać do minus dwudziestu stopni Celsjusza. W tym samym czasie temperatura ciała hibernujących susłogonów obniża się z trzydziestu siedmiu stopni do minus trzech stopni Celsjusza. Ich krew i inne płyny ustrojowe, pomimo że mają temperaturę niższą niż temperatura zamarzania, pozostają płynne. Fizycy nazywają takie płyny cieczami przechłodzonymi. Dla susłogonów wykorzystanie tego zjawiska jest z jednej strony zbawienne, a z drugiej nie mniej śmiertelnie niebezpieczne niż życie na arktycznym mrozie. Ich krew może zamienić się w zabójczy lód w mgnieniu oka, wystarczy przypadkowe dotknięcie ich schłodzonego ciała lub defekt molekularnej maszynery pod skórą. Mimo tego ryzyka każdego roku tysiące susłogonów budzi się do życia, by w ciągu czterech miesięcy przygotować się do kolejnej hibernacji podczas arktycznej zimy”².

2 <https://www.projektpulsar.pl/zdrowie/2105627,1,hibernacja.read>

Kimbel odłożył gazetę na stolik. Obserwowałem go w oczekiwaniu na ciąg dalszy.

– Badania z końca roku dwa tysiące trzydziestego jednoznacznie potwierdziły, że podczas hibernacji susłogony tracą jedynie tłuszcz, a beztłuszczowa masa pozostaje niemal bez zmian. Okazuje się, że podobnie jest u ludzi. Teraz rozumiesz, dlaczego tylko osiem lat? Jesteś za chudy – stwierdził z uśmiechem. Następnie wskazał dwie kroplówki zwisające z wieszaka. W jednej była niebieska ciecz, w drugiej pomarańczowa. – I wreszcie przełom z roku dwa tysiące czterdziestego dziewiątego. Wraz z miniaturyzacją reaktorów jądrowych po odkryciu Ernesta Ektofagi dokonał się postęp w innych dziedzinach. To wtedy piętnastu mikrobiologów z uniwersytetu w Zurychu opublikowało pracę naukową na temat białka omega, które, jak twierdzili, jest ludzkim odpowiednikiem białka odpowiedzialnego u susłogonów za niezamarzanie krwi w temperaturze nawet kilku stopni poniżej zera. – Kimbel ponownie wskazał dwa kolorowe worki. – Niebieski to nanotechnologia rozprzadzająca białko, a pomarańczowy to białko omega.

Reman wstał i podszedł do szafki, z której wyciągnął chusteczkę. Następnie do mnie wrócił.

– Ciecz przechłodzoną można otrzymać na dwa sposoby – powiedział, delikatnie przecierając okulary. – Po pierwsze przez bardzo powolne ochładzanie czystej cieczy w naczyniu o gładkich ściankach, przy braku drgań i wstrząsów mechanicznych. Po drugie przez bardzo szybkie ochładzanie, tak szybkie, że substancja się nie skrystalizuje. Jak jest w przypadku hibernacji ludzi? Najpierw przez pięć sekund aplikuje się substancje zwiotczające. – Kimbel wyprostował kciuk. – Kolejne dziesięć sekund to aplikowanie nanorobotów. – Wystawił również palec

wskazujący. – Później mamy kilka minut oczekiwania, a po potwierdzeniu, że wszystko jest na swoim miejscu, podaje się białko omega. – Po tych słowach dołożył palec środkowy. – Jeżeli do tego momentu nie wykryto żadnych nieprawidłowości, umieszcza się zahibernowanego w specjalnej kapsule zasilanej przez cztery niezależne stopy atomowe. Całą tę konstrukcję osadza się na specjalnych poduszkach magnetycznych, które dbają o to, by w środku nic nie drgało. Wtedy też dochodzi do ostatniego etapu. – Kimbel wyprostował palec serdeczny. – Zamrażamy ciało tak szybko, że w zaledwie jedną piątą sekundy krew zamienia się w ciecz przechłodzoną. Przez następne lata białko omega podtrzymuje ten proces. Dlaczego nic nie może drgać? Otóż nawet najmniejsza wibracja może wybić zahibernowany układ z fazy cieczy przechłodzonej, a wtedy ona zwyczajnie zamieni się w... sam wiesz. – Kimbel spojrzał na mnie znacząco.

– Wiem – potwierdziłem. – Ale po co substancje zwiotczające?

– Nie możesz się ruszać – rzucił szybko, jakby nie słyszał mojego pytania. – Wiem, że to nie będzie przyjemne, ale cała procedura jest tak zaplanowana, by zapewnić ci jak największe bezpieczeństwo.

W tym momencie do sali wszedł Joel Ward. O dziwo, również on miał na sobie białe fartuch. Wyglądał w nim śmiesznie i trochę dziwnie, tak jakby ktoś siłą odebrał mu jego wspaniały garnitur. Chyba tak też się czuł, sądząc po jego minie.

– Dzień dobry – powiedział, zatrzymawszy się zaraz za drzwiami. – Wyniki badań wyglądają dobrze. Zapraszam panów ze mną. Mamy mało czasu, a zgodnie z pana życzeniem, panie Warner, musimy przejrzeć wszystkie załączniki.

Wyszliśmy na korytarz. Personel w szpitalu wiedział, co się dzieje i kim jestem, toteż na każdym kroku spotykałem się z zaciekawionymi spojrzzeniami. Dostrzegąłem w nich głównie uznanie, dzięki czemu przepełniało mnie poczucie misji. Po kilku sekundach skręciliśmy do sali konferencyjnej. Była dość przestronna jak na szpitalne standardy. Tuż przy wejściu znajdował się automat z kawą i wodą. Dwa metry dalej stał długi stół z dziesięcioma krzesłami. Na jego środku oraz na końcach znajdowały się wyłączone obustronne ekrany. W pomieszczeniu przebywało dziewięć osób: trzy kobiety i sześciu mężczyzn. Zajęli oni miejsca po jednej stronie stołu, tej przy ścianie. Na pierwszy rzut oka wyglądali na medyków, ale tutaj niemal każdy tak wyglądał, więc nie miałem pewności, kim są. Ward odsunął trzy krzesła i usiadł na jednym, a następnie ruchem ręki wskazał mnie i Kimbelowi dwa pozostałe. Usiadłem.

– Panie Warner, jest tu cały zespół. – Ward spojrzął na ludzi po drugiej stronie stołu. – Wszyscy zgromadzeni to zaufani współpracownicy SALUS-a, wybrani przez doktora Remana, który jest ich bezpośrednim przełożonym i odpowiada za całą grupę. Tak więc mamy pion hibernacyjny, kierowany przez panią doktor Kasandrę Blake. – Starsza kobieta o kruczoczarnych włosach skinęła głową. – Pion aktualizacyjny, dowodzony przez profesora Scotta Adamsa... – Naukowiec o nabrzmiałej twarzy wstał i się uklonił. – Oraz pion zdrowia psychicznego, którego szefem jest doktor Katana Mitutoyo. – Mężczyzna siedzący naprzeciw Warda skinął głową. – Doktorze Reman, bardzo proszę o przedstawienie ogólnego zarysu. Później przejdziemy do szczegółów.

Kimbel wstał i w tym samym momencie na dwóch ekranach ukazał się wielki napis „SALUS”.

– Zgodnie ze wstępnymi założeniami hibernacja będzie trwała maksymalnie osiem lat. Po przebudzeniu zespół oceni zasadność i możliwość kolejnej.

Reman stuknął w tablet leżący na stole. Na ekranie pojawiły się trzy punkty: „Bezpieczeństwo hibernacyjne”, „Zdrowie psychiczne” i „Aktualizacja pohibernacyjna”.

– Nad procesem i bezpieczeństwem procedury czuwał będzie zespół pani doktor Blake. Nie mam tu na myśli tylko usypiania i wybudzania. Przez cały czas twojego snu rozmaite czujniki będą dostarczały danych o twoim zdrowiu, co pozwoli w sposób ciągły przeprowadzać testy i analizy. Dzięki temu błyskawicznie wykryjemy potencjalne nieprawidłowości i będziemy mogli szybko zareagować. – Reman zrobił krótką pauzę i kontynuował: – Zespół pana doktora Mitutoyo będzie oceniał twój stan psychiczny oraz korygował założenia poznawcze, tak by szok podczas wybudzenia był jak najmniejszy. Jeżeli dadzą zielone światło, będziemy mogli przejść do ostatniego etapu, nad którym pieczę trzymać będzie pan profesor Adams. – Kimbel odwrócił się do mężczyzny siedzącego naprzeciwko mnie. – Panie Adams, proszę przedstawić panu Warnerowi proces aktualizacji.

– Tak, oczywiście – odezwał się profesor i wstał od stołu.

Stuknął kilka razy w tablet i na wszystkich ekranach pojawił się slajd prezentacji.

– Panie Warner, panie Reman, chciałbym jeszcze raz wyrazić swoją wdzięczność za zaangażowanie mnie do tego przełomowego projektu, to naprawdę dużo dla mnie znaczy. A teraz przejdźmy do sedna.

Na ekranie ukazał się krótki film przedstawiający proces hibernacji. Po chwili pojawił się nagłówek: „BINARYTOWA aplikacja informacji. Zestawienie danych aktualizujących”. Taką nazwę nosił jeden z załączników, którego treści nie ujawniono mi kilka dni wcześniej.

– Szanowni państwo – ciągnął Adams. – Naszym ekspertom, mimo ograniczeń czasowych, udało się zaplanować cały proces aktualizacji. Nie potrzebujemy zaawansowanej technologii, potrzebujemy ludzi. Przez cały okres hibernacji z pomocą SI musimy skrupulatnie gromadzić i przetwarzać wszelkie niezbędne dane. Później wyznaczony podzespół będzie kodował pozyskane informacje w sekwencję binarytową.

Adams wyszedł zza stołu. Z ekranów zniknął obraz, więc wszyscy obróciliśmy się w stronę mężczyzny.

– Każda sekwencja binarytowa będzie poddawana trójpoziomowej weryfikacji i akceptacji przez: mój zespół, zespół zdrowia psychicznego pana doktora Mitutoyo oraz przez pana Remana. Dopiero po tym etapie uzbrojony binaryt zostanie przekazany panu Warnerowi. Wszelkie zmiany w strukturze substancji będą musiały być zatwierdzane według tych samych wytycznych. Każda próba manipulacji w sekwencji doprowadzi do naruszenia kodu ochronnego. Przygotowujemy również zabezpieczenia kryptograficzne przystosowane do tego procesu.

Adams wrócił na miejsce i usiadł. Na ekranach pojawił się slajd z wypunktowanymi kategoriami danych, które miały być mi aplikowane przy wybudzeniu.

Profesor kontynuował:

– Razem z binarytem dostarczymy panu Warnerowi: aktualne informacje na temat nowych technologii i sytuacji

geopolitycznej wraz z przewidywanymi scenariuszami oraz to, co dla niego najważniejsze, wieści o jego rodzinie i badaniach nad elastami. Czy są jakieś pytania?

Rozejrzałem się po sali. Wyglądało na to, że wszyscy czekają na moją reakcję.

– Tak – odpowiedziałem. – Muszę wiedzieć więcej. Na przykład jak bardzo szczegółowe będą dane? Czy będzie to kilka stron informacji, czy cała książka? Jak wicie, wstrzykniecie binarytu to jedno, a „przejrzenie” tych danych to drugie. Nawet u elasty przywołanie niektórych wspomnień wymaga czasu, a co dopiero odtworzenie encyklopedii.

– Masz rację, Bane – przyznał Kimbel. – Dziękuję za to pytanie. Bazując na wynikach pochodzących z sesji binarytowych przeprowadzonych z profesorem Kasperem, wiemy, jak długo zajmuje ci „przejrzenie” tego, co dostajesz. Widzimy też, że robisz to coraz szybciej. Dostrzegamy liniowy wzrost twojej zdolności do przeglądania wiedzy z binarytu. Planujemy więc taki pakiet danych podstawowych, by czas ich „przejrzenia” nie wyniósł więcej niż cztery godziny. Tyle powinno wystarczyć.

– Podstawowych?

– Tak. Sesję binarytową chcemy podzielić na dwie części: to, co najważniejsze, czyli „do przejścia”, oraz to, co mniej ważne, czyli „do odszukania” w razie potrzeby.

To rzeczywiście miało sens.

– Rozumiem – odpowiedziałem. – Pozostaje ostatnie pytanie: co dalej?

Tym razem głos zabrał Ward:

– Jeżeli nie ma pan więcej pytań, prosimy o podpisanie dokumentów. Zamkniemy tym samym niezbędne formalności i jutro

o dziewiątej będziemy mogli zaczynać. Może pan zabrać ze sobą rzeczy osobiste, bardzo prosimy jednak o ograniczenie się do jednej walizki. Na miejscu dostanie pan wszystko, co niezbędne.

Rozdział 0.8

Pierwszy sen

Zgodnie z planem o godzinie 9:00 leżałem na specjalnym łóżku w przestronnym, sterylnie czystym pomieszczeniu oświetlonym chłodnym, klinicznym światłem. Razem ze mną w sali było kilkanaście osób – zespół Kimbela oraz przedstawiciele SALUS-a.

W tej surowej atmosferze – bardziej przypominającej laboratorium niż szpital – po raz pierwszy przyszło mi do głowy pytanie: jak potężny i wpływowy musi być SALUS, skoro może pozwolić sobie na taką infrastrukturę, taki personel?

Omiotłem wzrokiem otoczenie. Było tu tak wielu ludzi, a mimo to czułem się samotny. Od roku nie widziałem się z siostrą. Teraz tęsknota za nią była wręcz bolesna. Po ostatniej kłótni z ojcem nagle zniknęła. Zostawiła tylko list, w którym napisała, że nie chce być częścią tej rodziny, i rozplynęła się w powietrzu. Później nieoczekiwanie ściągnęła mnie na tajemnicze spotkanie, do którego nie doszło i znów cisza. A przecież musiała wiedzieć, co się ze mną dzieje. Dlaczego nie spróbowała ponownie... Krisi zawsze była moim oparciem. To ona ratowała mnie z kłopotów, w które sam się

wplątywałem. Ja byłem tym niesfornym uczniem, impulsywnym i wiecznie zamyślnym, uciekającym na dachy czy włóczącym się po opuszczonych budynkach, a ona tą, która łapała mnie za rękę, zanim poszedłem o krok za daleko. Wskazywała mi drogę, gdy sam widziałem tylko ślepe uliczki.

Z zamyślenia wyrwał mnie dźwięk otwieranych drzwi. Podniosłem wzrok. Przed sobą miałem wyjątkowo elegancką kobietę.

Długie czarne włosy spięte w kucyk, smukła sylwetka, doskonale podkreślona przez czarną sukienkę. Świeża opalenizna, modne okulary przeciwsłoneczne i smartwatch Raptor W8.

– Kriś? Kristina, to ty?

– Nie, Srisi – odpowiedziała z uśmiechem i uściskała mnie serdecznie.

Po szybkim powitaniu odsunęła się i popatrzyła mi prosto w oczy.

– Wyglądasz świetnie, siostra. Co ty tutaj robisz?

– No, jak na te okoliczności, to raczej głupie pytanie – stwierdziła, siadając na jednym z krzeseł stojących pod ścianą.

W tym samym momencie do pomieszczenia wszedł Kimbel.

– Bane, w poczekalni jest twoja siostra. Mamy ją wpuść... – przerwał, gdy zobaczył Kriś. – Co? Jak pani...?

– Spokojnie, mam swoje sposoby. – Uśmiechnęła się. – Chciałam porozmawiać z bratem na osobności, zanim zaśnie na parę lat.

Zerknąłem na marszczącego brwi Kimbela. Pewnie starał się połączyć kropki, zrozumieć, jak to możliwe, że do tak ściśle nadzorowanego pomieszczenia wszedł ktoś postronny.

– Czy możemy prosić o parę minut? Tylko chwilę, zanim ją stąd wyprowadzą.

Widać było, że Kimbel się waha. Wędrował spojrzeniem od Krisi do mnie, jakby oceniał sytuację. W końcu skinął głową i wyszedł z sali, a za nim pozostałe osoby. Zostaliśmy sami.

– No. – Odwróciłem głowę do siostry. – Co się z tobą działo przez te wszystkie miesiące? Dlaczego się nie odzywałaś? Dlaczego wysłałaś po mnie samochód, a potem nie raczyłaś się zjawić?

Krisi założyła nogę na nogę i zdjęła okulary. Wtedy zauważyłem na nich logo firmy. Znowu Raptor? O co tutaj chodzi? Siostra sięgnęła do kieszeni i podała mi czarną, plastikową kartę wielkości wizytówki. Był na niej duży biały napis: RAPTOR Automation. Nagle litery zaiskrzyły. Odruchowo przymrużyłem oczy i prawie ją upuściłem. Po chwili pod białym tekstem pojawiło się imię i nazwisko: „Kristina Warner”, a sekundę później: „OWNER”. Szczęka mi opadła.

– Właścicielka? – Nie dowierzałem. – Jesteś właścicielką Raptor Automation?

Krisi się uśmiechnęła.

– Brawo. Już rozumiesz, dlaczego mnie nie było? Za incydent w moim domu przepraszam. Wydarzyły się pewne rzeczy, których nie mogłam tak po prostu zignorować.

To dlatego musiałem pośpiesznie opuścić jej dom? Bo coś się wydarzyło? Tylko co mogło być tak ważne? Teraz nie było sensu dopytywać. Znam ją. Jeżeli nie będzie chciała to i tak mi nic nie powie. Wróciłem więc do tematu Raptor Automation.

– Jak udało ci się zostać właścicielką takiej firmy? Wiem, że technologia zawsze była twoją pasją, ale numer jeden w tej dziedzinie, i to w rok? I dlaczego nikomu nie powiedziałaś? Po co ta tajemnica?

– Była potrzebna. Nie chciałam, by ktokolwiek poznał prawdę – odparła. – Ten błysk to nie odbite światło, tylko

skan twojej siatkówki. Jesteś jedyną osobą na świecie, która może odczytać cały napis na wizytówce. W sumie przygotowałam ją specjalnie dla ciebie. Dla każdego innego będzie kawałkiem nanokartonika z napisem RAPTOR Automation. Oficjalnie właściciela firmy nie ma, nie istnieje. Chcę chronić swoją prywatność i siebie. Nawet to pomieszczenie jest naszpikowane elektroniką: kamery i pasywne mikrofony kierunkowe. Większości z nich nawet nie zauważysz. Ale nie martw się, nie słyszą nas. Tkanina, którą mam na sobie, to kompozyt z warstwą metamateriału. Generuje szum w paśmie mowy i tłumi emisje elektromagnetyczne. A jak to się udało? – Krisi odchyliła się wygodniej na krześle i spojrzała na mnie z uśmiechem. – Trafiliśmy z produktem. Zaawansowana robotyka rok temu była totalną niszą. Ludzie woleli drony i durne roboty domowe od prawdziwych kombajnów technologicznych. Dzięki mnie wszystko się zmieniło. Już siedem procent populacji używa naszej wielofunkcyjnej robotyki, o okularach nie wspominając. Wiesz, jak tu weszłam? – zapytała nagle, energicznie wstając z krzesła.

– Jak?

Wyciągnęła przed siebie lewą rękę, na której miała zegarek, po czym palcem prawej dłoni dotknęła jego tarczy i... zniknęła. Na moich oczach rozplynęła się w powietrzu.

– Co jest?! – krzyknąłem. – Gdzie ty jesteś?

Cisza. Zacząłem się denerwować, moja siostra właśnie się zdematerializowała i nie dawała znaku życia. Wtedy na szyi poczułem delikatny podmuch, a do mojego ucha ktoś wyszeptał:

– Tutaj.

– Ja pierdzielę! – Zerwałem się na równe nogi.

Na środku pokoju, równie nagle jak zniknęła, pojawiła się Krisi. Śmiała się do rozpuku. Po chwili dołączyłem do jej wybuchu radości, mimo iż serce waliło mi jak szalone.

– Chcesz, żebym zszedł na zawał? – powiedziałem, siadając z powrotem na łóżku. – Nie rób tak więcej.

– Jasne – odbąknęła, puszczając do mnie oko. – Tworzymy takie rzeczy, o jakich się jeszcze nikomu nie śniło, brat. Naprawdę! Dlatego też wszyscy zaczynają się nam przyglądać, także twoi koledzy spod znaku zakrzywionego krzyża.

– Znasz SALUS-a?

– Na tyle, na ile to możliwe. To chyba najbardziej hermetyczna super organizacja na świecie. Między innymi dlatego tu jestem. – Krisi przysunęła krzesło do łóżka i usiadła naprzeciwko mnie. – Nie możesz ufać tym ludziom, Bane. Cokolwiek ci mówią, nie możesz im ufać. Jeszcze nie jest za późno.

– Jest. Wszystko już podpisałem.

– To niczego nie zmienia. Powiedz tylko słowo, a wyprowadzę cię stąd w dwie minuty. SALUS śmierdzi na kilometr.

Jeszcze raz spojrzałem na siostrę. Choć była starsza ode mnie o pięć lat, nie było widać w ogóle tej różnicy. Uśmiechnięta i pełna energii wyglądała tak, jakby jej życie dopiero się zaczynało.

– Dziękuję, Krisi, za propozycję, ale nie.

– Jasne! – podniosła głos, mrużąc oczy. – Ten stary pierdziel cię przekonał. Nawet słyszę, jak mówi: „to jest ważne” albo „tak trzeba, Bane, tak trzeba” – dodała i pokiwała głową z rezygnacją.

– Nie, to nie tak. Prawda jest taka, że... – wziąłem głęboki wdech – nie mam tutaj niczego, wiesz? I niczego już nie będę miał... Właściwie jedyne, co może ten stan rzeczy zmienić, to

czas. Może trochę lepiej uda się zrozumieć moją naturę... na tyle lepiej, by... – zawiesiłem głos.

– Rozumiem – odpowiedziała spokojnie Kriś. – Rozumiem. Rób, co musisz. Pamiętaj tylko, że ja będę na ciebie czekała. Cokolwiek się wydarzy, będę patrzeć im na ręce.

– A co z ta...

– Nic – przerwała mi w pół słowa, gwałtownie unosząc dłoń. – Nie zaczynamy tego tematu, proszę.

Wtedy usłyszałem głośne kroki na korytarzu. Wyglądało na to, że pomimo dyskrecji Kimbela ochrona zauważyła, że moja siostra opuściła poczekalnię.

Kriś wstała i rozłożyła ręce, dając mi jasny sygnał, że czas na pożegnanie.

– Do zobaczenia za osiem lat – powiedziała, obejmując mnie.

– Do zobaczenia – odparłem, ściskając ją mocno.

Do sali wtoczyło się kilkanaście osób, które wcześniej zostały wyproszone przez Kimbela, oraz dwóch ochroniarzy. Kriś zniknęła w ten sam sposób, w który wcześniej się pojawiła, zapewne przemknęła pomiędzy wchodzącymi.

Zamyśliłem się.

Nie mogłem pojąć, co takiego wydarzyło się między nimi, że moja siostra tak źle reaguje już na samo słowo „tata”. Klócili się ciągle i to właściwie o nic, bo ojciec miał konkretną wizję naszej przyszłości, a Kriś nie jest osobą, którą można zmusić do czegokolwiek. Ale żeby aż tak?! Nigdy bym nie przypuszczał, że mogą całkowicie zerwać kontakt.

Z głową pełną myśli przygotowywałem się do tego, co miało nadejść. Nie byłem pierwszym człowiekiem, którego wprowadzano w stan hibernacji. Do tej pory z sukcesem wykonano

ponad tysiąc tego typu procedur. Byłem natomiast pierwszą i najprawdopodobniej ostatnią osobą tak wyjątkową...



Z zamyślenia wyrwał mnie głos Kimbela wchodzącego do pokoju.

– Zaczynamy – oznajmił.

Skinąłem głową, po czym położyłem się na łóżku i wyprostowałem ręce wzdłuż ciała. Kimbel podszedł do mnie i wstrzyknął do mojego krwiobiegu substancję zwiotczającą.

To było przerażające. Moje ciało zaczęło drętwieć. Po chwili nie mogłem już ani mówić, ani się ruszyć. Kilkadziesiąt centymetrów nad moją głową wisiał bioekran. Umieścili go tam, abym mógł, choć w ograniczonym zakresie, widzieć, co dzieje się wokół mnie.

– Przechodzimy do etapu drugiego – powiedział Kimbel.

W tym momencie uruchomił się mechanizm dozujący nanotechnologię. Wielka tuba z niebieskim płynem została opróżniona. Poczułem delikatne mrowienie rozchodzące się od czubków palców stóp w górę. Czy odpowiadały za to małe mechanizmy lokacyjne przemieszczające się po moim ciele? Zegar na ekranie pokazywał, ile czasu pozostało do zaaplikowania białka „omega”. Wraz z nim do mojego krwiobiegu zostanie wprowadzony środek usypiający. Chciałem zachować świadomość tak długo, jak to było możliwe.

Odliczanie dobiegło końca. Zobaczyłem twarz Kimbela.

– Trzymaj się, Bane. Nic już nie będzie takie jak dziś.

Poczułem rozluźnienie podobne do tego, które ogarniało mnie tuż przed zaśnięciem.

Gdy obudzę się za osiem lat, nic już nie będzie takie jak dziś...

Moja przyszłość

Rozdział 1.0

Wybudzenie

Usłyszałem szum, jakby wiatr poruszał liśćmi w koronach drzew. Po chwili poczułem lekkie szarpnięcie i nieprzyjemny, lodowaty ucisk w okolicy prawego oka. Wkrótce potem lewe zaboląło w ten sam sposób. Zaniepokoiłem się. Coś było nie tak. Dlaczego nie mogę otworzyć oczu? Czy to sen? Nagle, jakby zza grubej ściany, dotarł do mnie stłumiony męski głos.

– Pierwszy maja. Rok dwa tysiące dziewięćdziesiąty siódmy. Bane Warner. Urodzony dziewiątego września dwa tysiące pięćdziesiątego ósmego roku. Imię ojca: Aleksander. Imię matki: Elizabeth. Układ kostny w normie. Układ mięśniowy w normie. Układ pokarmowy w normie. Układ oddechowy w normie. Układ moczowo-płciowy w normie. Układ krążenia w normie. Układ chłonny w normie.

Zapadła cisza. Wracała mi pamięć. Zostałem zahibernowany. Ta świadomość poruszyła mnie do głębi. Czy to możliwe, że minęło już osiem lat? Czy naprawdę jest rok 2097?

Wtedy usłyszałem ten sam głos, tym razem głośnie i wyraźny, jakby mówiący stał tuż obok.

– Układ nerwowy w normie. Powłoka wspólna w normie. Oczyszczam ciało z materii nanotechnologicznej. Oczyszczam ciało z białka „omega”. Przywracam mobilność.

Otworzyłem oczy i natychmiast je zamknąłem. Poraziło mnie ostre światło. Boże, jaki ból! Chciałem krzyknąć, ale z mojego gardła wydobył się tylko cienki, ledwo słyszalny pisk:

– To boli. Przygaście światło.

Zrobiło się ciemniej. Skupiłem się na sobie. Czy jestem cały? Ciało wydawało się nienaruszone, ale w ustach czułem okropną suchość. Jakby ktoś wypchał mi gardło wilgotnymi trocinami i zostawił je tam, aż zmieniły się w duszącą, lepką papkę, utrudniającą przełykanie.

– Bane, spokojnie. System sprawdza ostatnie parametry. Zaraz cię wyciągniemy.

Znałem ten głos. Należał do Kimbela Remana. Ponownie otworzyłem oczy.

Leżałem w szklanej kapsule. Miałem na sobie cienki, organiczny, biały kombinezon. To widziałem wyraźnie, jednak wszystko poza kapsułą było rozmazane. Wokół dostrzegałem jedynie cienie szybko poruszających się ludzi. Nie miałem pewności, czy to wina przeszklenia, czy też moje oczy dopiero odzyskiwały pełną sprawność. Nagle usłyszałem kilka następujących po sobie dźwięków przypominających uderzenie o siebie dwóch ciężkich, metalowych elementów. Pokrywa kapsuły delikatnie odskoczyła i zjechała na bok. Z trudem uniosłem się do pozycji siedzącej.

W sali zebrał się spory tłumek. Żadnej z osób nie rozpoznałem – wszystkie miały na sobie kombinezony ochronne zakrywające całe ciało. Widać im było tylko oczy, spoglądające na

mnie przez małe przeszklenia. Jedna z postaci ruszyła w moją stronę, ale zatrzymała się w pewnej odległości.

– Witaj, Bane.

– Kimbel? – zapytałem i przełknąłem ślinę, by choć trochę zwilżyć suche gardło.

– Tak, to ja. Przepraszam za to całe zamieszanie. Jak się czujesz? – zapytał.

W tej samej chwili podeszły do niego trzy osoby.

– Chyba dobrze – odpowiedziałem. – Tylko gardło mam wyschnięte na wiór. No i nie mam siły, ale to chyba normalne. Dlaczego macie na sobie skafandry? Czy coś ze mną nie tak?

Wiedziałem, że podczas hibernacji raczej nic się nie wydarzyło, bo inaczej bym się nie obudził, ale kto wie. Lubiłem filmy katastroficzne, a w nich takie kombinezony nigdy nie wróżyły niczego dobrego.

– Nie, nie. Z tobą wszystko OK – odpowiedział Kimbel. – Musimy działać zgodnie z protokołem, ale zaraz wszystko będzie jasne. – Odwrócił się do stojących obok niego ludzi. – Bardzo proszę, żeby cały personel opuścił salę – powiedział. – Zostają tylko decyzyjni i kontrolerzy z SALUS-a. Pani Blake, czy wszystkie boczki zostały już zamknięte?

– Tak – odpowiedziała, jak założyłem, doktor Kasandra Blake, nadzorująca hibernację.

– Dziękuję. Panie Mitutoyo, czas na pana.

Gdy tylko do Kimbela dołączyli inni ludzie, od razu się domyśliłem, który z nich to doktor Katana Mitutoyo. Był najniższy. Zrobił dwa kroki do przodu.

– Panie Warner – zaczął Mitutoyo. – Pana systemy wewnętrzne nie wykazują żadnych uszkodzeń. Zadam teraz panu kilka pytań. Proszę odpowiadać tak lub nie.

Skinąłem głową na znak, że jestem gotów.

– Czy uważa się pan za dobrego człowieka?

– Tak.

– Czy moralność jest dla pana ważna?

– Tak.

– Czy nie krzywdzi pan innych?

– Nie.

– Czy uważa pan, że jest tak samo wartościowy jak inni ludzie?

– Tak.

– Czy po wybudzeniu pierwsza pana myśl była negatywna?

– Nie.

– Czy śnił pan podczas hibernacji?

– Nie.

– Czy po wybudzeniu towarzyszyły panu myśli, by zrobić komuś krzywdę?

– Nie.

– Czy po wybudzeniu któraś część pana życia jest dla pana zagadką?

– Nie.

Mitutoyo zadał jeszcze kilkadziesiąt pytań, w większości dotyczących okresu przed hibernacją. Następnie cofnął się do Kimbela. Nie widziałem ich twarzy, nie potrafiłem odczytać emocji, jednak czułem, że atmosfera w pomieszczeniu jest gęsta i nerwowa. Prawdopodobnie przekazywali sobie coś przez komunikatory wbudowane w kombinezony. Trwało to kilka sekund, po czym Kimbel odwrócił się do mnie.

– Wszystko w porządku, Bane – powiedział, próbując brzmieć uspokajająco. – Jeszcze tylko kilka procedur. Wkrótce

wszystko się wyjaśni. – Spojrzał na naukowców. – Dziękuję, pani Blake. Dziękuję, panie Mitutoyo.

Naukowcy rozeszli się i wtedy zauważyłem małe okienko, za którym stała grupa nieznanych mi ludzi. Co oni tam robili?

Kimbel i doktor Adams, wciąż w kombinezonach, podeszli bliżej, ale nie na tyle, bym mógł im podać rękę. O co tu chodzi...?

– Więc tak, Bane – zaczął Kimbel – odpowiadając na twoje wcześniejsze pytanie: nie, wszystko z tobą w porządku, nie obawiamy się ciebie. Po prostu boimy się o ciebie. W ciągu ostatnich lat pojawiło się kilka nowych patogenów i niektóre z nich są groźne. Mamy już leki i szczepionki, co nie zmienia faktu, że w stanie, w jakim obecnie się znajdujesz, lepiej, jak to się mówi, dmuchać na zimne. Zrozumiesz wszystko podczas aktualizacji.

– Okej. – Pokiwałem głową, starając się zachować spokój. Czuję się coraz lepiej. – Ale chyba mnie później wypuscicie, co? Chciałbym się zobaczyć z...

– Tak, jak najbardziej – przerwał mi Kimbel. – Najpierw jednak musimy przeprowadzić dodatkowe badania i oczywiście zaktualizować twój organizm, a nie tylko pamięć, jeżeli wiesz, co mam na myśli.

– Jasne. – Chodziło mu o szczepionki i immunogeny, które zgodnie z umową miałem przyjąć zaraz po wybudzeniu. – Zaczynamy więc.

Kimbel podszedł na wyciągnięcie ręki i podał mi kartkę. Był na niej plan procesu aktualizacji binarytu ze wszystkimi niezbędnymi podpisami. Znałem procedurę, więc kolejny raz skinałem głowę. Reman odebrał ode mnie dokument i podał go doktor Blake.

– Zacznijmy, Kasandro. Bane, proszę cię o zakodowanie sekwencji otwierającej oraz zamykającej – powiedział Kimbel.

Zasada była prosta. Zakodowane w binarycie zera i jedynki na otwarcie stanowiły przekaz warunkujący, który mówił mojemu mózgowi: „Zacznij przetwarzać”. Gdy binaryt ten pokonywał barierę krew-mózg, mój umysł przestawiał się i czekał na dalsze porcje substancji, by zera i jedynki zamienić w słowa. Natomiast sekwencja zamykająca była zaworem bezpieczeństwa, a mówiąc wprost: igłą z szeregiem nanorurek, którą w każdej chwili mogłem wbić w szyję, przerywając transfer informacji.

Obok mojego prawego przedramienia Kasandra Blake umieściła tubę z niebieskim płynem. Prawdziwy cud techniki – miliony ułożonych z atomową precyzją nanorurek wypełnionych binarytem, mającym zaktualizować mnie o wydarzenia ostatnich ośmiu lat.

– Gotowe – powiedziała, po czym spojrzała w moją stronę. – Powodzenia, panie Warner.

Po tych słowach ona, doktor Mitutoyo i Kimbel wyszli z sali. Zostałem sam. Usiadłem na dostarczonym do sali fotelu, zamknąłem oczy i nacisnąłem niebieski guzik. Poczułem gwałtowne uderzenie ciepła, a następnie usłyszałem syk pneumatycznego mechanizmu szeregowego dozowania binarytu.

W mojej głowie pojawiły się pierwsze informacje, a wraz z nimi nudności. Po kilku sekundach ustąpiły i myśli stały się klarowne. Dane spływały wprost do pamięci – dla mnie powoli, dla świata ekstremalnie szybko. Skupiłem się tylko na głównych zagadnieniach.

Nauki podstawowe, w tym nowe technologie i ewentualne skoki cywilizacyjne.

„Brak przełomów w fizyce wysokich oraz niskich energii. Brak przełomów w mechanice kwantowej, fizyce relatywistycznej,

jądrowej oraz kosmologii. Kilka prac naukowych porządkujących świat kwantów oraz teorię pola”.

Przewinąłem ten wątek bez większego zainteresowania. Informacje zostaną w pamięci, może kiedyś się przydadzą.

„Globalne zastosowanie reaktorów jądrowych doprowadziło do całkowitego wyeliminowania wykluczenia społecznego i ubóstwa. Czysta energia jądrowa używana jest w 98% mieszkań zarejestrowanych podczas globalnego spisu społecznego”.

Przewinąłem kawałek dalej.

„Zapotrzebowanie na surowce kopalne spadło prawie do zera”.

Kolejne tabele danych i opisy wręcz kwitnącej światowej gospodarki energetycznej. Niesamowite...

„Każdy człowiek na świecie, dzięki sieci satelitów oraz rozproszonej sieci neuronowej sztucznych inteligencji, ma dostęp do internetu”.

Stop. To było coś nowego. Zacząłem przeglądać dane, które do tej pory otrzymałem, ale nie znalazłem niczego na ten temat. W dalszej części pojawiło się kilka dodatkowych faktów.

„Moc obliczeniowa sieci sztucznych inteligencji umożliwia zarządzanie znaczną częścią systemów zapasowych oraz satelitarnych. Dzięki nowoczesnym satelitom i zaawansowanym poprawkom kalibrującym, system potrafi określić położenie mikroodbiornika z dokładnością do czterech milimetrów”.

Osiem lat? To była dopiero pierwsza kategoria, a już tak wiele się wydarzyło!

Miałem nieprzyjemne wrażenie, że ominęło mnie coś naprawdę ważnego. Poczułem strach przed kolejną hibernacją...

Przeskoczyłem dalej. Muszę skupić się na kluczowych informacjach, bo inaczej przytłoczy mnie ogrom zmian.

Struktura globalna i społeczeństwo, w tym zagrożenia i możliwości.

„Zamieszki w Chile po obaleniu rządu. Dodatkowe dane: premier, by nie dopuścić do rewolucji atomowej, kontrolował przepływ informacji i dzięki manipulacjom umożliwiał funkcjonowanie ostatnim koncernom naftowym. To jego działania doprowadziły do rozruchów i obalenia rządu”.

„Znaczna redukcja liczby funkcjonariuszy służb mundurowych. Daleko posunięta transparentność wspierana przez sztuczną inteligencję doprowadziła do spadku przestępczości o 87%, a przestępczości zorganizowanej o 99%”.

Zatrzymałem się na chwilę. Co w tym przypadku znaczy transparentność? Zaraz... Kolejne zera i jedynki binarytu przyniosły odpowiedzi na część pytań. Ludzie podłączeni do systemu, w sposób ciągły obserwowani przez satelity i drony. Właściwie nie byłem zaskoczony. To działo się od dawna, problem był bardziej natury prawnej niż technicznej. Czyli to nic innego, jak ładnie nazwana inwigilacja, na którą zgodzili się inwigilowani...

„Projekt Redukcji Agresji Wrodzonej i Dziedzicznej. Analiza PRAWD.A. Cel: całkowite uwolnienie się człowieka od zachowań impulsywnych wynikających z braku kontroli nad emocjami prowadzącymi do agresji”.

Ależ masło maślane. Dalej w dokumentacji znalazłem:

„Stało się jasne, że tendencja do irracjonalnego kłamania oraz zachowań agresywnych wynika z nieprawidłowej ekspresji sekwencji genów dominujących po stronie ojca oraz dziadka”.

Ciekawe. Geny odpowiedzialne za agresję... Na etapie neandertalczyka zachowania impulsywne, instynktownie agresywne mogły być zbawienne, ale teraz, nad wyraz eksponowane,

bardziej przeszkadzały niż ratowały życie. Kolejny etap ewolucji, pełna kontrola nad emocjami.

Niczego więcej o projekcie nie znalazłem. Widocznie nic ważnego się nie wydarzyło. Natomiast sama inżynieria genetyczna czy farmakologia na takim poziomie... Do czego to może doprowadzić? Ta myśl nie dawała mi spokoju. To będzie pierwsza rzecz, o którą zapytam Kimbela, gdy się spotkamy.

Postępy w teorii elastów oraz informacje o rodzinie.

„Ponad wszelką wątpliwość potwierdzono istnienie kolejnych dwóch elastów. W poprzednich badaniach nie wykazywali oni skłonności adaptacyjnych, co według większości badaczy przeczy teorii, że elasti rodzą się „inni”. Badanie F. Gepert i M. Bonny sugeruje ujawnianie się funkcji elastycznych umysłu dopiero na pewnym etapie rozwoju mózgu, zazwyczaj w okresie od dwudziestego drugiego do trzydziestego roku życia. Wyniki badań, ze względu na niereprezentatywną statystycznie próbkę, są podawane w wątpliwość przez znaczną część środowiska akademickiego”.

Czyli może jest nas więcej? To dobrze.

Kolejne zera i jedynki, a z nimi pełna dokumentacja badań. Było tego bardzo dużo i zaczynałem odczuwać zmęczenie. Z pewnością nie upłynęło więcej niż kilka minut, a ja miałem za sobą encyklopedię.

„Rodzina Warnerów...”.

U mamy wszystko w porządku, miałem nawet dostęp do jej ostatnich badań. Tata zmarł trzy miesiące po moim успіchu. Chociaż się tego spodziewałem, coś ukuło mnie w sercu, emocje – choć tego nie chciałem – ożyły. Rozpłakałem się, ale nie wiem, czy naprawdę, czy tylko we własnych myślach. Zaprağnałem spotkać się z mamą, śmierć taty musiała być dla niej

bardzo bolesnym przeżyciem. Miałem nadzieję, że Krisi była z nią w tych trudnych chwilach. No właśnie, Krisi. Zerknąłem w strumień danych. Oczywiście, zero informacji na jej temat. Zawsze miała bzika na punkcie prywatności. Teraz, w tym „nowym” świecie, musiało być jej bardzo trudno.

Wziąłem głęboki oddech i otworzyłem oczy. Zauważyłem, że przybyło mi sił. Widocznie razem z binarytem dostałem pokazną porcję witamin i stymulantów. Dookoła mnie stało wielu ludzi wpatrujących się we mnie bez słowa. Próbowałem pozbierać myśli. Osiem lat, wyeliminowanie ubóstwa, ogromna moc obliczeniowa sieci, kolejni elści i transparentne społeczeństwo. Jak bardzo transparentne? Dlaczego ludzie zgodzili się na permanentną inwigilację?

Nie mogłem się doczekać wyjścia z tego miejsca. Na mojej twarzy zagościł uśmiech na myśl o tym, że wszystko może się zaraz skończyć. Przecież nie było nas już tylko troje, mogli kontynuować badania beze mnie.

W tym momencie zgrzytnęły otwierane drzwi. Do środka powolnym krokiem weszła jeszcze jedna postać w skafandrze. Była trochę przygarbiona, a idąc, szurała nogą, jakby miała trudności z jej uniesieniem. Wtedy sobie przypomniałem, kto chodzi w taki specyficzny sposób.

– Mama?

– Cześć, syneczku – odpowiedziała czule. – Jak się czujesz?

– Całkiem dobrze – odparłem, wstając.

Chciałem ją przytulić, ale wiedziałem, że jeszcze nie mogę. Nawet nie zauważyłem, kiedy zostaliśmy sami.

Upłynęło osiem lat, odkąd widziałem ją po raz ostatni. Myślałem o tym, co nas ominęło – o świętach, urodzinach, częstych

rozmowach. Teraz każde słowo, każdy gest wydawały się na wagę złota.

– Co u ciebie? Wiem tylko tyle, ile mi przekazali.

– Wszystko w porządku – uspokoiła mnie. – Nie o wszystkim mogę mówić, dopóki cię nie podleczą, ale generalnie wszystko w porządku.

Dopóki mnie nie podlecą? Co to miało znaczyć... W wąskim przeszkleniu skafandra widziałem oczy mamy, były... zmęczone? Widoczne fragmenty skóry wyglądały na pokryte... pudrem. Dlaczego?! Mam nigdy się nie malowała. Była naturalnie piękna. Poza tym, po co jej makijaż, skoro twarz miała ukrytą pod skafandrem? Zacząłem nabierać podejrzeń.

– Mamo, przecież widzę, że coś jest nie tak. Co się dzieje?

– Nic, naprawdę nic. Świat idzie do przodu, a ja stoję w miejscu. Tak samo jak twoja siostra.

Teraz byłem już pewien, że coś tu nie gra. Nawet gdyby cały świat się zatrzymał, moja siostra na pewno nie stanęłaby w miejscu – jej charakter na to nie pozwalał. Krew w moich żyłach zaczęła płynąć szybciej. Podeszedłem do okienka i zerknąłem. Ludzie, którzy wcześniej stali po drugiej stronie, zniknęli. Za przeszkleniem było teraz tylko puste, białe pomieszczenie. Z rękami założonymi za plecami wróciłem do mamy.

– O co chodzi? – zapytałem. – Dlaczego nie mówisz wprost? Chyba nie myślisz, że nas podsłuchują?

– Nie, nie – odpowiedziała pośpiesznie. – Po prostu powiedzieli, że będziemy mieć czas dla siebie, gdy cię podlecą. Wiesz... wołałabym z tobą porozmawiać bez tego czegoś na sobie.

Mama zaczęła opowiadać o tym, jak bardzo zmienił się świat, jak wszystko jest teraz na wyciągnięcie ręki. Próbując skupić się na tym, co mówi, usiadłem. Czułem, że coś mi umyka, przyjrzałem się jej jeszcze raz i zauważyłem coś osobliwego. Mówiła do mnie, ale nie patrzyła mi w oczy. Wzrok utkwiła w ścianie gdzieś za mną. Odwróciłem się powoli, nie dostrzegłem jednak niczego szczególnego – zwyczajna biała ściana.

– A co słyhać u cioci Oli? – zapytałem, wstając. – Przemasz, ale po latach w bezruchu muszę rozprostować nogi – dodałem z uśmiechem.

Mama kontynuowała, a ja się rozciągałem i chodziłem po sali. W tym samym czasie przyglądałem się ścianom. W niektórych miejscach biała powierzchnia była nieco ciemniejsza, wydawała się nie do końca płaska – albo delikatnie wypukła, albo, co bardziej prawdopodobne, wklęsła. Automatycznie przytakiwałem mamie. Wiedziałem, że mówi tylko po to, żeby dać mi czas. Podeszedłem bliżej miejsca, w którym na ścianie załamywało się światło. Policzyłem kroki, podsumowałem obliczenia, kucnąłem, udając, że robię przysiad. Wstałem. Tu nie było jednego miejsca, w którym zamontowano podsłuch. Całe pomieszczenie służyło do podsłuchu. Płaszczyzny ścian, kąty, łączenia – geometria tego pokoju powodowała, że dźwięki, niezależnie od ich źródła, trafiały wprost do pułapki akustycznej – wklęsłych punktów, które po drugiej stronie ściany miały zapewne swoje odbiorniki. Jak ona na to wpadła? Zerknąłem na mamę z porozumiewawczym uśmiechem, już zamierzałem się odezwać, gdy do pokoju wszedł Kimbel. Popatrzyłem na niego przenikliwym wzrokiem, miałem przeczucie, że wie, co się tutaj dzieje. On jednak w ogóle nie zwrócił na mnie uwagi.

– Pani Warner, musimy kończyć, zespół medyczny jest gotowy do pracy.

– Do zobaczenia, synu. Do zobaczenia za parę godzin – rzuciła i wyszła tak szybko, że nawet nie zdążyłem zareagować.

Do sali wmaszerowało kilkanaście osób w jednakowych skafandrach. Przyniesiono dodatkowe krzesła i wwieziono coś, co wyglądało na aparaturę medyczną: pikającą białą szafę z rurkami, wyświetlaczem i kółkami.

Na prośbę jednego z medyków wszedłem z powrotem do kapsuły, w której znajdowały się urządzenia diagnostyczne. Podeszły do mnie cztery osoby. Jedna z nich podwinęła mi rękaw. Spojrzałem w przeszklenie skafandra. Piękne i uważne kobiece oczy patrzyły na mnie badawczo.

– Bane – odezwał się z drugiego końca sali Kimbel.

Odwrociłem się. Siedział na krześle obok tego medycznego ustrojstwa i trzymał w ręce plik kartek, które pieczołowicie przeglądał.

– Wygląda na to, że wszystko jest w porządku. Otrzymałeś już pakiet witamin i minerałów, których ci brakowało. Zresztą od razu widać, że czujesz się lepiej. Teraz podłączymy cię do systemu diagnostycznego w kapsule i przejdziemy do ostatniego punktu, czyli szczepienia na nowe mutacje grypy. Podamy ci też dożylnie preparaty odpornościowe chroniące przed patogenami, które mogą zwiększać ryzyko depresji.

– Co? – Nie byłem pewny, czy dobrze rozumiem. – Immunogeny na depresję?

– Informacje dostałeś w pakiecie biologicznym. Przypomnij sobie.

Zamknąłem oczy. Rzeczywiście. Choroby układów metabolicznego i autoimmunologicznego zwiększają ryzyko wystąpienia epizodu depresyjnego; odpowiadają też za lekooporność depresji. Zaraz. Sama depresja...

– Dostaniesz szczepionkę skojarzoną. Niepożądanymi odczynami poszczepiennymi nie musisz się przejmować. Całkowicie je wyeliminowaliśmy. Jesteś gotowy?

Skinąłem głową, przeglądając w myślach epidemiologię nowej depresji.

Wrażenie, że coś przede mną ukrywają – jakbym dostał w binarycie tylko część informacji – powróciło, spotęgowane dziwną sytuacją z mamą i podsłuchem.

Kobieta, która wcześniej podwinęła mi rękaw, znowu stała obok. Przymocowała mi do klatki piersiowej kilka przyssawek, a następnie podniosła ze stolika strzykawkę z przeźroczystym płynem. Delikatnie zakłuło.

– I już – podsumował Kimbel, wstając z krzesła. – Odpocznij, prześpij się. Jutro ciężki dzień.

– Poczekaj – poprosiłem, dociskając wacik do miejsca wkłucia. – Liczyłem na to, że będę mógł wyjść.

Kimbel zatrzymał się w drzwiach.

– Wszystko zależy od wyników badań. Jutrzejszych wyników. Teraz odpoczywaj – dodał i opuścił salę.

Zdażyłem tylko unieść rękę, po czym opuściłem ją zrezygnowany. Znowu nie zdołałem zadać pytania.

Pielęgniarka oderwała przyssawki.

Rozejrzałem się. Tym razem oprócz kapsuły miałem do dyspozycji zwykłe szpitalne łóżko, do którego podszedłem. Moją uwagę przykuł zielony przycisk na wezgłowiu, opisany lakonicznie: „Obsługa”. Kolejną zarejestrowaną przeze mnie zmianą był brak pikającego urządzenia. Najwidoczniej nie było potrzebne... nie pamiętam, by go użyli. Cholera, nie zauważyłem nawet, kiedy je wynieśli ani kiedy wprowadzili łóżko. Chyba nie jestem jeszcze w formie.

Byłem sam, nie licząc tych, którzy nasłuchiwali za ścianą. Podeszedłem do drzwi i chwyciłem za klamkę. Tak jak myślałem – trzymali mnie pod kluczem. Dlaczego? O co w tym wszystkim chodzi?! Czemu nie pozwalają mi wyjść? Co ukrywają? Po co podsłuch?! Boją się, że ktoś mi coś powie? A może liczą, że to ja powiem coś, co chcieliby usłyszeć?

Położyłem się. Z niepokojem przeglądałem dane dostarczone przez binaryt. Nerwowo sprawdzałem wydarzenia z ośmiu lat mojej nieobecności. Z mamą było wszystko w porządku, ale co z moją siostrą?

Serce stukało w rytm moich myśli, powoli zasypiałem.



Obudziło mnie stłumione, ale wyraźne pukanie zza drzwi. Sekundę później uświadomiłem sobie, że w pomieszczeniu jest pełno Skafandrow – tak zacząłem nazywać personel.

Usiadłem na łóżku, przecierając oczy. W kącie pokoju stało to samo urządzenie, które widziałem poprzedniego dnia. Przy nim siedziała kobieta ze strzykawką w ręku, a na środku sali w kapsule... ja. Co... co się dzieje?

– Dostaniesz szczepionkę skojarzoną. Niepożądanymi odczynami poszczepiennymi nie musisz się przejmować. Całkowicie je wyeliminowaliśmy. Jesteś gotowy? – odezwał się Kimbel siedzący w tym samym miejscu, co wczoraj.

Kobieta ze strzykawką podeszła do tego mnie, który tkwił w kapsule i wbiła mu igłę w bark. Dokładnie tak samo jak poprzedniego dnia. Wszystko się powtarzało, tylko tym razem wydarzenia obserwowałem z boku. Czy ja śnię?

Nie, jednak nie było tak samo... tym razem ten drugi ja zamknął oczy po podaniu szczepionki, jakby zasnął na siedząco.

– Trzydzieści sekund! – krzyknął Kimbel. – Trzydzieści sekund!

Skafter obsługujący szafkę medyczną przepchnął ją z końca sali w moją stronę. Skafter stojący obok Kimbela chwycił rurkę wystającą z urządzenia i przyłożył mi ją dokładnie w miejsce, w które pielęgniarka chwilę wcześniej wbiła igłę. Cieniutka rurka wypełniła się ciemną, szarawą substancją.

– Piętnaście sekund! – krzyknął Kimbel, nie wstając z krzesła.

– Gotowe! – odpowiedział Skafter z rurką w ręku.

– Odstawiamy – rozkazał Kimbel.

Skafter poruszający maszyną zaparł się i szafka medyczna zaczęła toczyć się na swoje miejsce.

– Czekaj! Dozownik! – krzyknął Skafter trzymający rurkę, przez którą chwilę wcześniej wtłaczał do mojego ciała szarawą substancję.

Za późno. Maszyna przyhamowała, wężyk się naprężył i pękł w miejscu styku z urządzeniem. Szara breja zalała białą aparaturę, która teraz wyglądała, jakby ktoś obrzygał ją w dość osobliwy sposób. Wtedy zobaczyłem coś jeszcze. Płyn się mienił. Nierównomiernie odbijał światło. Potrzebowałem chwili, by zrozumieć, że substancja się rusza!

– Siedem sekund! – wrzasnął Kimbel, odwracając głowę. – Za późno! Nie mamy czasu! Wyjeżdżać z tym!

Skaftery pospiesznie wytaczały maszynę z pomieszczenia.

– Trzy sekundy! – Kimbel rozejrzał się po sali. – Ty! – krzyknął do Skaftera przy kapsule i wskazał podłogę.

Skafter natychmiast stanął tak, by butem zasłonić płamę.

Odruchowo przetarłem oczy. Ponownie zerknąłem na siebie w kapsule.

– Jeden! – krzyknął Kimbel.

Obudziłem się zlany potem. Usiadłem gwałtownie na łóżku i zerknąłem na zegar. 5:19. Czyżby następny realistyczny koszmara? Wstałem, a przygaszone światło się rozjaśniło. Zerknąłem na podłogę. Nie chciałem znaleźć tej cholernej plamy, nie chciałem, żeby to była prawda, ale mimo to nie przestawałem szukać.

Nie ma! Na podłodze niczego nie było. Odetchnąłem z ulgą. To tylko sen... Ale jaki realny. Dotknąłem barku. Bolał jak cholera. Podciągnąłem rękaw. W miejscu wklucia miałem siniaka wielkości kurzego jajka.

W tym samym momencie do sali wszedł Kimbel w białym lekarskim kitlu.

– Dzień dobry – powiedział z uśmiechem i usiadł na krześle.

Bez słowa wyciągnął z kieszeni mały notatnik i zaczął w nim pisać.

Zmierzyłem go wzrokiem. Trochę ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, gęste czarne włosy, brązowe oczy, niczego sobie sylwetka i męskie rysy twarzy. Zdecydowanie mógł podobać się kobietom.

– Wszystko w porządku? – zapytał. – Patrzysz na mnie, jakbyś zobaczył ducha.

Zerknąłem na wybrzuszenia w ścianie.

– Jest okej. Po prostu średnio się wyspałem.

– Parametry snu masz w normie. Śniło ci się coś? – Kimbel podniósł głowę znad notatek. – Było kilka pików podczas NREM i REM, ale to normalne po hibernacji. To jak? Jakies koszmary? – dopytywał, patrząc na mnie badawczo.

– Nie, nic z tych rzeczy – zaprzeczyłem szybko. – A przynajmniej nic takiego nie pamiętam. To chyba bardziej, no wiesz... pierwszy prawdziwy sen po latach – dodałem ze sztucznym uśmiechem.

– Jasne – Kimbel znów zerknął na notatki. – Przejrzałem wyniki. Chociaż wyglądają okej, pojawił się mały problem, ale będzie lepiej, jak opowie ci o nim ktoś bliski.

Po tych słowach wyszedł, a do sali weszła moja mama. Miała na sobie czarną garsonkę, nie pamiętam, by kiedykolwiek ubierała się w ten sposób, włosy ścięła trochę krócej niż zawsze. Poza tym wyglądała tak jak osiem lat temu.

Chociaż...

Nie. Nie wyglądała tak samo. Miała wręcz sceniczny makijaż. Praktycznie nie było widać jej zmarszczek, naturalnego koloru skóry, rysów twarzy. Nie wszystko jednak udało się ukryć. Widok jej smutnych, zmęczonych oczu rozdzierał mi serce.

Wstałem i przytuliłem ją najmocniej i jednocześnie najdelikatniej, jak potrafiłem. Miała ponad osiemdziesiąt lat.

– Mamo, co się dzieje? – zapytałem, gdy siadała na krześle.

– Nie mogą cię wypuścić – odpowiedziała.

Dostrzegłem łzę spływającą po jej policzku. Otarła ją dłonią, ścierając puder.

– Oni nie chcą cię wypuścić – dodała lodowatym głosem. Jej smutek w ułamku sekundy zamienił się w złość. Coś w niej pękło. – Mogą, ale nie chcą i nie ma to nic wspólnego z...

Usłyszałem zgrzyt klamki, mama zamilkła. Odwróciłem głowę w stronę drzwi. Do sali powolnym krokiem wszedł mężczyzna w czarnym płaszczu. Zbliżył się do krzesła, na którym siedziała mama, po czym zatrzymał się i odwrócił

w moją stronę. Twarz mojej rodzicielki zastygła w grymasie przerażenia.

Serce zabiło mi mocniej, oddech spowolnił, wszystko dookoła się zamazało. W tej chwili widziałem tylko tego faceta. Był wysoki – mógł mieć dwa metry – i chudy, ale szeroki w barach przez co czarny płaszcz wisiał na nim jak na wieszaku. Łysa głowa wydawała się nieproporcjonalnie mała. Kredowobłada twarz i zapadnięte policzki w połączeniu z brakiem mimiki sprawiały, że czułem się niekomfortowo. Popatrzyłem na jego dłoń z idealnie wypielęgnowanymi paznokciami. Na palcu wskazującym miał złoty sygnet z tym samym znakiem, który widziałem lata temu: krzyżem w żółtym okręgu. Przeniosłem wzrok na szyję mężczyzny, tuż nad kołnierz płaszcza. Dostrzegłem tam trzy niebieskie kreski. Wyglądały jak fragment tatuażu, najprawdopodobniej tak zwanych kłębków, czyli połączonych losowo nitek tuszu, które oplatają ciało. Wyobraziłem sobie, jak węzowaty tatuaż ciągnie się od szyi przez plecy, bark, ramię aż do lewej dłoni. Trafiłem. Spod rękawa wystawało zakończenie kłębka. To jednak oczy nieznajomego najbardziej przyciągały uwagę. Były martwe, bez śladu jakichkolwiek emocji. Nigdy takich nie widziałem.

– Dość już pani powiedziała – odezwał się niskim gardłowym głosem. – Popelniła pani duży błąd, pani Warner. Ale pani o tym wie. Jest pani inteligentna – dodał, chwytając mamę za bark. – Zastanawiam się tylko, co panią kierowało, bo chyba nie emocje?

Mama poruszyła się na krześle niespokojnie.

Nie rozumiałem, co się dzieje.

– Bane! Zmusili mnie! Zmusili mnie, żebym cię przekonała do następnej hibernacji, szantażowali twoją sios...

Nagle rozległ się huk wystrzału. Mama chwyciła się za bark i osunęła na ziemię.

Rzuciłem się w jej stronę. Czarna garsonka szybko nasiąkała krwią. Twarz mamy wykrzywiła się z bólu, a oczy, wcześniej pełne determinacji, teraz były szeroko otwarte i wypełnione przerażeniem.

– Mamo! Słyszysz mnie? Mamo! – Krew była już wszędzie, na moich palcach, ubraniu, na ziemi. – Mamo! Ty draniu! – krzyknąłem, odwracając głowę w stronę mężczyzny. – Ty gnoju! Trzeba jej pomóc, ona umrze! Błagam!

– Nic jej nie będzie – odpowiedział chłodno, przeładowując broń. – To powinno ją nauczyć, że umów się dotrzymuje. A teraz wracaj na łóżko, bo drugą kulkę wpakuję jej w czoło – zagroził, kierując lufę pistoletu w stronę głowy mamy.

Uniosłem ręce i potulnie ruszyłem w stronę łóżka. Czułem, że serce za chwilę wyskoczy mi z piersi. Miałem ochotę połamać temu człowiekowi kości, znęcać się nad nim wiele godzin przed zadaniem ostatecznego ciosu. Ale nie mogłem... Zaciśnąłem zęby i usiadłem.

– Zrobię wszystko, tylko błagam, pomóż jej.

Drzwi ponownie się otworzyły. Do sali wbiegło kilku mężczyzn w fartuchach lekarskich. Jeden z nich ukląkł przy mamie, sprawdził reakcję jej źrenic na światło, założył na ramię opaskę tamującą krwawienie, po czym machnął na pozostałych i błyskawicznie wynieśli nieprzytomną. Z czystą nienawiścią popatrzyłem na mężczyznę, który siadając, chował broń do kabury pod płaszczem.

– Widzi pan, panie Warner, jest nam pan jednak potrzebny. Chcieliśmy po dobroci, ale pańska rodzicielka nie wytrzymała. Pękła na samym końcu, jak balon – powiedział, powoli

rozkładając ręce. – Nazywam się Pięć i przyszedłem tutaj poinformować pana, że następny sen będzie trwał dziesięć lat.

Ten człowiek przed chwilą postrzelił moją mamę, a teraz mi rozkazuje. Rozejrzałem się po pomieszczeniu w poszukiwaniu czegoś ciężkiego.

– Panie Warner – mówił dalej mężczyzna, kiwając głową. – Czy myśli pan, że jestem idiotą? No tak, pewnie tak pan myśli o normalnych ludziach. Za tymi drzwiami stoi dziesięciu agentów. Wystarczy, że pan drgnie, a wpadną tu..., chociaż nie, sam sobie poradzę. Proszę zatem siedzieć i słuchać, co mam do powiedzenia.

Starałem się zachować pozory spokoju, choć nie było to łatwe. Z trudem rozluźniłem zaciśnięte dłonie. Co innego mi zostało? Skupiłem myśli na mamie.

– O tak, bardzo dobrze – skomentował z kamienną twarzą. – Tak jak mówiłem, podda się pan hibernacji, tym razem na dziesięć lat. Nie ma pan wystarczającej ilości tkanki tłuszczowej, ale w tych czasach to niewielki problem, szybciotko pana utuczymy. Jeżeli nie będzie pan współpracował, zabijemy pana matkę. Następnie damy panu jeszcze jedną szansę, a jeżeli się nie uda, zabijemy też pana siostrę. Albo nie. Najpierw zabijemy jej czteroletniego syna, a ją później. Rozumie pan? – zapytał, jak gdyby nigdy nic.

Moja siostra ma czteroletniego syna? Co jeszcze mnie ominęło?!

– Czego wy, do cholery, ode mnie chcecie? – wycodziłem przez zęby. – Kim ty w ogóle jesteś? Jaką mam gwarancję, że i tak nie zabijecie mojej rodziny?

Pięć wstał, wziął krzesło, postawił je przede mną i usiadł z dłońmi na kolanach. Wtedy w moje nozdrza wdarła się nieprzyjemna woń wilgoci i pleśni.

– Powiem panu tyle, ile trzeba. – Oparł się na krzesło i wskazał znaczek SALUS-a. – Jako organizacja już dawno temu uznaliśmy, że elści to nie tylko szansa, jak postrzegała ich większość, ale przede wszystkim zagrożenie. Bywacie odporni na... – przerwał w połowie zdania. – Potrzebowaliśmy jednego z was. Niegroźnego, bezbronnego, śpiącego. Od bardzo dawna wiedzieliśmy, że zbliża się koniec ludzkości, jaką znamy. Wiedzieliśmy też, że nie możemy pozwolić, by stery losów naszej cywilizacji wpadły w ręce świeżo wyklutego fenomenu, elastycznych umysłów. Będę z panem szczery – ściszył głos. – Planowane latami powstanie nowej, doskonale spójnej, zunifikowanej i pozbawionej agresji cywilizacji stanęło pod znakiem zapytania.

– Spójnej cywilizacji? O czym pan mówi? Co ja mam z tym wspólnego? Co ja i moja rodzina wam zrobiliśmy?

Mężczyzna przetarł nos dłonią.

– Równie dobrze można zapytać, co takiego mrówka zrobiła budującym autostradę, że musieli eksterminować całe mrowisko. Na szczęście pojawił się profesor Kasper. Doskonały naukowiec, naprawdę doskonały, który uświadomił światu, że w gruncie rzeczy da się ten fenomen zrozumieć. Biorąc pod uwagę, że rodziło się was coraz więcej, musieliśmy działać.

– Tyle że Kasper nie żyje – zacząłem. – Umarł na zawał serca jeszcze przed moją hibernacją.

– Tak... – Pięć zerknął w stronę przeszklenia na końcu pokoku i wzruszył ramionami. – Profesor był jak pańska matka. Z tą małą różnicą, że on miał mniej do stracenia. Dlatego wywołaliśmy zawał. Oczywiście, gdy już byliśmy pewni, że jego badania będą kontynuowane.

Opuściłem głowę. Moja nienawiść do tego człowieka sięgnęła zenitu. Gniew kipiał we mnie jak wrząca lawa. Zacisnąłem

pięści tak mocno, że poczułem ból w stawach. Zabili Kaspera, a teraz...

Drzwi do pomieszczenia otworzyły się po raz kolejny. Do pokoju wszedł Kimbel Reman i stanął tuż obok Piątki. Twarz miał pozbawioną wyrazu. Czy oni go czymś odurzili?

To wszystko było bez sensu. Nowa cywilizacja, elaści jako zagrożenie... Organizacja, która namówiła mnie na hibernację, odpowiada za śmierć profesora Kaspera. Jeden z jej agentów postrzelił mamę, by zmusić mnie do ponownej hibernacji. Dlaczego? Dlaczego uważali, że muszą tak postępować? Czego się spodziewali? Czego chcieli? Na co...? Nagle do mnie dotarło.

Nigdy bym się nie zgodził na kolejne uśpienie bez spotkania z siostrą. Bez tego nigdy nie wszedłbym do kapsuły. I to do tego mama miała mnie przekonać. Podniosłem głowę.

– Ty zdrajco... jebany zdrajco! – krzyknąłem, patrząc Kimbelowi prosto w oczy.

– Przepraszam, Bane – odparł Reman. – Nie było innego wyjścia. Oni naprawdę wiedzą, co robią. Program PRAWDA...

Pięć uniósł rękę i Kimbel natychmiast zamilkł.

– Proszę przygotować pana Warnera. Myślę, że rozumie już, jaka jest stawka. – Agent wstał. – Gdyby jednak postanowił pan poświęcić życie matki i spróbował uciec... – Mężczyzna sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej małą czarną płytkę z pokrętkiem. – Proszę pamiętać, że gdy tylko tego użyję, umrze pan. – Dotknął gałki.

W ułamku sekundy poczułem okropny, palący ból w całym ciele. Upadłem na kolana. Nie mogłem złapać oddechu. Moja skóra płonęła żywym ogniem.

– Przestań! Błagam! Zabijesz mnie!

Ból zniknął tak szybko, jak się pojawił. Klęczałem, ciężko sapiąc. Uniosłem ręce, by na nie spojrzeć. Byłem pewien, że skórę mam poparzoną, ale ku mojemu zdziwieniu na rękach zobaczyłem tylko kropelki potu. Nagle mnie zemdlilo i natychmiast zwymiotowałem. Na ziemi rozlała się szara substancja mieniająca się różnymi kolorami. Ciecz pulsowała delikatnie, odbijając światło, by po chwili zastygnąć w dziwny, połyskujący wzór. Czyli to jednak nie był sen? Miałem w sobie... to coś.

– Podnieś go! – krzyknął Pięć. – Jak to możliwe, Kimbel? Zostało coś jeszcze? – warknął.

Zdenerwowany Kimbel podszedł do mnie i pomógł mi usiąść na łóżku. Nie wiem, ile to wszystko trwało. Byłem kompletnie wyczerpany. Rozejrzałem się po sali, starając się zrozumieć, co się dzieje.

Do pomieszczenia wpadł niski mężczyzna w kitlu.

– Agencie. – Lekarz wskazał na ekran biotabletu. – Zostało dwadzieścia dziewięć procent.

Kimbel szybkim krokiem dołączył do Piątki. Wszyscy trzej odwrócili głowy w moją stronę. Wtedy też pierwszy raz dostrzegłem ślad emocji na twarzy mężczyzny, który postrzelił mamę. Zobaczyłem obawę, niepewność, a może nawet odrobinę strachu.

– Panie Five – odezwał się Kimbel. – On po pierwszym ataku zwymiotował siedemdziesiąt jeden procent substancji. Rozumie pan? Jego organizm znalazł ponad siedemdziesiąt tysięcy nanobotów i zwyczajnie je wyrzucił. Do tej pory nie mieliśmy takiego przypadku nawet z elastami trzeciego rzędu!

– Nieważne. Proszę go uśpić. Hibernujemy jutro popołudniu – oznajmił stanowczo agent i szybkim krokiem wyszedł z pomieszczenia.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytałem przyjaciela, który okazał się zdrajcą.

– Połóż się, proszę. – Kimbel podszedł do mnie ze strzykawką w dłoni. – Ja naprawdę wierzę w to, co oni robią, Bane. Poza tym Kasper... – Wbił mi igłę w bark. – On już był tym wszystkim zmęczony. Miał dość ciągłej inwigilacji, presji, kolejnych tajemnic... Myślę, że chciał już być tylko radosny, tak jak twój tata.

Ostatnie słowa zawisły w powietrzu na kilka sekund.

Radosny jak mój tata? Popatrzyłem na Remana, moje brwi poszybowwały do góry. Przecież tak brzmiało zdanie z listu pożegnального Kaspera. Chciałem zapytać, o co chodzi, ale leki zaczęły działać. W ostatnim przeblysku świadomości uzmysłowiłem sobie, że jedyną osobą prócz mnie, która znała kombinację zer i jedynek pozwalającą na rozpoczęcie przyswajania binarytu, był profesor Kasper. Czy Kimbel...

Rozdział 1.1

Wybudzenie?

Otworzyłem oczy, wokół mnie panowała cisza i nieprzenikniona ciemność. Zmysły nie odbierały żadnych bodźców. Miałem wrażenie, że moje ciało po prostu zniknęło. Nie czułem nóg ani rąk, nie słyszałem bicia serca, a wzrok rejestrował tylko pustkę. Jakbym dryfował w ponurej, bezkresnej próżni bez zapachów i dźwięków. Nagle przed moimi oczami pojawiła się wyraźna i dość duża biała plamka. Zamigotała. Po chwili jej miejsce zajęła litera „T”. Mrugała przez moment, po czym zastąpiła ją litera „Y”. Kolejne znaki pojawiały się i znikwały coraz szybciej, aż w końcu ułożyły się w słowa, które zaczęły nabierać sensu.

NIE ŚPISZ. MASZ BINARYT. TYLKO DLA CIĘ. MAŁO 0 i 1.
DZISIAJ NIE ŚPISZ. JUTRO. DZISIAJ WYJDZIESZ. 3 GODZINY CZASU. MUSISZ ICH POWSTRZYMAĆ. IDŹ TU 52.291941, 4.952067. M12. RÓB CO INNI. NIE MÓW Z NIKIM. NICZEMU SIĘ NIE DZIWI. ZAPACH POMARAŃCZY ZŁY – WYKONAJ SEKWENCJĘ BEZ ZROZUMIENIA 01000001 01010000 01000101 01011000 00110001 00100000 01000010 01001100 01001111

01001011 01010101 01001010 00100000 00101111 00100000
01001100 01001001 01000111 00110011 00100000 01000010
01001100 01001111 01001011 11000011 10010011 01001010
00100000 00101111 00100000 01000001 01001100 01010011
00110010 01000011 01010010 00110010 00100000 01010000
11000011 10010011 11000101 10000001 00100000 01000010
01001100 01001111 01001011 11000011 10010011 01001010
00100000 00101111 00100000 LIG I BLOKÓJ



Leżałem na czymś zimnym i twardym. Powoli otworzyłem oczy i odetchnąłem z ulgą. Wisiało nade mną bezchmurne niebo. Z trudem podniosłem się z chłodnego asfaltu, pocierając obtarte do krwi dłonie. Zmrużyłem oczy, próbując przypomnieć sobie, jakim cudem z zamkniętej sali przeniosłem się tutaj. Pamiętam, że kilka razy odzyskiwałem i traciłem przytomność. Ktoś przewoził mnie na łóżku z jednej sali do drugiej. Poza tym nic. Zero wspomnień, tylko jedna myśl: mam trzy godziny. Na co? Co dalej? Nie miałem pojęcia.

Dotknąłem ręką potylicy, zaboląło. Nie wyczułem krwi ani guza, po prostu cholernie bolało. Rozejrzałem się. Po obu stronach pustej drogi wznosiły się wysokie ściany z cegieł. Otaczała mnie cisza wręcz niemożliwa w środku miasta..., bo przecież byłem w środku miasta? Nagle usłyszałem dziwny szelest. Dźwięk szybko narastał. Byłem prawie pewien, że dochodzi z...

Na głównej drodze, dwieście metrów przede mną, pojawił się tłum. Gęstniał z każdą sekundą, aż wypełnił całą szerokość jezdni. Nagle dotarło do mnie z całą mocą, że ktoś podał mi binaryt. Przypomniałem sobie jedną z zakodowanych

wiadomości: „RÓB CO INNI”. Jeżeli rzeczywiście mam tylko trzy godziny, nie mogę czekać. Bez względu na to, co mam do zrobienia.

Ruszyłem przed siebie. Z każdym krokiem lepiej widziałem ludzi na drodze. Szli rzędami, jeden za drugim, szybko, w równym tempie, bez przerw. Nikt z maszerujących nie zwracał na mnie uwagi, chociaż stałem zaledwie kilka metrów od granicy tego ludzkiego potoku. Wszystkie mijające mnie osoby ubrane były tak samo: czarne koszule, czarne spodnie, czarne buty. Cholera, dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że nie wiem, co mam na sobie. Przełknąłem ślinę, bojąc się tego, co zobaczę. Pochyliłem głowę. Uff... Czarna koszula, czarne spodnie, czarne buty. Ktoś zadbał o to, żebym się nie wyróżniał. Serce waliło mi jak młotem. Wziąłem głęboki oddech i włączyłem się w pierwszy rząd. Człowiek przede mną przyspieszył, a ten za mną zwolnił; odstępów pomiędzy nami się wyrównały. Kątem oka spojrzałem na ludzi po lewej stronie. Nadal nie zwracali na mnie uwagi. Szli przed siebie w idealnym rytmie, jak zaprogramowani. Ich twarze przypominały maski.

Byłem na tyle wysoki, by dostrzec, że ten ludzki potok ciągnie się aż po horyzont.

Tłum przesuwiał się, a ja z nim. Słyszać było tylko jednostajny stukot kroków setek ludzi, nic więcej.

NIE MÓW Z NIKIM, rozbrzmiało mi w głowie.

Co tu się dzieje?

Pierwszy raz od wielu lat odczuwałem ten sam lęk, który towarzyszył mi w młodości. Bałem się, co przyniesie przyszłość. Bałem się o siebie, o swoją rodzinę, zwłaszcza o mamę. Co takiego się wydarzyło, gdy byłem w stanie hibernacji? Czy SALUS maczał w tym palce?

Dochodziliśmy do skrzyżowania. Znałem to miasto. Zabudowania dookoła wyglądały tak samo, jak je zapamiętałem. Kątem oka zerknąłem na tabliczkę z numerem ulicy. Jeżeli chciałem dostać się do miejsca, którego współrzędne otrzymałem z dawką binarytu, to tutaj musiałem skrócić w prawo. Tylko jak? Potok przesuwiał się w szybkim tempie. Dodatkowo znikąd dołączyła do nas kolejna grupa ludzi, jeszcze jeden rząd. Jeśli zaraz czegoś nie zrobię... nie zdążę. Odwróciłem delikatnie głowę – wszyscy patrzyli przed siebie. Nagle, kilkanaście metrów przede mną, wysoki mężczyzna dosłownie przeskoczył o jeden rząd i znalazł się na skraju potoku, by następnie spokojnym krokiem skrócić w jedną z alejek. Popatrzyłem w prawo. Odstęp pomiędzy dwoma mężczyznami obok mnie wynosił mniej więcej metr. Do ulicy, w którą miałem skrócić, zostało kilkanaście kroków. *No dobra, teraz moja kolej*, pomyślałem i wskoczyłem pomiędzy mężczyzn. Nie wymierzyłem najlepiej i potrafiłem jednego z nich.

– Dureń – wycodził przez zęby.

Czyli potrafią mówić... Nawet się nie odwróciłem, nie miałem już czasu, zostało tylko kilka metrów. „RÓB CO INNI”. Wskoczyłem z potoku w boczną uliczkę i tak samo jak mężczyzna, którego wcześniej obserwowałem, spokojnym krokiem ruszyłem przed siebie.

Tutaj ludzie poruszali się inaczej, swobodniej. Niektórzy nawet ze sobą rozmawiali. Większość spoglądała na mnie ukradkiem. Chyba nie udało mi się wmieszać w tłum, musiałem zachowywać się inaczej niż reszta. Zgodnie z „NIC NIE MÓW” i „NICZEMU SIĘ NIE DZIWI” zignorowałem ciekawskich i własne niedopasowanie. Do przejścia miałem jeszcze dwie przecznice. Z każdym krokiem coraz wyraźniej słyszałem

znajomy hałas, przez co narastał we mnie niepokój. Po chwili zobaczyłem następny potok ludzi, jeszcze większy niż poprzedni. Oszacowałem, że tworzy go co najmniej dwadzieścia kolumn zombie poruszających się w jednym kierunku. Bez większych problemów wskoczyłem do pierwszego rzędu.

Szliśmy ulicą. Pod nogami widziałem pojawiające się i znikające przerywane linie, ale do tej pory nie dostrzegłem żadnego pojazdu. Czyżby przestano korzystać z aut?

Zbliżaliśmy się do drogowskazów i wtedy oblał mnie zimny pot. Zgodnie ze wskazówkami za sto czterdzieści metrów miałem skręcić w prawo. Jak, do cholery, mam w tym tempie ominąć tych wszystkich ludzi. Spróbowałem ocenić sytuację. Kobieta idąca obok co chwila zerkła na mnie kątem oka. Wpatrywałem się w nią skonsternowany. Wyglądała na zdenerwowaną samym faktem, że na nią patrzę. Wreszcie nie wytrzymała i wycedziła przez zęby:

– No idziesz, człowieku, czy nie?

Uniosłem brwi. *No idę*, pomyślałem, po czym niezdecydowanie zrobiłem krok w bok, zachowując to samo tempo co inni. W tym samym momencie kobieta cofnęła się o pół kroku i wpuściła mnie przed siebie. A więc tak to działa... Dobra. Ponownie odwróciłem głowę, tym razem mężczyzna spoglądał na mnie kątem oka, przygotowując się do ustąpienia mi miejsca. Minęliśmy następny znak: „Magistrala 18 – 100 metrów”, tam miałem skręcić. Byłem już prawie na skraju potoku, gdy usłyszałem cichy pisk. Tłum zaczął zwalniać, by w ciągu kilku sekund całkowicie się zatrzymać.

Zapadła kompletna cisza. Moje serce przyspieszyło, a po plecach przeszedł mi zimny dreszcz. Kilka metrów ode mnie stał mężczyzna wyróżniający się na tle odrętwiałego tłumu.

Pocił się, trząsł i ciężko oddychał. Po chwili niespodziewanie i bardzo szybko się uspokoił, a ja poczułem w ustach ostry, gorzkawy smak skórki pomarańczy. Równocześnie w mojej głowie pojawiły się myśli jakby narzucane z zewnątrz. Zalała mnie fala wręcz nieopisanej niechęci do kłamstwa. W tym konkretnym momencie byłem przekonany, że na każde pytanie odpowiem tylko prawdę. Próbowałem z tym walczyć, ale nacisk na umysł i emocje był coraz silniejszy, brutalniejszy. Smak stawał się intensywniejszy, a opór z każdą chwilą słabszy. Nie potrafiłem już kłamać. Byłem bezbronny i bezwolny jak marionetka. Wszystko dookoła poszarzało. Nie wiedziałem, czy obok nadal stoją ludzie. Niby nie ruszyli się z miejsc, ale dla mnie nie istnieli. Wtedy, gdzieś na peryferiach świadomości walczącej o przetrwanie, zobaczyłem: „ZAPACH POMARAŃCZY ZŁY – WYKONAJ SEKWENCJĘ BEZ ZROZUMIENIA”. Serce zaczęło gwałtownie pompować krew. Rozpocząłem bezmyślne przetwarzanie zer i jedynek. Zrobiło mi się gorąco. Szarość, która jeszcze przed chwilą zamieniała się w czerni, płowiała. Przejmowałem kontrolę, znowu mogłem decydować o sobie.

Stojąc spokojnie, w myśl polecenia „RÓB CO INNI”, dyskretnie zerknąłem na boki. Ludzie dookoła wyglądali, jakby ktoś ich żywcem zamroził. Patrzyli przed siebie nieobecny wzrokiem. Wszyscy byli tam, skąd ja zdołałem uciec w ostatniej chwili.

Odzyskanie pełnej świadomości było niczym głęboki oddech po wypłynięciu z głębin oceanu. Co tu się wydarzyło? Co się dzieje z tymi ludźmi? Patrzyłem na nich i próbowałem sobie wyobrazić, co czują. Czy w ogóle cokolwiek czują. Może dla nich czas po prostu stanął, a świadomość zapadła się gdzieś w głęb, odcięta od ciała jak niepotrzebny moduł. A może było

gorzej – może widzieli, czuli wszystko dokładnie, tak jak ja przed chwilą. Myśl, że ich mózgi mogły zostać sprowadzone do odbiorników poleceń, była przerażająca. Może właśnie tak wygląda wyłączenie człowieka...

Nagle dostrzegłem w oddali pięciu wysokich mężczyzn zmierzających w moją stronę. Czy szli po mnie? Przez moment pomyślałem o ucieczce, szybko jednak uznałem, że nie miałyby sensu. Mój ruch przyciągnąłby uwagę, a w pobliżu nie było gdzie się schować. Chciałem się też dowiedzieć, z czym mam do czynienia. Poza tym, gdyby naprawdę chcieli mnie złapać, gdyby wiedzieli, gdzie jestem, mogliby zrobić to wcześniej, bez całej tej – nie wiem, jak to nazwać – szopki?

Mężczyźni posuwali się naprzód jak taran. Nie zwracali uwagi na osoby przypominające posągi, brutalnie torując sobie drogę pomiędzy nimi. Potrącali ich, uderzali, a nawet przewracali jak kukły. Byli coraz bliżej, na tyle blisko, bym widział ich szerokie barki, łyse czaszki i krzyż w okręgu na czarnych kombinezonach. Agenci SALUS-a?!

Teraz, gdy stali obok, zauważyłem, że jeden zdecydowanie się wyróżnia. Miał głęboką szramę na lewym policzku oraz białe, pozbawione tęczówek oczy. Patrzył nimi na mężczyznę, który jeszcze minutę wcześniej pocił się i trząsł.

– Marvinie Milo – powiedział. – Wczoraj wykonałeś zadanie powierzone ci przez numer dwa, Ksardena Heleskina?

– Nie – odpowiedział zupełnie bez emocji mężczyzna.

Agent sięgnął po pistolet i wycelował mu w głowę, po czym oddał strzał. Niepokój, strach, a później przerażenie zaalały moje ciało. Walczyłem z całych sił. Bezskutecznie. Milisekundę po wystrzale, gdy Marvin Milo dopiero osuwał się na ziemię, drgnąłem, a z gardła wyrwał mi się stłumiony jęk.

Zamarłem. *Nie chcę umierać*, pomyślałem, skupiając wzrok na karku mężczyzny przede mną. Czy echo wystrzału zagłuszyło dźwięk, który mimowolnie wydałem? Stałem wyprostowany, próbując upodobnić się do innych. Czułem na sobie wzrok jednego z agentów. Musiał coś zauważyć. Może mnie usłyszał... Nagle pojawił się tuż przede mną. Staralem się patrzeć przez niego, jakby nieświadomie, tak jak robili to inni dookoła. Mój mózg pracował na najwyższych obrotach, próbował mnie wyciszyć, podczas gdy ciało rozpaczliwie domagało się ekspresji. Byłem jak tykająca bomba – jedno dotknięcie mogło uruchomić reakcję łańcuchową, która zakończy się wybuchem.

Agent SALUS-a przekrzywił głowę. Jego martwy wzrok, bez jakichkolwiek oznak człowieczeństwa, przeszywał mnie na wskroś. Wywoływał odrazę i strach.

Mężczyzna przyglądał mi się przez kilka długich sekund, podczas gdy ja ze wszystkich sił próbowałem ukryć gotujące się we mnie emocje i fakt, że jako jedyny w tym tłumie zachowałem pełną świadomość. W końcu agent zmarszczył brwi i pociągnął nosem, po czym odwrócił się i dołączył do kolegów.

– To już ostatni? – zapytał towarzyszy, wskazując na ciało Marviną Milo.

– Jeszcze dwóch, dość daleko stąd – odparł jeden z agentów, spoglądając na zegarek. – Idziemy. N3 przestaje działać.

Odeszli.

Tłum powoli ruszył, jak gdyby nigdy nic omijając ciało zabitego. Ja również. Za zewnątrz wyglądałem na nieporuszonego, lecz w mojej głowie panował chaos. Co to jest N3? Dlaczego zabili tego mężczyznę? Jak to możliwe, że nikt z tłumu nie zwrócił uwagi na zwłoki, jakby taki widok był codziennością...

Z potoku wyszedłem zgodnie z planem. Z każdym krokiem byłem coraz bardziej świadomy czyhającego na mnie niebezpieczeństwa, ale wiedziałem, że nie mogę się teraz wycofać. Stawką było życie moich bliskich.

Kilka minut później znalazłem się w miejscu, którego dokładną lokalizację otrzymałem wraz z binarytem.

Rozdział 1.2

Nowy rozdział

Stałem przed wejściem do małego domu. Nie wiem dlaczego, ale czułem, że nie powinienem pukać. Nacisnąłem klamkę. Drzwi otworzyły się z cichym skrzypnięciem i przekroczyłem próg. Wszedłem do salonu. Rozejrzałem się pobieżnie. Nie byłoby w nim nic interesującego, gdyby nie ściana w kolorze głębokiej czerni pochłaniającej światło tak skutecznie, że wyglądała jak otwarta brama do nicości. Z czystej ciekawości podszedłem i dotknąłem ciemnej powierzchni. Nic się nie wydarzyło. Zimny tynk. Czego właściwie się spodziewałem?

W salonie, poza kilkoma meblami, stał – dość nietypowo – profesjonalny ekspres do kawy, obok którego umieszczono mały stolik i trzy skórzane fotele. Już miałem odwrócić wzrok, by sprawdzić, co jest za mną, gdy przy automacie pojawił się mężczyzna. Nie wiem, jakim cudem nie zauważyłem go od razu. Stał tyłem do mnie i ewidentnie czekał, aż dwie filiżanki wypełnią się kawą.

– Dzień dobry, Bane – odezwał się.

Miałem pewność, że gdzieś już słyszałem ten głos.

Nieznajomy się odwrócił. To był Kimbel Reman. Zdrajca Kimbel Reman.

Tylko czy na pewno zdrajca? Teraz nie byłem już tego taki pewien. Przecież to on podał mi binaryt z instrukcjami.

– Weź. – Kimbel wskazał filiżankę i usiadł na kanapie pod ścianą. Swoją kawę zostawił na blacie.

– Nie chcę kawy – odpowiedziałem stanowczo. – Masz minutę na udowodnienie, że jesteś po właściwej stronie. Jeżeli ci się nie uda, roztrzaskam ci tym głowę. – Wskazałem automat. – Będę miłosierny i zabiję cię od razu ze względu na szacunek, jakim darzył cię profesor Kasper.

– Proszę cię, Bane, usiądź – powiedział obojętnym głosem Kimbel. – Nawet gdybyś chciał, niczego mi nie zrobisz. Jestem hologramem.

Oniemiałem. Stałem i patrzyłem z niedowierzaniem. Absolutnie nic nie zdradzało tego, że Kimbela fizycznie tutaj nie ma. Hologramy, które pamiętałem, były niedoskonałe. Z łatwością dało się odróżnić, co jest projekcją. Poświata, delikatne zerwania, rozdzielczość, ograniczenia w poruszaniu się hologramu. Zzerała mnie ciekawość. Podeszedłem bliżej. Kimbel siedział i patrzył mi prosto w oczy. Nadał nic, żadnej oznaki świadczącej o tym, że nie rozmawiam z żywym człowiekiem. Wyciągnąłem dłoń, pewny, że zatrzyma się na jego policzku. Dłoń jednak przeszła przez twarz, na chwilę załamując obraz. Oniemiałem po raz drugi.

– Jak... – wydusiłem. – Gdzie ty teraz jesteś?

– Jak widzisz, wiele się zmieniło – zaczął Kimbel. – Nie mamy czasu. Usiądź, proszę. Nie jestem zdrajcą, chociaż przyznaję, że musiałem robić ohydne rzeczy, by sprowadzić cię tutaj.

Opadłem ciężko na fotel. Chciałem zadać setki pytań, ale się powstrzymałem.

– Co wiesz o programie SALUS? – zapytał Kimbel.

– Nic oprócz tego, czego doświadczyłem i tego, co mi powiedziano ponad osiem lat temu.

– Dobrze. – Reman założył nogę na nogę. – SALUS nie został utworzony ze względu na ciebie, Bane. Program ten, a właściwie projekt, powstał bardzo dawno temu. Głównym założeniem pierwotnego SALUS-a było utworzenie cywilizacji doskonałej, uzupełniającej się w każdym aspekcie i czystej genetycznie. Bez wad, chorób, mutacji. Oczywiście całość utrzymywano w tajemnicy, a spółki medyczne SALUS-a publikowały jedynie analizy genów związanych z ryzykiem konkretnych chorób. Ogólnie można powiedzieć, że małe podmioty, za które SALUS był odpowiedzialny, rzeczywiście działały dla dobra ludzkości. Aż do czasu, gdy nad wszystkimi działaniami przejął kontrolę Ksarden Heleskin. – Kimbel zamilkł.

Wyglądał jakby nad czymś się zastanawiał.

– Swoją drogą – podjął po chwili – nigdy nie było jasne, jak do tego doszło, jak zdobył władzę w organizacji. Ja wiem jedynie, że stało się to bardzo szybko, jakby wszedł w posiadanie czegoś, co pomogło mu ten cel osiągnąć. Wtedy, pod pretekstem dalszych analiz wpływu genów na człowieka, uruchomiono program PRAWD.A, czyli „Projekt Redukcji Agresji Wrodzonej Dziedzicznie. Analiza”. Całość bazowała na pracy naukowej doktora Warinera Wojgdy, zgodnie z którą za pierwotną agresję odpowiada kilka mniej lub bardziej widocznych sekwencji genetycznych. SALUS, już od jakiegoś czasu niezależny finansowo, stanął przed kolejną szansą. Urząd Dozoru

Analiz wydał organizacji zezwolenie na badania na ludziach. UDA najprawdopodobniej była pod silnym wpływem rządu światowego, który w programie PRAWD.A widział realizację swoich interesów. Od tego momentu wydarzenia potoczyły się lawinowo. Sekwencje genowe doktora Wojgdy okazały się biologiczną puszką Pandory. Każde nowe odkrycie SALUS-a było natychmiast utajniane, a gdy na świecie pojawił się pierwszy elast, wstrzymano publikację badań. SALUS przestał też dzielić się patentami na sieci neuronowe, których jego superkomputery używały do obliczeń. W tym samym czasie Ksarden Heleskin znaczną część środków przeznaczył na badania nad elastami. Zaangażował do pracy osobistość znane ze świata medycyny i biologii, w tym profesora Josepha Kaspera. Do czasu... – urwał.

Wstał, podszedł do okna i dopiero podjął wątek:

– Do czasu, gdy profesor Kasper zaczął podejrzewać, że SALUS, badając mózg elastów, nie działa dla dobra ludzkości. Oni chcieli zrozumieć takich jak ty tylko po to, by ich kontrolować, a jeżeli to okazałoby się niemożliwe, by ich zniszczyć. Sytuacja zaczęła się komplikować, gdy po twojej hibernacji liczba potwierdzonych elastów wzrosła, a potem... Elaści zaczęli znikać bez śladu. Nie dało się ich kontrolować, więc...

Reman usiadł na kanapie, westchnął ciężko i ze smutkiem wypisanym na twarzy ciągnął dalej:

– Pojawił się smak skórki pomarańczy, Bane. Wiemy o nim bardzo mało. Najprawdopodobniej jest rozpylany i na pewno wpływa poprzez geny na ludzki mózg. Blokuje wszelkie przejawy agresji, ale dalsze implikacje są znacznie gorsze. Człowiek staje się marionetką i nie potrafi...

– Kłamać – odpowiedziałem odruchowo.

Kimbel zawiesił na mnie wzrok.

– Skąd wiesz? – zapytał. – Gdy tu szedłeś?

Skinąłem głową.

– Na moich oczach zabili człowieka. Po prostu palnęli mu w łeb.

Kimbel spuścił głowę.

– Skoro tu jesteś i pamiętasz, musiałeś... – Reman spojrzał na mnie badawczo – Użyłeś sekwencji zer i jedynek? Tych, które dostałeś razem z binarytem?

– Tak, zdaje się, że to mnie uratowało. To było coś ohydneho. Całe to...

– Wiem – wtrącił Kimbel. – Doskonale wiem, o czym mówisz. Odkryłem tę sekwencję. SALUS obserwował mnie dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Zresztą w podobny sposób śledził większość społeczeństwa. Nie zdajesz sobie sprawy, ile zachodu kosztowało dostanie się w ich szeregi i zbudowanie tego szczątkowego zaufania, którym mnie darzą. Profesor Kasper oddał za to życie. – Łza spłynęła po policzku hologramu Kimbela. – Zdradziłem go, doniosłem na niego, tak jak sobie zaplanowałem.

Czyli to był plan profesora? Dać się zabić, by Kimbel wniknął w szeregi tej hermetycznej organizacji? A ja krytykowałem Kaspera za jego obojętność...

– Skoro wiedzą o tobie tak dużo i cały czas cię obserwują, to jak to możliwe, że...

– Tu jestem? – dokończył za mnie Reman.

Na wysokości jego głowy pojawił się holograficzny ekran. Był na nim Kimbel Reman chrapiący spokojnie w łóżku.

– Na niektóre pytania ci nie odpowiem, mamy ograniczony czas. O pewnych rzeczach musisz jednak wiedzieć. – Hologram wziął głęboki oddech. – Umieram – wyznał ciężko. – Od lat w dzień pracuję dla SALUS-a, a w nocy dla ruchu oporu. Zbyt mało godzin prawdziwego snu doprowadziło do nieodwracalnej degradacji mózgu. Ten cały plan, którego jesteś częścią, mieliśmy zrealizować dopiero przy następnym wybudzeniu, ale sytuacja i mój stan na to nie pozwoliły. Musieliśmy poprosić twoją mamę, żeby zachowała się tak, jak się zachowała. Inaczej mógłbym nie mieć okazji, żeby tak szybko podać ci środki usypiające i binaryt.

– Ale jak? Jak, do cholery, możesz w ogóle funkcjonować bez snu? I jak to możliwe, że podczas snu jesteś tutaj jako hologram?

– A jak myślisz, Bane?

I wtedy mnie oświeciło. Elementy układanki nagle wskoczyły na swoje miejsca. Zrozumiałem, dlaczego Kasper był tak blisko niego, dlaczego Kimbel nie musiał sypiać i wreszcie, jak wynalazł sekwencję blokującą działanie skórki pomarańczy.

– Ty jesteś elastą...

Gdy sobie to uświadomiłem, poczułem szczególną więź z Kimbelem. On też był inny. Potrafił to, co ja. Wiedział, co czuję. Rozumiał, co robię. Rozumiał mnie.

– Powiedziałeś „my” – zaczęłam, ukrywając emocje. – My, czyli kto?

– Możesz nazywać nas ruchem oporu. Jesteśmy zakonspirowaną grupą do niedawna dowodzoną przez wyjątkową kobietę. Próbujeśmy powstrzymać SALUS-a.

– Jakie działania podejmujecie? Ilu was jest? Dlaczego ta kobieta już wami nie dowodzi? – Miałem tyle pytań.

– Robimy wszystko, co konieczne. Nie wiem, ilu nas jest.
A kobieta...

– Kim była?

– Twoją siostrą, Bane.

Hologram Kimbela jakby się zawiesił. Po kilku sekundach ciszy i bezruchu drgnął, opuścił głowę i powiedział:

– Nie dowodzi już nami, bo została zamordowana. Przykro mi.

Moja siostra, moja bohaterka i opiekunka, nie żyła? Najpierw postrzelenie mamy, a teraz to... Zaciśnięłem zęby.

– Jak to się stało? – wydusiłem w końcu drżącym głosem.

– Kilka miesięcy temu jakimś cudem namierzyli ją agenci SALUS-a.

– Skąd wiecie, że to oni?!

– Na podstawie analiz...

– Nie kłam, Kimbel! – Wycelowałem w niego palec. – Musicie mieć dowód, skoro jesteś pewien, że to oni.

Reman wstał, popatrzył mi w oczy i odchrząknął.

– Mam nagranie – przyznał.

– Pokaż mi – zażądałem.

– To naprawdę nie jest dobry pomysł. Już niczego nie zmie...

– Pokaż mi, kurwa jego mać, nagranie. Teraz.



Na filmie bez dźwięku widać było wnętrze pokoju. Pod ścianą stały drewniane staromodne szafki. Od razu rozpoznałem ten styl. Krisi miała ciekawe podejście do aranżacji swoich czterech kątów. Lubiała powtarzać, że wystrój mieszkania powinien

odzwierciedlać wnętrze jego właścicieli. I ten pokój był taki jak ona: ciepły i jednocześnie szalony.

Nagle na ekranie pojawiła się moja siostra. Podbiegła do szafy na końcu pomieszczenia i wysunęła jedną z szuflad, po czym szybkimi ruchami zaczęła wyrzucać z niej ubrania, by następnie sięgnąć głębiej. Niespodziewanie zamknęła szufladę i odwróciła się do drzwi wejściowych. Oddychała szybko i płytko. Wyglądała na przerażoną. Wtedy w kadr wszedł srebrny humanoidalny robot. Był wysoki, głową prawie dotykał sufitu. Przeszedł kilka kroków, zatrzymał się przed moją siostrą i obrócił w stronę wyjścia. Oboje zastygli w bezruchu. Mijały sekundy i nic się nie działo. W napięciu wpatrywałem się w nagranie.

Po chwili drzwi otworzyły się z hukiem. Krisi cofnęła się i dotknęła plecami szafy. Do pomieszczenia wbiegło czterech mężczyzn. Robot ruszył do przodu. Mężczyźni wyciągnęli broń i zaczęli strzelać. Na nagraniu widać było migoczące błyski, gdy metalowe kule z dużą prędkością uderzały o twardy pancerz robota, tworząc kaskadę iskier i krótkich, jaskrawych refleksów. Urządzenie o ludzkich kształtach poruszało się płynnie i z niesamowitą prędkością. Robot zamachnął się i jednym ciosem urwał głowę mężczyźnie stojącemu najbliżej. Mgnienie oka później bezwładne ciało kolejnego napastnika wybiło dziurę w ścianie. Trzeci próbował uciekać, ale robot pochwycił go za nogę i rzucił przez pokój, niczym szmacianą lalkę. Ostatni, z determinacją wymalowaną na twarzy, ruszył na humanoida, ale ten precyzyjnym ruchem złamał mu kark. Po kilku sekundach z czterech mężczyzn został tylko stos rozczłonkowanych ciał. Nóg, rąk, głów. Nie zdążyli nawet opróżnić magazynków. Precyzja mechanicznego zabójcy była porażająca.

Robot zbierał resztki i kolejno wynosił je gdzieś poza kadr. Gdy skończył, wrócił na swoje wcześniejsze miejsce, gotowy do działania.

Sceny ataku powtarzały się wielokrotnie. Za każdym razem obrońca Krisi, rozczłonkowany napastników, sprzątał i czekał na następnych gości.

W kółko zadawałem sobie pytanie, dlaczego moja siostra stamtąd nie ucieka. Czyżby wiedziała, że idą następni?

Pokój wyglądał makabrycznie. Części ciał w końcu pojawiły się w kadrze, tworząc przerażającą scenerię. Z podziurawionych, zroszonych krwią ścian tu i ówdzie odpadał tynk i odslaniał surową cegłę.

Nagle obraz zafalował, po czym humanoid, jakby rażony prądem, przewrócił się na podłogę. Gdy do pokoju wszedł łysy wysoki mężczyzna, Krisi gwałtownie zaczerpnęła powietrza. Coś wykrzyczała, chyba do niego. Wyglądała na wściekłą, ale na jej twarzy nie widziałem strachu. Sekundę później padł strzał. Bezwładne ciało Krisi osunęło się na podłogę. Serce mi pękło – moja siostrzyczka umierała na moich oczach. Leżała bez ruchu, bezbronna. Z trudem zapanowałem nad obezwładniającym mnie smutkiem. Nie mogłem pozwolić sobie na emocje. Nie teraz. Całą uwagę musiałem skupić na nim, na mordercy. Zapłaci za to, co zrobił.

Napastnik podszedł do Krisi i strzelił do niej jeszcze raz, tym razem w głowę. I następny. Odruchowo zasłoniłem oczy, nie chciałem tego oglądać. Po chwili jednak zacisnąłem zęby i popatrzyłem na projekcję. Każda kropla krwi, każda sekunda tego nagrania podsycaly moją wściekłość. Wiedziałem, że nie mogę już nic zrobić dla siostry, ale poprzysiągłem sobie, że zemszczę się na tym człowieku.

No dalej, skurwysynu, pokaż się, pokaż ryj. Chcę wiedzieć kim jesteś, żeby cię znaleźć i rozszarpać.

Mężczyzna odwrócił się na pięcie, ale zobaczyłem tylko jego profil. Dopiero gdy wychodził z kadru, jakby na moje życzenie, popatrzył wprost w ukryty obiektyw. Zamarłem. Blizna na policzku i białe, pozbawione tęczówek oczy. To był ten sam agent SALUS-a, który niedawno zastrzelił przy mnie człowieka. Coś we mnie pękło. Gdybym wtedy wiedział... Zaryzykowałbym życie. Pewnie by mnie zabili, ale jego bym dorwał. A tak, odszedł spokojnie...



Zerwałem się jak rażony prądem i ruszyłem do wyjścia. Chciałem go dopaść. Teraz.

– Bane, co ty...? – odezwał się hologram Kimbela, ale ja już szarpałem za klamkę.

Zamknięte.

– Wypuść mnie, Kimbel!

Nie zareagował.

Oszalały z nienawiści zacząłem kopać w drzwi, najpierw lekko, by wyczuć opór, a później z całej siły. Framuga zadrżała, ale nic więcej. Cholera, solidne antywłamaniówki, prędzej złamię nogę, niż tędy wyjdę.

– Kimbel! – wrzasnąłem. – Wypuść mnie, do cholery! Muszę wyjść, rozumiesz? Wypuść mnie!

Kolejne kopnięcie. Tym razem nogę przeszył mi ból i padłem na ziemię. Serce tłukło mi się w piersi. Uklęknąłem na jedno kolano i sapiąc, odwróciłem się do hologramu.

– I tak musisz mnie wypuścić – nabrałem powietrza – prędzej czy później. Ile czasu nam zostało? Godzina?

– Twoja siostra to przewidziała, Bane. Przewidziała twoją reakcję i coś dla ciebie zostawiła.

Wstałem. Kimbel znikł, a jego miejsce zajął holograficzny ekran. Był na nim pokój wypełniony po brzegi książkami. Nagle w kadr weszła uśmiechnięta Krisi. Poprawiła kamerę i usiadła na drewnianym fotelu. Uspokoilem oddech.

– Cześć, Bane – zaczęła, jej głos był ciepły i spokojny, taki jak zawsze. – Jeżeli to oglądasz, to znaczy, że nie ma mnie już na tym świecie. Dorwali mnie – powiedziała, po czym przechyliła kubek, zapewne z zieloną herbatą, którą tak lubiła. – Każdego mogą dorwać, oprócz ciebie. Rozumiesz? Jesteś naszą ostatnią nadzieją. To dla ciebie ten cały wysiłek, zamieszanie, starania. Gdybym wtedy wiedziała... Nie dopuściłabym do twojej hibernacji. Ech – westchnęła. – Nie stawiaj się. Bądź mądry, a nie porywczy. Analizuj. Przetaw swój wyjątkowy umysł na chłodną kalkulację. Nawet sobie nie wyobrażasz, przez co wszyscy przeszliśmy, by jak najlepiej przygotować cię na to, co nadchodzi. – Łza potoczyła się po jej policzku. – Nie zmarnuj tego, nie zmarnuj jedynej szansy na wolność. Na cywilizację, na ludzkość. Szansy dla mamy, dla ciebie, dla moich dzieci – kontynuowała Krisi, a jej wzrok przesunął się tak, jakby patrzyła na kogoś stojącego obok niej. – Kimbel, zostawiam je tobie. Opiekuj się nimi do czasu, gdy to się skończy. Jesteś mi to winien. – Znowu spojrzała w moją stronę. – Kocham cię, brat. Pamiętaj o tym. Ale proszę, pamiętaj też, że tylko ty możesz rozwikłać tę zagadkę. My już.... Sam Heleskin i SALUS to nie wszystko... jest

ktos jeszcze, ktos potężniejszy, na tyle potężny, że prawie nic o nim nie wiemy. Musi mieć ogromne zaplecze techniczne, sztuczną inteligencję wyższego rzędu i niewyobrażalne wręcz możliwości finansowe. Jesteś naszą jedyną szansą. Zaufaj mi...

Nagranie się urwało i sekundę później w miejscu ekranu pojawił się Kimbel. Nastąpiła przejmująca cisza. Słyszałem tylko swój oddech i delikatny szelest cząsteczek holograficznych. Siostra wspomniała o dzieciach, myślałem, że ma jednego syna... Emocje zaczęły znów napierać, przejmować kontrolę i zaciemniać umysł. Wtedy przypomniałem sobie prośbę Krisi. Serce jak na zawołanie zaczęło bić powoli i regularnie, chłodno kalkulowałem, tak jak prosiła siostra. Otarłem łzy i wstałem.

– Chcę kopię tego nagrania. Morderca zginie z mojej ręki – oznajmiłem. – Jak on się nazywa?

– Czternaście. To bardzo wysoko postawiony agent – odparł Reman. – Wiemy tylko tyle, że dowodzi oddziałem specjalnym eliminującym tak zwane statystyczne odchylenia, czyli to, co nie pasuje do nowego porządku.

Poczułem wzbierający we mnie gniew, ale tym razem towarzyszyła mu zimna determinacja.

– Te ich imiona: Pięć, Czternaście, coś oznaczają?

– Sądzymy, że miejsce w hierarchii.

– A szef SALUS-a, Ksarden Heleskin, jaki on ma numer?

– Dwa – odparł bez zastanowienia Reman.

– Kto w takim razie jest numerem Jeden?

Kimbel położył dłonie na kolanach, po czym cichym głosem odpowiedział:

– Tak jak wspomniała twoja siostra, nie wiemy. Mamy ograniczony dostęp do informacji. Ale numer Jeden w tej chwili nie jest najważniejszy, Bane. Najważniejsze jest to, co Krisi

stworzyła dla nas, dla ludzkości i dla ciebie. Dla wyjątkowego człowieka, który musi powstrzymać SALUS-a.

Niezależnie od tego, co Kimbel miał na myśli, nie na ratowaniu świata się skupiałem. Myślałem o zemście. O powolnej agonii najpierw numeru Czternaście, później numeru Pięć, Dwa i Jeden. Mimo to zapytałem:

– Co takiego zostawiła Kriś?

– Dotknij jeszcze raz czarnej ściany – odpowiedział Kimbel.

Gdy zrobiłem to, o co prosił, na środku ciemnej powierzchni, od sufitu do podłogi, pojawił się jasny pasek. Chwilę później ściana się rozsunęła. Kątem oka dostrzegłem, że jej grubość znacznie przekracza obowiązujące normy.

Przełknąłem ślinę. W małym pomieszczeniu za ścianą stał człowiek w samej bieliźnie. Bardzo wysoki, atletycznie umięśniony, przystojny. Patrzył na mnie niebieskimi oczami. W niezrozumiały sposób przypominał mi mnie, chociaż w ogóle nie byliśmy do siebie podobni.

– No dalej. Wejdź do środka – zachęcił Kimbel.

Wszedłem. Mężczyzna nie spuszczał ze mnie wzroku. Śledził każdy mój ruch. Wpatrywał się bez słowa, bez emocji. Kimbela zaś zupełnie ignorował.

– Kto to jest? – zapytałem.

– Nikt – odpowiedział Reman, którego hologram zniknął przy wejściu do pomieszczenia, by po sekundzie pojawić się przy mnie. – Spuścizna po twojej siostrze. Cud techniki: Raptor Automation, skonstruowany wyłącznie dla ciebie.

– O czym ty mówisz, Kimbel? Proszę, koniec zagadek. Mów wprost.

Miałem dość niedomówień. Wszystkie informacje chcę mieć podane na tacy. Teraz. Już!

– Pamiętasz, jak doktor Mitutoyo zapytał, czy śniłeś podczas hibernacji?

– Tak.

– I co mu odpowiedziałeś?

– Że nie. Nie pamiętałem żadnych snów.

– Nie pamiętałeś, ale śniłeś, Bane. – Kimbel pokiwał głową. – Twój mózg cały czas pracował na pełnych obrotach. Zupełnie inaczej niż u nieelastów poddanych hibernacji. Twoje ciało przez osiem lat w zasadzie się nie zmieniło, zastygło w czasie, za to twój mózg działał bez przerwy, jakbyś w ogóle nie spał. Krisi postanowiła to wykorzystać. Zdobyła środki finansowe, zorganizowała zaplecze techniczne i ściągnęła zaufanych specjalistów. To, co widzisz, Bane, to efekt ich wieloletniej pracy. R1, jedyny w swoim rodzaju humanoidalny robot. Kompatybilny wyłącznie z twoim umysłem.

Podszedłem bliżej robota, który, jakby w pełnym skupieniu, patrzył mi prosto w oczy. Trudno było uwierzyć, że to nie jest człowiek. Przyjrzałem się jego ręce. Wyrastały z niej cieniutkie blond włoski, które wyglądały zupełnie naturalnie. Wyciągnąłem palec wskazujący i dotknąłem dłoni R1. Skóra była miękka i ciepła, dokładnie taka jak ludzka. Szukałem jakiegokolwiek oznaki, wskazującej na to, że mam do czynienia z maszyną, ale nie znalazłem niczego.

– Nie do odróżnienia – zaczął Kimbel. – Jego ultrakompozytowe, wręcz niezniszczalne kości wyglądają jak ludzkie. Ma sztuczny układ krwionośny, złożony ze stu tysięcy kilometrów nanorurek o różnych średnicach. Każdy organ R1 wygląda jak ludzki i mimo że nie jest biologiczny, zachowuje się, jakby taki był. Każdy mięsień zbudowany z nanitów oraz nanowłókien

napina się i rozluźnia jak u człowieka, przy czym R1 potrafi jedną ręką unieść pociąg. Ale to jeszcze nic.

Kimbel podszedł do robota i palcem wskazującym postukał go w czoło.

– Tu kryje się neuronalne centrum sterowania wyposażone w najnowszą sztuczną inteligencję, którą musimy sprząc z twoim mózgiem. Wierz mi, to, co znajduje się w jego głowie, tylko dla kilku osób na ziemi nie jest czarną magią. Rozumiesz, Bane? Oni będą myśleli, że spokojnie leżysz pogrążony w hibernacyjnym śnie, a ty w tym czasie będziesz R1. Niezniszczalnym, nienamierzalnym, niepodatnym na smak skórki z pomarańczy.

Przetrawiałem jego słowa. To, co Kimbel opisywał, brzmiało jak science fiction, a jednak R1 stał przede mną, symulował oddychanie i patrzył na mnie niebieskimi oczami. Wizja bycia tym czymś otwierała zupełnie nowe możliwości. Tylko że tak skomplikowany mechanizm musiał konsumować ogromne ilości energii...

– A jak to jest zasilane?

– Reaktory jądrowe, dwa w kolanach, plus cztery zapasowe w innych częściach ciała. Zasilanie na mniej więcej sto lat działania z pełną mocą.

– Niesamowite – wykrztusiłem. – Tylko po co aż tak dokładne odwzorowanie w środku?

– Nowoczesna inwigilacja to nie tylko mikrofony i kamery – zaczął wyjaśniać Kimbel. – SALUS ma zasilane mikroreaktorami jądrowymi miniaturowe satelity, skanery podczerwieni, kieszonkowe rentgeny. Agenci potrafią znaleźć wszystko z wyjątkiem R1. Szczegółowe odwzorowanie wnętrza sprawia, że wygląda jak człowiek i jest dla nich prawie niewidoczny.

Czas, fundusze, zaplecze techniczne, rozmyślałem, chodząc dookoła robota. Kriś poświęciła się temu całkowicie. Jakie to dla niej typowe. Gdy czegoś bardzo chciała, gdy coś ją zainteresowało, stawiała się jej obsesją. A teraz już nic jej tak nie pochłonie... Już nigdy nie odda się czemuś z taką pasją...

Zacisnąłem pięści, czując, jak wzbiera we mnie gniew. Po chwili jednak rozluźniłem dłonie. Przecież Kriś prosiła, bym zachował spokój i chłodno kalkulował. Nie mogą targać mną emocje. Muszę być jak R1, zimny i precyzyjny. Miałem jeszcze kilka pytań. Mimo że nie były najważniejsze, postanowiłem je zadać.

– Dlaczego ludzie chodzą w tych dziwnych kolumnach? Gdzie są samochody?

– Dysponując nieograniczoną władzą, można zmuszać ludzi do absurdalnych rzeczy – zaczął Kimbel. – Samochody mają nieliczni i to tylko jeżeli otrzymają specjalne pozwolenie. Potoki są odpowiedzią na rzekomą nieefektywność transportu drogowego. Pomysł pojawił się cztery lata temu. SALUS, wbrew opinii publicznej, wprowadził go w życie. Chciał jeszcze bardziej odizolować ludzi od technologii i tego, co mogłoby zakłócić kontrolę nad nimi. Maszerujący w potokach są całkowicie odkryci. Łatwo ich podsłuchiwać nawet z bardzo daleka. Dlatego prawie nikt się nie odzywa.

– Co będzie z tobą? – spojrzałem na hologram. – Jesteś pewien, że niczego nie da się zrobić?

– Jestem pewien – zaczął. – Jedyne, co mogłoby mi pomóc, to głęboka hibernacja, ale oni nigdy się nie zgodzą. Jestem im potrzebny, a przecież im nie powiem, że umieram. Muszę do końca grać swoją rolę i robić, co do mnie należy... – dodał.

– Na pewno możesz coś zrobić, zamiast cierpieć i czekać na śmierć.

– Ja nie cierpię, Bane. Z tego, co udało mi się zrozumieć i na swój sposób policzyć, w najbliższym czasie moje serce zwyczajnie przestanie bić. Umrę w spokoju, bez bólu. Mój mózg jest już na tyle zniszczony, że nawet gdyby zdecydowali się na sekcję, niczego nie znajdą. Żadnego śladu sugerującego, że byłem elastą. Nie mamy czasu na więcej pytań. Zostało piętnaście minut, a ja muszę umieścić coś w twojej głowie.

Za hologramem otworzyła się szuflada. Podeszedłem i zerknąłem do niej. Pośrodku leżała biała poduszka. Dopiero po chwili dostrzegłem na niej coś, co na pierwszy rzut oka wydało mi się paproszkiem.

Kimbel wskazał na czarny elemencik wielkości główki od szpilki.

– To jest most pomiędzy tobą a R1. Nanotransponder, miniaturowy układ o złożoności całego laboratorium, wszystko, czego potrzebujesz.

Robot, który dotąd stał nieruchomo, odwrócił ode mnie wzrok i zdecydowanym, płynnym krokiem ruszył w stronę szuflady, z której wyjął przekaźnik.

– Teraz musimy wszczepić ci nanotransponder – powiedział Kimbel. – Razem z kostką dostaniesz porcję binarytu z informacjami o moście i przekaźniku oraz podstawowe instrukcje do R1. Reszty będziesz musiał nauczyć się sam. Następna świadoma pobudka czeka cię zaraz po zakończeniu procedury hibernacji. Oczywiście jeżeli wszystko pójdzie dobrze.

– On wsadzi mi to do głowy? – zapytałem, z niepokojem wskazując robota.

– Tak, musimy być bardzo precyzyjni i szybcy – odpowiedział spokojnie Kimbel, a na środku pomieszczenia, nie wiadomo skąd, pojawił się biały fotel. – Musisz mi zaufać, Bane... jeszcze raz. R1 robi to lepiej niż najbardziej doświadczony

chirurg. Po tym zabiegu nie może zostać żaden ślad. No dalej, musimy się pospieszyć. Martwa strefa, w której system nas nie widzi, nie jest wieczna. Zaraz zniknie.

Miałem świadomość, że czas ucieka, a każda sekunda jest na wagę złota. Zdawałem sobie jednak sprawę, że mogę już nigdy więcej nie zobaczyć Kimbela.

– Muszę wiedzieć, jak głęboko sięga inwigilacja? O jakiej skali mówimy? I czym jest martwa strefa?

Hologram Remana zerknął na zegarek i pokręcił głową, ale zdecydował się odpowiedzieć.

– SALUS nie pokrywa swoją siecią całego globu. Jeszcze nie pokrywa. Martwa strefa to obszar, który czasowo znajduje się poza nadzorem. Siatka inwigilacyjna jest w innym miejscu, systemy monitorujące restartują się lub przechodzą w tryb konserwacji. Tylko wtedy, dosłownie przez kilka minut, możemy działać względnie swobodnie. SALUS zdaje sobie jednak sprawę, że do pełnej kontroli nad ludźmi sam nadzór nie wystarczy. Trzeba uniemożliwić obywatelom swobodną komunikację, wyeliminować wolność słowa i radykalnie ograniczyć dostęp do informacji, co zrobiono, wprowadzając szereg nielogicznych zasad. Oczywiście nie udało się im w pełni wyeliminować niechcianej komunikacji. W odpowiedzi na algorytmy wyłapujące niepożądane treści i likwidujące je za pośrednictwem narzędzi sieciowych lub agentów SALUS-a, zwykli ludzie stworzyli algorytmy szyfrujące treść, przez co staje się ona niewykrywalna i bardzo często nienamierzalna nawet dla samej superinteligencji. Nadażasz? – Kimbel spojrzał na mnie pytająco.

– Tak, ale zakładam, że rozwiązania tworzone przez zwykłych ludzi nie są zaawansowane technicznie?

– Zgadza się, jednak nawet gdyby maszyny SALUS-a były miliardy razy szybsze, nie mogłyby złamać podstawowych praw fizyki. – Hologram Remana się uśmiechnął. – A algorytmy na tym bazują i używają kryptografii kwantowej. Tak zwany Darknet, kiedyś nisza, dzisiaj jest alternatywną rzeczywistością.

– Odwróconym światem – odpowiedziałem automatycznie.

– Odwróconym światem pełnym sprzeczności, szyfrów i szumu – doprecyzował Kimbel. – Ludzie przystosowali się do sytuacji. Żyją w fikcyjnym świecie. Ten prawdziwy w zasadzie przestał istnieć. – Hologram jakby się zawiesił na chwilę, po czym kontynuował: – Ludzie ciągle kłamią. Tylko w wąskich grupach pozwalają sobie na nieco szczerości. Świat ogarnęła powszechna gra pozorów. Wszyscy głośno chwalią SALUS-a, wiedząc, że to tylko zasłona dymna. Paranoja, prawda? Oto, do czego mogą doprowadzić nieograniczone fundusze i trzymanie rządu światowego w garści. Przed twoją hibernacją inwigilacja była jedynie zabawą. Niby wszechobecna, ale jednocześnie nie istniała, rozumiesz? – zapytał Kimbel, patrząc w moją stronę.

– Tak. Tyrania kontra lud. Klasyka.

Reman skinął głową.

– Nie jesteśmy jednak pewni, czy kontrola nad społeczeństwem to jedyny cel SALUS-a. Potoki ludzi powstawały pod pełną kontrolą, a następnie rozsypywały się dzięki skoordynowanym akcjom podejmowanym oddolnie. Ludzi stłamszono, ale nie ubezwłasnowolniono. I wtedy SALUS zaczął używać smaku skórki pomarańczy. A przecież każdy człowiek ma coś do ukrycia. Pomyśl, jakie daje to SALUS-owi możliwości. To dzięki skórcie może bez przeszkód kontynuować ten proceder. – Kimbel wziął głęboki oddech. – Ksarden Heleskin już odkrył

karty: nie chcecie po dobroci cywilizacji według mojej wizji, to wprowadzimy ją inaczej. Wyobraź sobie konferencję prasową znanego polityka, zapytanego, czy ma kochankę. Niezdolny do kłamstwa odpowiada, że owszem, ma, ale tylko jedną. Dociekliwy dziennikarz pyta o szczegóły. Polityk od razu podaje jej nazwisko i informuje zebranych, że spotyka się z nią codziennie wieczorem, gdy żona jest na fitness. Mówi też o tym, że najbardziej lubi piątki, bo wtedy kochanka zgadza się na seks analny, a on zawsze miał gejowskie ciągoty.

Moje brwi poszybowały do góry. Każdy ma coś do ukrycia...

– To nie jest fikcyjny przykład, Bane. To się wydarzyło. Odpytanym politykiem był prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki. Skórka pomarańczy nie tylko nie pozwala kłamać, ona blokuje agresję i możliwość sprzeciwu. A wiesz, co się wtedy dzieje z ludźmi? My wiemy. Wystarczy dwadzieścia razy wystawić mózg na działanie smaku skórki, by zaczął zmieniać swoją strukturę. Po trzydziestu w wielu, bardzo wielu przypadkach można zdiagnozować kliniczną depresję z pełnym spektrum objawów.

– Depresję? – przerwałem. – W jaki sposób chwilowe wyłączenie agresji i kontroli prowadzi do depresji?

– Nie wiemy. U jednych dzieje się to szybciej, u innych wolniej, ale zawsze tak się kończy. Być może ludzki organizm ma nieznaną nam mechanizm autodestrukcji, uruchamiający się, gdy coś lub ktoś próbuje przejąć kontrolę. Wiesz, co to oznacza? Gdy tylko połączyliśmy przyczynę ze skutkiem, pojawiło się pytanie: czy to rzeczywiście dopiero teraz się zaczęło? Przecież już na początku dwudziestego pierwszego wieku ludzie musieli zmierzyć się z plagą depresji, która nigdy nie miała jasnej epidemiologii. Dziś też nie wiemy, jak dokładnie działa smak skórki

pomarańczy, ale skutki mamy dobrze udokumentowane. Pełne spektrum depresji klinicznej z nasilonymi myślami samobójczymi. – Kimbel zerknął na zegarek. – Dlatego SALUS nie może tego główna rozpylać non stop. To doprowadziłoby do śmierci milionów ludzi, a oni potrzebują rąk do pracy. Z tego powodu obserwują. Obsesyjnie. Na razie jednak, jak już wiesz, nie widzą wszystkiego non stop i mamy te pojawiające się na chwilę ślepe plamki. Miejsca, na które w danym momencie nikt nie patrzy, w których nikt nie nasłuchuje. A teraz koniec pytań, Bane, resztę informacji dostaniesz w binarycie.

Skinąłem głową i pomimo obaw usiadłem na fotelu. Nie zapytałem nawet, jak znajdę się z powrotem w ośrodku hibernacyjnym. R1 podał mi anestetyki. Miał niesamowicie płynne i dokładne ruchy. Zasypiałem. Moje myśli krążyły wokół Kriśi. To tym robotem zajmowała się przez ostatnie lata... Z jego powodu zginęła... Wiedziałem już, że zrobię wszystko, by powstrzymać SALUS-a. Czymkolwiek jest i gdziekolwiek się znajduje, powstrzymam go. Pomszczę Kriśi i uwolnię świat od tych potworów. Jednak najpierw zadbam o mamę...

Rozdział 1.3

Początek

Wdech, wydech, wdech, wydech. Czy to już? Jestem zahibernowany? A może... może nie żyję? Może to tylko iluzja? Czy prowadziłbym ze sobą taką rozmowę, gdybym był trupem? Myśli zaczęły krążyć w mojej głowie niczym natrętne owady. Czy świadomość może przetrwać śmierć? Może to ostatnie przeblyski mojego jestestwa przed całkowitym zgaśnięciem. Ale jeśli tak, to dlaczego czuję taką jasność myśli, taki spokój? Czy to możliwe, że po śmierci umysł nadal funkcjonuje, analizuje, zadaje pytania?

Nieoczekiwanie, jakby ktoś dołożył mi odrobiny świadomości, zorientowałem się, że nie czuję ciała, nie widzę i nie słyszę niczego poza swoim oddechem oraz powolnym, miarowym biciem serca. A gdybym tak...

Przestałem oddychać. Nie, nie wstrzymałem powietrza. Po prostu przestałem oddychać, a chwilę później zatrzymało się serce.

Nagle gdzieś wewnątrz siebie usłyszałem dźwięk podobny do przyspieszającego samochodu elektrycznego, gdy bateria rozpędza rotory w silnikach zeroemisyjnych.

Otworzyłem oczy. Byłem w tym samym pomieszczeniu, w którym niedawno rozmawiałem z hologramem Kimbela Remana. Siedziałem na fotelu, tym samym, na którym przed chwilą siedział mój przyjaciel.

Podniosłem się i ruszyłem w stronę rozsuwanej ściany, za którą stał R1. Przed wyjściem, chciałem jeszcze raz na niego zerknąć, zobaczyć, kim będę, albo raczej czym będę, gdy po raz kolejny się obudzę – o ile się obudzę. To, jakim cudem znajduję się z powrotem w ośrodku, w ogóle mnie nie martwiło. Byłem spokojny, jakbym wiedział, że ktoś już się tym zajął.

Ściana się rozsunęła. Ku mojemu zdziwieniu miejsce zajmowane wcześniej przez R1, było puste.

Nagle dotarło do mnie, że moje serce nadal nie bije, a ja wciąż nie oddycham. Postanowiłem zacząć od nowa. Krew znów popłynęła, oddech wrócił i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiła się pełna świadomość. Świadomość tego, że nie jestem sobą, że nie muszę oddychać, ponieważ... nie jestem człowiekiem.

Gwałtownie zalała mnie fala intensywnego lęku. Serce jednak nie przyspieszyło, zupełnie jakby miało ustalone interwały, stałe i nienaruszalne. Oddech również pozostał głęboki i miarowy, co zdecydowanie gryzło się z tym, co właśnie działo się w mojej głowie. Szybkim krokiem ruszyłem przed siebie i otworzyłem drzwi do łazienki. Nie mam pojęcia, skąd wiedziałem, że to łazienka. Wpadłem do środka. Stojąc bokiem do lustra zastanawiałem się, czy aby na pewno chcę zobaczyć swoje odbicie. Strach ścisnął mnie za gardło, ale mimo to obróciłem się w prawo.

Nie ja stałem przed lustrem, przed lustrem stał R1. Niebieskie oczy wodziły po pozbawionym mimiki obliczu.

Spróbowałem zmienić wyraz twarzy i udało się. Na jego, na mojej twarzy zagościł uśmiech, od ucha do ucha, precyzyjnie odwzorowany, całkowicie ludzki. Zaciśnąłem mocno powieki, by po chwili znowu je otworzyć. Pochyliłem głowę i zerknąłem na rękę. Niczym się nie różniły od ludzkich, od tych, które dobrze znałem. Prawym palcem wskazującym przejechałem po wewnętrznej stronie lewej dłoni. Czułem każdy milimetr tego ruchu – delikatny nacisk i łaskotanie w najbardziej wrażliwych miejscach. Uniosłem głowę i jeszcze raz spojrzałem na siebie, tym razem dotknąłem nosa oraz policzka. Tak, tutaj też czułem wszystko. Ciepło skóry, wyraźny zarys twardych kości policzkowych. Jak to możliwe? I jakim cudem w ciele robota czuję się jak we własnym?! Teraz patrzyłem sobie, patrzyłem R1 prosto w oczy. Moja siostra była geniuszem. Stworzyła sztucznego człowieka, tak doskonałego, że nawet ja dałbym się zwieść, gdybym nie wiedział, jak naprawdę wyglądam. Pod tą perfekcją jednak czułem coś więcej – moc drżącą w tym tworze, jakbym już wiedział, czuł, do czego jest zdolny.

Wracała mi pamięć, a z nią do świadomości przedzierały się kolejne porcje binarytu, który był, jak się okazało, kluczem do transpondera w moim mózgu. Wyszedłem z łazienki i usiadłem w fotelu.

Analizowałem informacje, mające mi ułatwić współpracę z R1, nie tylko motoryczną – w tym aspekcie już teraz czułem zadziwiającą swobodę – ale również mentalną. Sięgnąłem głębiej. Piękno technologii stworzonej przez Krisi dosłownie zwałało z nóg, a binaryt pozwalał na automatyczne zrozumienie skali całego przedsięwzięcia oraz jego absolutnej wyjątkowości. Nie wiem, czy nie zaryzykowałbym nazwania tego, co zrobiła, skokiem cywilizacyjnym.

W binarycie dostarczono mi również informacje na temat interfejsu rozbudowanej sieci neuronowej R1. Syntax – bo taka była jego nazwa – pozwalał mi na wiele, choć nie byłem jeszcze pewien, na jak wiele. Dokumentacja techniczna była otwarta, jakby wynalazca sam do końca nie rozumiał, co stworzył. Od razu przyszedł mi do głowy Einstein, który pisząc równania ogólnej teorii względności, nie miał pojęcia, że będą w niej czarne dziury czy opis rozszerzającego się wszechświata.

Neurastazja, czyli komunikacja z Syntaxem, odbywała się płynnie i bez wywoływania, po prostu wydawałem wewnętrzne komendy, a odpowiedź – neural – pojawiała się wprost w mojej głowie. Nie widziałem jej. Przed oczami nie pojawiał się tekst, nie słyszałem też żadnego głosu. Zwyczajnie czułem, znałem odpowiedź zaraz po wysłaniu zapytania do Syntaxu. Trochę tak, jak z binarytem, z tą różnicą, że żaden z neurali nie trafiał bezpośrednio do pamięci długotrwałej. Każdy gwałtownie rozświecał się w moim umyśle i równie szybko gasł.

Było w tym jednak coś więcej. Może zabrzmiało to dziwnie, ale doświadczałem nieznanej mi obecności – odrębnej inteligencji, współistniejącej z moją.

Wysłałem kolejne polecenia do Syntaxu i zamknąłem oczy.

Wokół mnie budował się pokój z białymi ścianami i sufitem ozdobionym drewnianymi belkami. Na środku pojawił się stolik kawowy, skórzana brązowa kanapa i telewizor. Na ścianach kilka akwarelowych pejzaży, porcelanowa zastawa na półkach. Okno... nie, dwa duże okna... z widokiem na jakieś miasto. Albo nie! Okna z widokiem na las delikatnie oświetlony popołudniowym słońcem.

Obraz przed moimi oczami nieznacznie zafalował, po czym, ku mojemu zdziwieniu, w kącie pokoju zobaczyłem... labradora. Stał, przyglądał mi się uważnie i merdał ogonem. Co do...

przecież nie chciałem żadnego psa. W chwili, w której ta myśl pojawiła się w mojej głowie, labrador znikł.

Coraz głębiej zanurzałem się w proces tworzenia podwalin mojego systemu operacyjnego, mojego środowiska. Nie wiem dlaczego, ale byłem przekonany, że w tym momencie jest to najważniejsze zadanie. Muszę je wykonać i koniec.

Pomieszczenie było gotowe. Całkowicie nowy poziom wyobraźni. Nowy poziom planowania. Tylko czegoś brakowało... I wtedy po drugiej stronie kanapy pojawił się mężczyzna. Wysoki, opalony blondyn spoglądał na mnie badawczo, prawie niezauważalnie się uśmiechając. Miał na sobie czarne jeansy i białą lnianą koszulę.

– Kim ty...

– Jesteś? – odpowiedział spokojnym głosem, wchodząc mi w zdanie. – Twoją manifestacją mnie.

– To znaczy?

– Twoją manifestacją R1, systemu, z którym się komunikujesz poprzez Syntax. Chyba czujesz się lepiej, gdy mnie widzisz. Gdy jestem tutaj w takiej przyjaznej ludzkiej formie, a nie jako bezosobowe neurale, pojawiające się w twojej głowie. Zgadza się?

– Tak... Dlaczego wybrałem taki wygląd?

– Tego niestety nie wiem. Na pewno wpływ miało wiele czynników. Czy chcesz nazywać mnie Bellator?

– Tak, skąd... – zatrzymałem się w pół zdania.

Widocznie on już wiedział to, co wiedziałem ja. Bellator oznacza wojownika, a to nim miałem się stać. Przełknąłem ślinę i uświadomiłem sobie, że tak naprawdę tego nie zrobiłem. Wziąłem głęboki oddech. Nie musiałem oddychać, ale w jakiś dziwny sposób ta czynność mnie uspokajała.

– Dobrze. Zacznijmy – powiedziałem. – Co wiesz o doktorze Warinerze Wojgdzie?

Bellator zamknął oczy i zaczął mówić:

– Genetyk, noblista, geniusz. Twórca wielu opracowań na temat sekwencji genowych, dziedziczenia, chorób wrodzonych. W pewnym momencie jego aktywność zanika. Przez rok wzmianki na jego temat pojawiają się tylko w Darknecie.

Mężczyzna otworzył oczy i zerknął w moją stronę.

– Czy odnalezienie go jest możliwe? – zapytałem.

– Z pewnością, ale dostęp do sieci neuronowych nie wystarczy. Ostatnia wzmianka ma ponad dwa lata. Doktor Wojgda w towarzystwie agenta SALUS-a poruszał się wtedy po jednej z obwodnic Paryża.

– Coś więcej? Co wiesz o SALUS-ie?

Na ekranie telewizora pojawiło się zdjęcie. Był na nim siwy mężczyzna w okularach korekcyjnych. Miał czerwone plamki na twarzy i zapadnięte policzki – wzbudzał współczucie. Obok stał agent; sylwetka była zamazana, jakby ktoś chciał ukryć jego tożsamość.

– Dlaczego nie widać tego drugiego?

– Szyfrowanie kwantowe – odpowiedział automatycznie Bellator.

– Nie rozumiem, dlaczego tylko on został zamazany?

– Po pierwsze szyfrowanie nie jest proste, a po drugie nie jest tanie. Według moich danych agenci SALUS-a posiadają specjalne identyfikatory. Globalny system inwigilacyjny rozpoznaje je i automatycznie wymazuje z bazy. Są jak duchy. Poczekaj.

Bellator po raz kolejny zamknął oczy, tym razem na kilka sekund.

– Zebrałem setki innych ujęć, najprawdopodobniej tego samego człowieka. Nie zawsze ta sama część jego ciała jest zamazana. Proszę, oto, co udało mi się poskładać z ośmiuset siedemdziesięciu obrazów.

Na ekranie pojawiła się zmontowana sylwetka osoby towarzyszącej doktorowi Wojgdzie. Wyraźnie było widać lewą nogę, czarne spodnie opadające na sznurowane lakierki, kawałek małego palca lewej ręki.

– Przybliż twarz, lewa strona, trzy centymetry od nosa – powiedziałem.

Bellator zrobił to, o co prosiłem. Zobaczyłem niezbyt wyraźne oko mężczyzny. Tyle jednak wystarczyło. Martwe, pozbawione tęczy białe oko. W pamięci przewinął mi się obraz Krisi leżącej w kałuży krwi i tego drania, który strzelał raz za razem do jej martwego ciała. Czy ten mężczyzna był wszędzie?

– Czternaście – wysyczałem przez zaciśnięte zęby. – Ten człowiek zabił mi siostrę i wygląda na to, że może wiedzieć, gdzie znajduje się doktor Wojgda.

Bellator skinął głową.

– Musimy go odnaleźć. Zmieniłem zdanie. Będę do ciebie mówił Spike. Tak miał na imię mój dobry kolega ze szkoły średniej. Bardziej pasujesz mi do niego niż do mściwego boga – powiedziałem, po czym wybudziłem się w realnym świecie.

Rozdział 1.4

Poszukiwania

Dokładnie przeszukałem komode. Opatrunki, antybiotyki, podręczne analizatory tkanek, a nawet zastrzyki z syntetyczną noradrenaliną. Mały szpital. Kimbel musiał wiedzieć, co może mnie, a raczej nas, czekać. Usiadłem w fotelu.

W mojej głowie pojawiały się i znikwały kolejne neurale. Mimo to ilość pochłanianych przeze mnie informacji w ogóle nie przytłaczała. Mój umysł był do tego przystosowany.

Martwa strefa, czyli z tego, co już wiedziałem, punkt a raczej obszar, na który w danym czasie nikt albo raczej nic nie patrzy, miała otworzyć się za pięć minut i trzydzieści sześć sekund. Musiałem być całkowicie pewien, że tego miejsca nikt nie znajdzie, że to pomieszczenie nigdy nie zostanie ze mną powiązane. Tutaj miała być moja spokojna przystań.

Prędkość, z jaką Spike analizował poszczególne elementy całej tej układanki, porażała. Ustawiłem kilka programów mających informować mnie o nieszablonowej aktywności w Darknecie powiązanej z SALUS-em. Na jednym z czatów sztucznej inteligencji użytkownik o nicku Apollo udostępnił pakiet informacji niezaszyfrowanych kwantowo. Były tam

również stosy danych, dotyczących, jak można się było domyślić, agentów SALUS-a. Czarne plamy na osi czasu, wymazane postaci, a wraz z nimi niepokój pozostałych użytkowników, strach i niepewność.

Powoli docierało do mnie, dlaczego jestem dla nich aż tak niebezpieczny. Nie sama natura umysłu elasty była zagrożeniem, ale właśnie to, że mój mózg potrafił dostosować się do komunikacji promptowej, ciągłego połączenia z Syntaxem reprezentowanym przez Spike'a – byt, którego mogłoby nie być, ale który wyodrębniłem i któremu nadałem ludzkie cechy, by czuć się bardziej komfortowo. Gdy chcę, mówi do mnie spokojnym, zrównoważonym głosem. Gdy nie chcę, w mojej głowie pojawiają się neurale. Taka moc to niesamowite uczucie. To zupełnie inny poziom świadomości i zrozumienia.

Do pojawienia się martwej strefy pozostały dokładnie dwie minuty. Przeglądając kolejny raz dokumentację, uświadomiłem sobie, że R1 to nie tylko uformowana z myślą o mnie zaawansowana sztuczna inteligencja, lecz także całkowicie niezależny kombajn technologiczny. Czujniki laserowe, pojemnościowe, magnetyczne i inne, do tego dwadzieścia naszpikowanych elektroniką nanobotów, teraz unoszących się w powietrzu. Były na tyle małe, że praktycznie niedostrzegalne dla ludzkiego oka, a ich zasięg o promieniu pięćdziesięciu kilometrów znacznie ułatwiał obserwację terenu. Nazwałem je muszkami, w końcu trochę je przypominały. Z tego, co udało mi się zrozumieć, miałem bardzo odporny szkielet i system samonaprawiający. Poza tym dysponowałem ogromną siłą. Dokumentacja wyjaśniała tylko ogólny zarys budowy biosyntetycznych włókien mięśniowych, generujących moc nawet stukrotnie większą niż u zwykłego człowieka. Była też wzmianka o trybie awaryjnym,

określanym jako przeniesienie zasobów. W tym stanie siła zależała od ilości przekierowanych rezerw oraz od wytrzymałości szkieletu i systemów wewnętrznych.

Wstałem z fotela, kolejny raz zdając sobie sprawę, że odczuwam wszystko tak, jakbym nadal był we własnym ciele, które przecież leżało zahibernowane w Instytucie Maxa Plancka. Dokumentacja nie wspominała, jak dokładnie działał transponder i dlatego nie odczuwam żadnych opóźnień. Moja siostra dokonała czegoś naprawdę spektakularnego. Ostatni raz rozejrzałem się po pokoju, po czym podszedłem do skanera tęczówek, aby otworzyć drzwi. Tak, te same drzwi, które wcześniej próbowałem sforsować siłą. Tym razem już wiedziałem, że czarny panel obok futryny to biometryczny skaner oka. Otrzymałem tę informację w ostatniej porcji binarytu. Pochyliłem się. Urządzenie uruchomiło się automatycznie. Po sekundzie światelko na obudowie zmieniło kolor z czerwonego na zielony, a do moich odbiorników dotarł dźwięk mechanizmu otwierającego drzwi.



Ruchy R1 były płynne, ale i tak się bałem, że mogę wyglądać sztucznie, toteż ucieszył mnie brak ludzi na zewnątrz. Po chwili już pewnie szedłem przed siebie, wiedziałem, dokąd zmierzam. Spike wykonał świetną robotę. Dostarczył mi na tyle precyzyjne dane na temat numeru Czternaście, że szansa na spotkanie agenta na rogu jednej z piętnastu ulic wynosiła około 85,6%. Rzecz jasna nie mogłem być wszędzie. Zatrzymałem się. Za trzy minuty na drodze przede mną miał się pojawić dziesięciokolumnowy potok ludzi. Z mojego prawego ucha wyleciało

czternaście botów. Opierając się na tym, co zapamiętał mój mózg, zaprogramowałem drony tak, by wyłapały w tłumie sylwetkę poruszającą się w charakterystyczny sposób i przesłały mi pinga. Ruszyłem do miejsca, w którym szansa na spotkanie Czternastki w ciągu najbliższych trzech godzin była największa.

– Martwa strefa zniknie za pięć, cztery, trzy, dwa, jeden – odezwał się Spike.

Czujniki pola elektromagnetycznego zasygnalizowały zmianę w otoczeniu. Od tego momentu ktoś ciągle na nas patrzył.



Charakterystyczny szelest narastał, aż w końcu kilka metrów przede mną droga wypełniła się maszerującymi ludźmi. Zrobiłem kilka kroków i dołączyłem do nich. Uruchomiłem program nawigacyjny i przestałem skupiać się na chodzie. Wysłałem zapytanie do Syntaxu. Po milisekundzie pojawiły się uszeregowane neurale.

System inwigilacyjny składał się z różnych elementów, ale jego główną bazą były satelity i zaawansowane technologicznie kamery. Użytkownicy Darknetu sugerowali jednak, że tylko część sprzętu śledzącego jest naprawdę z górnej półki. Na przykład kamery multiklatkowe, poruszające się z prędkością naddźwiękową były rzadkością.

Grupa użytkowników nazywających się „trucicielami” utrzymywała, że część kadry naukowej głównych uniwersytetów została zamordowana. Nie uprowadzona, lecz zamordowana... Użytkownik o nicku alphaZ, który analizował działania „zrządców”, czyli zapewne SALUS-a, utrzymywał, że pozbycie się kadry naukowej może mieć sens. Dodawał jednocześnie,

że liczba „zaginięć” wzrosła głównie wśród przedstawicieli dziedzin niezwiązanych bezpośrednio z technologią atomową czy mechaniką kwantową. Obszarami tymi były: informatyka przemysłowa, sieci neuronowe i zaawansowana sztuczna inteligencja. Według alphaZ mogło to oznaczać, że SALUS obawia się inżynierii wstecznej, gdyż posiada technologię informatyczną, która dalece wykracza poza aktualny stan wiedzy. Cóż, brzmiałoby to jak naciągana teoria spiskowa, gdyby nie kolejne neurale. Kadra naukowa faktycznie nie tylko znika. Programiści, specjaliści komputerowi, architekci struktur neuronowych i inżynierowie zaawansowanego uczenia maszynowego znacznie częściej umierają w młodym wieku na choroby sercowo-naczyniowe niż ich rówieśnicy pracujący w innych branżach. Dokładnie o 81% częściej. Ponieważ dane miały pewne statystyczne odchylenia, nie mogłem w pełni im zaufać.

Spike wysłał mi pinga. Zbliżaliśmy się do skrzyżowania, na którym mieliśmy wyjść z potoku i czekać.

Darknet intrygował mnie coraz bardziej. Ilość dramatycznych historii opisywanych przez anonimowych użytkowników przytłaczała. Część z nich wydawała się wręcz nieprawdopodobna. Ciężko było uwierzyć w to, jak bardzo zmienił się świat.

Pozyskiwanie informacji utrudniała nam liczba zmiennych. Nie potrafiliśmy w pełni odróżnić szumu od prawdy, teorii spiskowych od rzetelnych faktów. Większość informacji, które otrzymywaliśmy, bez potwierdzenia empirycznego stawiała się bezwartościowa lub była obarczona dużym błędem statystycznym.

Zapewne tak działał SALUS. Nie mógł usunąć Darknetu, więc zasiewał w nim niepokój i dezinformację. To chyba

najbardziej mnie irytowało. Mimo całego technologicznego zaplecza, którym dysponowałem, byłem oszukiwany. Tak jak wszyscy. Tylko autorzy szyfrowanych kwantowo informacji oraz ich konkretni odbiorcy mogli być pewni, że posługują się prawdziwymi danymi, bez kłamstw i szumu. Otwarte kanały śmiało można było opisać jednym słowem – śmietnik.

Spike wysłał mi kolejnego pinga, po czym przed moimi oczami pojawił się obraz. W przeciwieństwie do zakłóconych ujęć z kamer systemu inwigilacyjnego, rejestratory z bota dostarczały czysty sygnał. Na ekranie wyraźnie widziałem numer Czternaście, który właśnie dołączał do jednego z potoków razem z mężczyzną taszczącym ogromną torbę.

Mam cię, pomyślałem, zaciskając pięści.

– Korelacja dziewięćdziesiąt dziewięć i siedem dziesiątych procent – odezwał się Spike. – Tego drugiego nie mam w bazie.

Dane były jasne. Nagranie zarejestrował bot oddalony ode mnie o dwie przecznice. Teraz miał podążać za agentami i aktualizować mnie na bieżąco. Zmieniłem kierunek, przeszedłem przez dwa kolejne potoki i po kilku minutach znalazłem się w tym samym rzedzie, co Czternastka i jego towarzysz. Dzieiliło nas dwieście metrów. Znowu ping. Obraz z kamery się powiększył. Obaj mężczyźni wyszli z potoku, teraz to jednak Czternaście trzymał torbę. Porozumiałem się ze Spikiem, plan był jasny matematycznie... statystycznie. Wyszliśmy z potoku i ruszyliśmy w stronę agentów, z każdym krokiem zmniejszając do nich dystans.

– Coś się zmieniło – zaczął Spike. – Chyba wiedzą, że za nimi idziemy.

– Chyba?

– Na siedemdziesiąt sześć procent – doprecyzował.

Statystyka dawała mi dość wysokie prawdopodobieństwo, że będą chcieli sprawdzić, dlaczego ktoś za nimi idzie. Zapewne nigdy wcześniej się to nie zdarzyło. Mężczyźni zmienili kierunek w momencie, gdy Spike poinformował mnie o zmianie ich zachowania niepasującej do normalnego rozkładu. Pośpiesznie wprowadziłem do obliczeń dane zaczerpnięte z socjologii zachowań z dwudziestego pierwszego wieku. Dodatkowe tło zapewniał Darknet, pełen informacji o pracownikach SALUS-a, którzy wykorzystywali swoją pozycję do prywatnych interesów. O numerze Czternaście wiedziałem tylko tyle, że jest wysoko w hierarchii i działa błyskawicznie.

– Wykryli nas – odezwał się Spike. – Kierują się w stronę najbliższej martwej strefy.

Syntax co prawda budował statystykę na podstawie danych pozyskanych ze źródeł wewnętrznych i analiz matematycznych, ale mógł też podejrzeć i podsłuchać niektóre słabiej monitorowane systemy inwigilacji. Trafność ostatecznych prognoz obniżały trudne do przewidzenia zmienne, takie jak czynnik ludzki. Z pomocą przychodziły wtedy biblioteki socjologiczno-społeczne. Mimo to każdy wynik był tylko prawdopodobny, nigdy pewny.

W tym przypadku obliczenia Spike'a określały prawdopodobieństwo zakończenia akcji sukcesem na 89,3%, o ile Czternaście będzie unikał wzroku Wielkiego Brata i wzbudzania zainteresowania, które mogłoby mu przeszkodzić w robieniu interesów.

Szedłem za mężczyznami, zachowując stumetrowy dystans. Nieustannie analizowałem otoczenie. Próbowiałem wyeliminować wszelkie dane, które po wrzuceniu do sieci umożliwiłyby zdemaskowanie mnie. Musiałem jednak zaryzykować. To mogła

być jedyna szansa. Nie chodziło tylko o zemstę. Potrzebowałem agenta Czternaście, żeby znaleźć doktora Wojgdę i ostatecznie, by dopaść numer Jeden tej demonicznej organizacji.

Mężczyźni się zatrzymali. Neural potwierdził, że prawie na pewno są w martwej strefie. Z jednej strony była to dobra wiadomość – cokolwiek się wydarzy, nikt tego nie zobaczy. Z drugiej jednak sugerowała, że im też zależy na anonimowości. Tylko dlaczego? Widziałem pięć wysoce prawdopodobnych możliwości, ponad setkę mniej prawdopodobnych i dwadzieścia trzy tysiące hipotetycznych wydarzeń o bardzo niskim prawdopodobieństwie. Spike na bieżąco zmieniał wyniki adekwatnie do napływających danych.

Moje sztuczne serce waliło jak oszalałe. Nie musiało, ale potrzebowałem tego, by czuć się człowiekiem, przeżywać ten moment całym sobą. Planowałem przejść tuż obok nich. Prawdopodobieństwo, że zareagują, wynosiło 98%. Jeżeli mnie zignorują, wrócę i sam nawiążę kontakt. Dziś po prostu musiało dojść do konfrontacji.

Wszedłem w wąską ulicę między ceglаныmi ścianami, pnącymi się stromo w górę. Zostało dziesięć metrów. Serce jeszcze przyspieszyło. Ryzyko, że wyciągną broń i strzelą, wynosiło tylko 1,2%. Niby mało, ale zawsze to więcej niż 0,002%. Na szczęście ich broń prawie na pewno nic by mi nie zrobiła.

Metr.

– Kolego – burknął nieznany mi agent. – Chodź no tutaj. Nie zgubiłeś się przypadkiem?

– Ja? – zapytałem, odwracając się w ich stronę.

– A widzisz kogoś innego? Chip do zeskanowania poproszę – powiedział, po czym wyciągnął z kieszeni mały szary pasek.

Neural poinformował, że jest to odłączony od sieci podręczny skaner tożsamości.

– Nie mam – odpowiedziałem.

Agent rzucił zdziwione spojrzenie w stronę kolegi, który bez słowa sięgnął po broń. Nim zdążył wycelować, już wiedziałem, że pocisk nawet mnie nie draśnię. Mimo to uniosłem ręce do góry.

– Samobójca? – zapytał Czternaście, zupełnie bez emocji.

– To byłby pierwszy taki – zdziwił się ten drugi. – Zazwyczaj skaczą albo łykają jakieś tabletki, ale kto wie, co N3 robi z mózgiem.

Błysk neurala. N3 to nazwa zwyczajowa na smak skórki z pomarańczy.

Agent stojący obok numeru Czternaście schował skaner i z drugiej kieszeni wyciągnął inne urządzenie.

– To analizator cząstek – wyjaśnił Spike. – Jeżeli nas zeskanują, twoja struktura cząsteczkowa trafi do bazy danych. Miną tygodnie, nim zdołam zmienić nas na tyle, by odzyskać pełną anonimowość.

W tej chwili prawdopodobieństwo, że Czternaście zwyczajnie mnie zastrzeli, wynosiło 66%. Wcześniej na liście potencjalnych scenariuszy ten był na odległym miejscu. Nie doceniliśmy intelektu drugiego agenta. Podjąłem decyzję. Jedną z wielu prawdopodobnych.

– Szukam doktora Warinera Wojgdy – powiedziałem. – Nie wiecie czasem, gdzie go znajdę?

Analiza strukturalna numeru Czternaście wciąż trwała. Musiałem być pewien, że ryzyko się opłaci, że Czternaście wie, gdzie jest Wojgda.

Neural: obserwacja zostanie wznowiona za trzy minuty.

Statystyka znów wygrała, Czternaście uniósł broń, a jego towarzysz wbił we mnie złowrogie spojrzenie.

– Czego chcesz od doktora Wojgdy? Kto Cię przysłał? – zapytał mniej lotny agent.

Czułem, jak sztuczna krew buzuje mi w kompozytowych rurkach układu krwionośnego. Dwie minuty. Nie przerwałem skanowania. Potrzebowałem więcej informacji o mordercy Krisi.

– A może kojarzycie – odwróciłem wzrok w stronę numeru Czternaście – Kristine Warner, bestialsko zamordowaną we własnym domu?

Drugi agent uniósł brwi. Czternaście przeładował broń. Jego martwa twarz i białe oczy wciąż nie wyrażały żadnych emocji.

– Czyli samobójca – stwierdził lodowatym tonem. – Musisz wiedzieć, że likwidacja Warner była dla mnie wyzwaniem. Nie żebym miał coś przeciwko zabijaniu kobiet, ale zabijanie kobiet w ciąży to już wyższy poziom. Od razu zarobiłem dwa punkty zamiast jednego. I wiesz, co czułem, gdy to robiłem? Podniecenie – dodał z uśmiechem. – Kim dla ciebie była ta kobieta, że postanowiłeś umrzeć w tak bezwartościowy sposób?

Moje serce przeszły rozdzierający ból. Krisi była w ciąży? Oczami wyobraźni zobaczyłem, jak leży bezbronna w kałuży krwi, jeszcze oddycha, a ten potwór pakuje w nią kolejną kulę. Z trudem powstrzymałem łzy.

Neural wypuł dane: agent Czternaście na 82% wie, gdzie znajduje się doktor Wojgda. Milisekundę później byłem w intranecie. Musiałem przeanalizować nowe informacje. Zajęło mi to prawie godzinę, chociaż agenci odpowiedzi usłyszeli natychmiast:

– Była moją siostrą.

Wypowiadając te słowa, patrzyłem Czternastce prosto w oczy.

Sztuczne serce przestało bić. Oddech ustał. Czas spowolnił. Twarz agenta uległa gwałtownej zmianie. Pojawiło się na niej coś w rodzaju zdziwienia, być może nawet strachu. Musiał wiedzieć, że Bane Warner leży zahibernowany w instytucie Maxa Plancka. Być może wiedział nawet, jak naprawdę wyglądam. Widziałem, jak jego pewność siebie kruszy się pod ciężarem faktów. Zrozumiał, że stoi przed kimś, kto nie ma już nic do stracenia. Ostatni raz sprawdziłem kompilacje i bez wahania uruchomiłem program.

Gdy zdziwiony numer Czternaście pociągał za spust, otwarta lewa dłoń R1 przyłgnęła do jego twarzy i docisnęła głowę agenta do ściany za jego plecami. Pokruszone odłamki cegieł wystrzeliły w powietrze. Idealnie wyliczona siła spowodowała niezbyt poważne pęknięcie kości policzkowych, potylicy i nosa. Numer Czternaście wisiał teraz dziesięć centymetrów nad ziemią. W tym samym czasie, jak na zwolnionym filmie, drugi agent spróbował sięgnąć po broń. Nie zdążył. R1 wykonał precyzyjny zamach. Jego prawa ręka przecięła powietrze z niewyobrażalną prędkością. Głowa agenta poszybowała kilka metrów dalej i wpadła do kontenera na śmieci. Tułów, jakby nieświadomy tego, co się właśnie stało, dokończył ruch: ręka dotknęła kabury. Z szyi trysnęła krew i ciało bezwładnie osunęło się na ziemię. Wtedy dłoń R1 przecięła powietrze po raz kolejny i wyrwała kilkucentymetrowy fragment policzka Czternastki. To w nim znajdował się nadajnik lokalizacyjny oraz czujnik parametrów życiowych. Od tego momentu została nam maksymalnie minuta. Pomimo że dłoń R1 wciąż przyciskała Czternaście do ściany, zakrywając mu usta, słysząc było stłumiony pisk. Agent z zakrwawioną, wykrzywioną bólem twarzą i załzawionymi oczami jęczał cicho. Jego oddech był ciężki i nieregularny. Ewidentnie przeżywał męki.

Przed R1 była najtrudniejsza część programu. Musiałem zabrać Czternaście ze sobą. Chciałem wydusić z niego wszystkie potrzebne mi informacje, w tym tę najważniejszą – gdzie znajduje się doktor Wojgda.

Robot ogłuszył Czternastkę. Agent już nie wierzgał. Również jego ręce, do tej pory próbujące odepchnąć napastnika, opadły bezwładnie. Twardziel z SALUS-a pogrążył się w nieświadomości. Nic nie zostało z jego bezwzględności. R1 zgodnie z programem poskładał bezwładne ciało tak, by zmieściło się do wielkiej torby. Tej samej, w której agent najprawdopodobniej przemycał broń. Matematyka dawała mi pewność, że Czternaście nie odzyska przytomności bez dużej dawki adrenaliny. Po zasunięciu suwaka w torbie program zakończył działanie.

Pospieszenie wrzuciłem ciało drugiego agenta do kontenera. W jego policzku został nienaruszony nadajnik. Chciałem, żeby go znaleźli. Chciałem, żeby znaleźli to skąpane we krwi miejsce. Chciałem, żeby zaczęli się bać.

Chwyciłem torbę i ruszyłem w stronę ulicy znajdującej się pięćdziesiąt metrów ode mnie – musiałem jak najszybciej dotrzeć do mojej bezpiecznej przystani. Potok właśnie się zbliżał. Wszedłem w tłum anonimowych postaci.

– Martwy punkt zniknie za trzydzieści sekund – zakomunikował Spike.

Miałem niewiele czasu, by wykorzystać tę przewagę. Cały program zajął R1 dokładnie szesnaście sekund. Spojrzałem na torbę. *To nie koniec, pomyślałem. Jeszcze wiele atrakcji przed nami*, agencie Czternaście.

Rozdział 1.5

Pobudka

R1 wyciągnął agenta z torby. Tak jak przewidywała analiza, mężczyzna nadal był nieprzytomny. W ciasnej torbie i dziwnej pozycji nogi spuchły mu tak bardzo, że luźne wcześniej nogawki czarnych spodni ciasno opinały uda. Robot posadził go na krześle, przywiązał do oparcia i zakneblował. Nogi zostawił, były wystarczająco pokiereszowane, by założyć, że już nigdy nimi nie ruszy. Wyjąłem z szuflady dwie strzykawki – jedną ze środkiem uspokajającym, drugą z adrenaliną. Zawartość tej ostatniej wstrzyknąłem agentowi w udo. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć.

Czternaście otworzył szeroko oczy, gwałtownie odchylając głowę do tyłu. Wziął dwa płytkie oddechy przez częściowo zatkany nos, po czym wydał z siebie stłumiony kneblem krzyk. Spuchnięte nogi, do których z trudem wracało krążenie, i dziura w policzku musiały go cholernie boleć. Gdy jego głowa wróciła do normalnej pozycji, po twarzy ciekły mu łzy. Drżał i rozglądał się nerwowo, a jego klatka piersiowa unosiła się w nieregularnym rytmie, gdy z trudem przemyczał do płuc

powietrze. Uniosłem dłoń przed jego oczy i kilka razy pstryknąłem palcami.

– Słuchaj uważnie – poleciłem.

Agent dysząc, resztkami sił próbował skupić na mnie uwagę.

– W takim stanie nie odpowiesz na żadne pytanie. Podam ci teraz kastelant. Działa podobnie jak morfina, ale nie wchodzi w interakcje z adrenaliną. Potrzebuję cię w pełni przytomnego, żebyś mógł mówić. Zrozumiałeś?

Czternaście mrugnął przekrwionymi oczami i nieznacznie potaknął. Wbiłem mu igłę w prawe przedramię. Serce mordery nie zwolniło, wciąż biło z prędkością stu sześćdziesięciu uderzeń na minutę. Wyrównał się za to jego oddech. Środek już działał. Wyciągnąłem knebel.

– Nawet jak tu zdechnę – wychrypiał – znajdą cię i zajebią. Potną cię żywcem na kawa...

Dźwiękoszczelny pokój wypełnił krzyk, gdy ręka robota zacisnęła się na spuchniętym udzie agenta. Puściłem go. Czternaście łapczywie wciągał powietrze, z ust spływała mu strużka śliny wymieszanej z krwią. Wtedy wydarzyło się coś dziwnego. Agent zmrużył oczy i zacisnął zęby. Żył na jego szyi nabrzmiąły, a twarz wykrzywił grymas bólu. Sekundę później wypłuł coś i... roześmiał się histerycznie. Schyliłem się i podniosłem z podłogi ząb pokryty fioletowymi plamami. *Nie tak wygląda próchnica*, pomyślałem, po czym błyskawicznie podetknąłem ząb pod nos R1. Czas zwolnił.

– Analiza śladu zapachowego.

– Syntetyczny cyjanek. Na 98,28% – poinformował Spike. Cholera. Jak mogliśmy to przeoczyć?

– Ile mamy czasu? – zapytałem.

– Pierwszy kwartył minimum pięć minut, trzeci maksimum trzynaście. Nie mam dostępu do wszystkich parametrów jego organizmu, a na analizę nie ma czasu. Przyjmijmy, że pięć minut.

Czyli w ciągu następnych trzystu sekund musi powiedzieć nam wszystko. Wróciłem do rzeczywistości. Agent siedział i, tak samo jak sześć sekund temu, śmiał się wniebogłosy.

– I co? Ta dziwka nie żyje, ja też zaraz zdechnę, a ciebie dorwają – wykrztusił.

Uderzyłem go pięścią w udo, chciałem skupić na sobie całą jego uwagę. Czternaście nie krzyknął. Zaciśnął zęby tak mocno, że usłyszałem ich zgrzyt. Z jego oczu biło zło absolutne. Jakby był jego uosobieniem. Miał umrzeć za chwilę, a mimo to nie okazywał żadnej skruchy, żadnych wyrzutów sumienia. Co musiało się wydarzyć w jego przeszłości, że doprowadziło go do całkowitego odczłowieczenia?

Dyszcząc, patrzył mi prosto w oczy. Musiałem się spieszyć. Stałem przed nim tak, by wszystko dobrze widział, a następnie oderwałem sobie centymetrowy kawałek palca wskazującego. Wypływająca z kikuta krew nie ściekała jednak na ziemię. Unosiła się, by po chwili połączyć się z oderwanym kawałkiem, który trzymałem w drugiej dłoni oddalonej o kilka centymetrów. Czternaście przestał sapać, patrzył jak zahipnotyzowany. Wtedy starannie połączyłem fragment palca z miejscem, od którego został oderwany. Sekundę później po ranie nie było śladu. Chciałem, żeby wiedział, że nie jestem ani człowiekiem, ani robotem. W końcu dopiąłem swego. Skupił na mnie całą uwagę. Miałem cztery minuty i osiemnaście sekund czasu rzeczywistego.

Nie zwlekałem:

– Według analizy mamy czternaście minut na rozmowę, zanim, jak to nazwałeś, zdechniesz. Mam wiele pytań, ale naprawdę ważne jest tylko jedno. Gdzie znajdę doktora Warinera Wojgdę?

Blefowanie, że to nie o doktora chodzi, też miało statystyczne prawdopodobieństwo sukcesu. Tylko wtedy czas potrzebny na rozmowę znacznie by się wydłużył, a czas był tym, czego nie mieliśmy w nadmiarze.

– Gównu ci powiem. Czternaście minut to dla mnie nic. – Agent zmierzył mnie wzrokiem. – Nie wiem, czym jesteś, ale możesz mnie nawet poćwiartować. Wytrzymam.

– Wiem, że to dla ciebie nic – odparłem. – Ale każdy ma swoje granice.

Każdy w końcu puszcza, pomyślałem, spoglądając agentowi prosto w oczy. *Nawet taki potwór jak ty.*

Wstałem i podeszedłem do szafy.

– Jesteś uczulony na toksyny owadów. Poważnie uczulony. To stąd ten przykry zapach, który się wokół ciebie unosi – stwierdziłem, otwierając jedną z szuflad. – Jakbyś wykapał się w repelentach.

Odwrociłem głowę. Czternaście wyglądał na zbitego z tropu. Nerwowo rozglądał się dookoła. Sięgnąłem ręką do wnętrza szuflady.

– Olej z eukaliptusa cytrynowego wymieszany z ikarydyną i resztkami N-dietylo-m-toluamidu.

Wyciągnąłem dwie strzykawki.

– Ciekawszy jest jednak teta bloker w twojej kieszeni. Wygląda na to, że potencjalne ukąszenie połączone z wyrzutem

histaminy wywołuje u ciebie niewyobrażalne wręcz bóle głowy. Jesteś wyjątkowy, Czternaście – dodałem z uśmiechem.

Wróciłem na swoje wcześniejsze miejsce. Położyłem strzykawkę na stoliku i z prawej kieszeni spodni agenta wyciągnąłem mały czarny aplikator.

Neural informował: trzy minuty dwanaście sekund.

Agent, charcząc, rzucał się na boki. Ewidentnie moje słowa robiły na nim wrażenie. Histaminowy ból głowy to tak intensywne cierpienie, że organizm, by się bronić, wyłącza świadomość. Przy tej ilości adrenaliny, która płynęła w żyłach agenta, o utracie przytomności nie było jednak mowy. Pozostanie mu tylko ból. I Czternaście doskonale o tym wie.

– Ja to widzę – zacząłem spokojnym głosem, mrużąc oczy. – Widzę, co się z tobą dzieje na samą myśl o tym, co cię czeka. Twój organizm zmienił się nie do poznania. Jesteś przerażony, prawda?

Jego przepelnione nienawiścią oczy łzały.

Każdą moją wątpliwość co do zasadności tych tortur natychmiast rozwiewał obraz Krisi leżącej w kałuży krwi i świadomej, że ona i jej dziecko zaraz umrą.

Wziąłem do ręki strzykawkę i pomachałem nimi przed oczami agenta.

– Płat czołowy i płat ciemieniowy, jądra podstawy, mózdzek, kora wyspowa, wzgórze i wreszcie hipokamp. Łączy je jedno, wszystkie biorą udział w postrzeganiu czasu. W pierwszej strzykawce znajduje się antybakteryjny peptyd. Jego dopełnieniem jest melityna, ta sama, która znajduje się w jadzie pszczelim. Na ciebie ten antybakteryjny zastrzyk zadziała tak samo, jak ukąszenie pszczoły. Wywoła reakcję alergiczną,

potężny wyrzut histaminy i migrenowe spazmy, na myśl o których zasycha ci w gardle i pocisz się jak świnia.

Agent pobladł, jego serce przyspieszyło do stu osiemdziesięciu trzech uderzeń na minutę. Działo się dokładnie to, co przewidziały obliczenia.

– W drugiej strzykawce znajduje się popularny na rynku DMTL. Syntetyczna dimetylotryptamina lizergowa, a jej jedynym efektem jest zmiana subiektywnego odczuwania czasu. Tak – uśmiechnąłem się. – Przy takiej dawce dwanaście rzeczywistych minut będzie jak trzynaście godzin. Czy warto tak cierpieć dla organizacji, która zaraz nie będzie miała dla ciebie żadnego znaczenia?

Agent sapał głośno, a jego wytrzeszczone oczy skierowane były na znajdujący się metr dalej teta bloker. Neural skorygował czas z dwóch minut i ośmiu sekund na minutę i dwanaście sekund. Ciśnienie krwi Czternastki gwałtownie wzrosło i przyspieszyło działanie cyjanku.

– Tak więc zaczynamy! – powiedziałem, szybkim ruchem unosząc rękę z pierwszą strzykawką.

– Czekaj! – krzyknął. – Hotel Saleva, skrzyżowanie En-drich i Lurk. Pokój na ósmym piętrze. Nie wiem, jaki numer, od pewnego czasu robiłem to automatycznie.

– Co robiłeś automatycznie? – dopytałem, nie opuszczając ręki.

– Co tydzień przynosiłem specjalną mieszaną elektrolitów. Pomagała mu pracować, pomimo choroby.

Neural przesłał statystykę. Najprawdopodobniej agent mówił prawdę.

Każdy ma swój słaby punkt, każdy czegoś się boi. Odłożyłem strzykawki. W obu z nich znajdował się antybakteryjny peptyd bez domieszki melityny czy DMTL. Błef zadziałał. Agent bladł

coraz bardziej. Cyjanek właśnie blokował działanie oksydazy cytochromu c, organizm mężczyzny przestawał wytwarzać ATP.

Zdychaj, bydlaku, pomyślałem. Odpoczniesz w piekle.

Kilka sekund później Czternaście nie żył. To była bolesna śmierć. Nikomu nie należała się bardziej niż jemu. Zawinąłem ciało w dywan i ułożyłem pod ścianą. Teraz czas na odnalezienie doktora Warinera Wojgdy, twórcy smaku skórki z pomarańczy.

Rozdział 1.6

Wariner Wojgda

Dotarcie do hotelu Saleva zajęło mi kilkanaście minut. Jak gdyby nigdy nic usiadłem na kanapie w przestronnym lobby i rozesłałem boty, by przeanalizowały strukturę budynku. Po kilku minutach dostałem pinga. Nic nadzwyczajnego – poza pokojem na ósmym piętrze. To pomieszczenie było wyjątkowe. Z jego wnętrza nie wydostawało się absolutnie nic, żadne mikrofały, fotony, dźwięki, żadna podczerwień. Nic. A przecież miał tam być doktor Wojgda i z pewnością również jakieś urządzenia. Czyli jedyne, co mi w tej sytuacji pozostało, to wlecieć jednym z botów do środka lub udać się tam osobiście. Statystyka i w tym przypadku okazała się pomocna.

Zamknąłem oczy i wyświetliłem sobie obraz z muszki o numerze bocznym jeden, tej, która aktualnie znajdowała się na ósmym piętrze. Wydałem kilka komend i po chwili widziałem już drzwi do tajemniczego pomieszczenia. Były zwyczajne, drewniane. Dokładnie takie same jak wszystkie na tym piętrze, a przecież wiedziałem, że to za nimi kryje się tajemnica. Przy bliższych oględzinach okazało się, że mają minimum pół

metra grubości. Nie przepuszczały nawet milisiwerta promieniowania. Po paru sekundach stało się też jasne, że o żadnych otworach na tyle dużych, by zmieścić się w nich bot, nie było mowy. Nic dziwnego, w końcu miałem przed sobą superszczelną konstrukcję. Nie wlecę do środka.

I wtedy jak na zawołanie coś strzeliło i drzwi się uchyliły. Tempo ich otwierania było wprost proporcjonalne do ich masy. Obraz z kamery zaczął delikatnie zrywać, a chwilę później czujniki promieniowania oszalały. Z pokoju wykpiwały różnej maści sygnały. Cofnąłem bota i ustawiłem go tak, by choć częściowo widzieć, co dzieje się w środku.

W drzwiach stanął wysoki mężczyzna, rozejrzał się po korytarzu i zrobił krok do przodu. Nie czekałem nawet milisekundy dłużej. Wysłałem prompty do syntaxu. Bot ruszył przed siebie na pełnej mocy i obraz zniknął. Program, który przed chwilą wgrałem, miał wyłączoną funkcję przesyłania strumieniowego. Wnętrze pokoju było naszpikowane elektroniką i bardziej się bałem wykrycia transmisji niż możliwości zniszczenia mojej muszki. Bot miał zebrać jak najwięcej danych i do mnie wrócić. Jedynie w przypadku awarii program pozwalał na jednorazowe przesłanie pakietu danych. Czas spowolnił. Matematyczne obliczenia potwierdzały, że bot od sekundy jest w środku. Po dwóch miał do mnie wrócić, dlatego też byłem zdziwiony, gdy po trzech nic się nie wydarzyło i gdy w piątej sekundzie dotarł do mnie pakiet danych. Zerwałem się na równe nogi, pospiesznie ruszyłem w stronę fotela stojącego bliżej wyjścia. Teraz mogło wydarzyć się wszystko.

Usiadłem, by przeanalizować sytuację.

Bot został zniszczony po sekundzie. Taki czas reakcji mógł oznaczać tylko dwie rzeczy: w pomieszczeniu z Wojgdą

znajdował się firewall niszczący niezidentyfikowane obiekty próbujące dostać się do środka lub było tam coś, co reagowało szybciej niż człowiek, o rzędy wielkości szybciej. Musiałem działać podobnie.

Wylączyłem się z rzeczywistości i wszedłem do intranetu. Na zewnątrz miarowo tykał sekundnik, a dla mnie mijały minuty. Dzięki temu mogłem odtworzyć nagranie z bota przyspieszone sto razy i wciąż rozumieć, co oglądam.

Gdy tylko dron przeleciał koło futryny, pojawiły się zakłócenia. Obraz zaczął delikatnie falować, mimo to wciąż się dało dostrzec niektóre szczegóły. Bingo!

Przy stole stał doktor Wojgda. Naprzeciwko niego, nad krzesłem, wisiała czarna plama – obraz człowieka zniekształcony przez centralny system inwigilacyjny. Nagranie ponownie zafałowało. Czarna plama poruszyła się nieznacznie, po czym obraz z bota zniknął, a na ekranie pojawił się napis „uszkodzenie głównego kontrolera”. Włosy na głowie stanęły mi dęba, serce, choć nie musiało, zabiło szybciej. Przejrzałem dokładniej dostarczone pakiety. Interesowały mnie przede wszystkim dane z różnego rodzaju odbiorników, które w razie uszkodzenia kontrolera miały zostać uruchomione, by zebrać dodatkowe informacje.

– Spike, potrzebuję twojej pomocy. Same neurale już nie wystarczą. Jak analiza?

Cisza trwała dwie sekundy. Nigdy do tej pory nie czekałem tak długo na informację zwrotną.

– Dane są niejednoznaczne – odpowiedział. – Całe pomieszczenie wypełnione było promieniowaniem elektromagnetycznym o różnej częstotliwości i różnym zakresie. Nie był to jednak szum włączonych urządzeń.

Znowu chwila ciszy.

– Uporządkowane pakiety danych, tylko to pasuje, chociaż też nie do końca, gdyż ich źródło znajduje się poza pomieszczeniem, a przecież niczego nie udało się nam wcześniej zarejestrować. To nie ma sensu... – dodał. – Odbiornikiem według danych na pewno jest oznaczony obiekt naprzeciwko Wojgdy, ale brakuje charakterystycznego szumu. Są za to ślady promieniowania pasującego do organizmów biologicznych.

– Co to znaczy?

– Nie wiem. Nie jestem pewien – przyznał rozbrajająco szczerze Spike.

– Sugerujesz, że uporządkowane pakiety trafiały wprost do organizmu biologicznego? Jak to możliwe?

Sam zerknąłem w dane. Ten człowiek musiał w jakiś sposób kamuflować swoje elektroniczne części.

– Wygląda na to, że niektóre elementy miał organiczne, a inne, najpewniej te wewnątrz ciała, nie – wyjaśnił Spike. – Mogłoby to połowicznie tłumaczyć brak szumu.

Przeszedł mnie dreszcz. To, że SALUS trzymał pod butem naukowców pokroju Wojgdy, wykorzystując ich intelekt, to jedno. Ale to, co odkryliśmy tutaj, było już zupełnie inną historią. Oni mieli technologię zdolną do wykrycia i zniszczenia nanobota wielkości muchy, generującego szczątkowe promieniowanie. Kamera drona nagrała czarną plamę, która tak naprawdę nie istniała. Ktoś musiał tam siedzieć. Wojgda nie rozmawiał z czarną plamą, tylko z człowiekiem. Ale kim on był? A może co to było? Co tu się, do cholery, dzieje...? Kim są ci wszyscy ludzie? Jak im się udało zniekształcić obraz nagrywany przez drona?

Dysponowałem jeszcze danymi telemetrycznymi samego doktora, ale na ich analizę brakowało mi już czasu. Poza tym

w tej chwili nie miały znaczenia, potrzebowałem tego człowieka, musiałem z nim porozmawiać.

Wstałem gwałtownie. Byłem gotów na konfrontację. Nienawiść do SALUS-a powoli wypierała racjonalne myślenie. Pragnąłem dorwać każdego członka tej wynaturzonej organizacji. Dorwać i zabić.

Zacisnąłem pięści. Musiałem się uspokoić. Nie miałem wszystkich danych. Nie mogłem jeszcze stwierdzić, czy bot został wyeliminowany celowo, czy padł ofiarą zapory termicznej, która rozgrzewała do tysiąca stopni każdy obiekt niepasujący do zaprogramowanego środowiska. Czy może jakaś statystycznie mało prawdopodobna elektromagnetyczna fluktuacja uszkodziła kontroler.

Opadłem na fotel. Spike milczał. W lobby oprócz mnie było jeszcze sześciu mężczyzn – sądząc po ich minach – podłączonych do sieci. Żaden nie zareagował na moje dziwne zachowanie.

Zawróciłem pozostałe boty, żeby niepotrzebnie nie ryzykować. Jeden incydent mógł być przypadkiem, gdy powtórzy się po raz drugi, będzie już wzorem.

Postanowiłem poczekać kilka minut i w międzyczasie przeanalizować Darknet. Próbowałem oddzielić prawdę od fikcji, czując się, jakbym brodził w bagnie.

Nagle drzwi windy się rozsunęły i wyszło z niej dwóch mężczyzn. Ten, który wcześniej stał przed pokojem doktora oraz drugi, bardzo wysoki. Jednak to nie jego wzrost przykuł moją uwagę. Twarz mężczyzny zasłonięta była ciasno przylegającą czarną maską, która wyglądała, jakby wykonano ją z płótna.

Czyli to tak ukrywali się w realnym świecie?

Znieruchomiałem, by nie przyciągnąć ich uwagi. Mężczyźni szli w stronę wyjścia. Ich powolne, pewne kroki sugerowały, że

czują się tutaj jak u siebie. Korciło mnie, żeby odpalić bota i przeskanować człowieka bez twarzy, podsłuchać, o czym rozmawiają.

– Tego mogę spróbować – oznajmił niespodziewanie Spike.

Racja. Zwiększenie czułości mikrofonu nie powinno zostawić żadnych śladów. Będziemy odbierać, a nie emitować. Zgodziłem się. Mężczyznom do drzwi zostało kilka metrów. Mówił człowiek bez twarzy, zapewne ten, który na nagraniu był czarną plamą. Jego głos był niski i brzmiał, jakby miał wbudowany syntezytor.

– Nie mogą tak szybko umierać. Doktor musi się bardziej postarać. Wszelkie środki dozwolone. Jeżeli trzeba, zróbcie krzywdę jego córce. To narzędzie jest zbyt...

Więcej nie usłyszałem – wyszli.

Sprawdziłem logi, jeszcze raz prześledziłem każdą linijkę danych. Wszystko wskazywało na to, że Wojgda naprawdę siedzi sam – bez kamer, bez podsłuchów, bez żadnego nadzoru. Czy byli aż tak pewni jego lojalności?

Nie mieliśmy wystarczających danych na temat doktora zapewne w znacznym stopniu odpowiedzialnego za smak skórki pomarańczy i wszystkie zmiany, których byłem świadkiem. Staralem się nie oceniać go pochopnie, wiedziałem, co z człowiekiem może zrobić przywiązanie i miłość do rodziny.

Zostawiłem jednego bota w lobby i ruszyłem przed siebie. Winda, korytarz. Trzy minuty później stałem przed drzwiami do pomieszczenia, w którym przebywał doktor. Nacisnąłem na ekran z namalowanym dzwonkiem. Miałem plan, był kiepski, ale był.

– Tak? – usłyszałem zniekształcony głos doktora.

– Czternaście. Dostawa elektrolitów – odpowiedziałem głosem agenta, który całkiem niedawno pożegnał się z tym światem.

Drzwi się uchyliły. Z wnętrza buchnęło cieplejsze powietrze. Zobaczyłem ciekawskie oko doktora. Brev Wojdy natychmiast poszybowała do góry i doktor gwałtownie cofnął głowę, napierając ciałem na masywne drzwi. Widziałem, jak w zwolnionym tempie rozchyła wargi; był gotów wołać o pomoc. Nie zdążył. Błyskawicznie wtargnąłem do środka i z łatwością zamknąłem ważące ponad pięćset kilogramów drzwi, zostawiając między nimi elastyczne łącze komunikacyjne – mikroodbiornik z zasięgiem do kilkuset metrów. Przycisnąłem doktora do ściany, zakrywając dłonią jego usta.

– Piśnij słowo, a cię uduszę i już nigdy nie zobaczysz córki. Siadaj i ani słowa, zrozumiałeś?

Wojgda na tyle, na ile mógł, pokiwał głową. Rozluźniłem uścisk. Doktor zgiął się w pół, ciężko łapiąc oddech.

– Wiedziałem, że pewnego dnia ktoś po mnie przyjdzie. Nie spodziewałem się natomiast, że będzie to tak szybko. – Wziął głęboki wdech. – Teraz po prostu umrę, tak? Zdecydowali, prawda? Jesteś z ruchu oporu?

Podczas gdy mówił, boty metr za metrem analizowały strukturę pokoju. Miałem rację, pomieszczenie było wyjątkowe. Szczelne do bólu. Wszystkie testowe pakiety, co do bajta, wracały do źródła. Niesamowite... Nie byłem pewien, jak to działa? Do tej pory, nie zaobserwowałem niczego podobnego. Czy jest tutaj jakakolwiek infrastruktura, której nie widzę? Coś, co nie generując szumu, może przesyłać dane na zewnątrz? Nie mogłem tego stwierdzić na sto procent, ale ryzyko wykrycia mojej obecności było już wkalkulowane.

– Nieważne, skąd jestem.

Neurale z kolejnymi porcjami danych pojawiały się i znikwały. Musiałem wyglądać dość dziwnie, rozglądając się nerwowo i nienaturalnie mrugając oczami.

Wojgda sprawiał wrażenie przerażonego, pot ściekał mu po pomarszczonym czole.

– Jeżeli odpowiesz na pytania, to nie umrzesz. Siadaj – rozkazałem.

Doktor usiadł w rogu pokoju na drewnianym fotelu i zaczął mówić, zanim zdążyłem o cokolwiek zapytać.

– Powiem wszystko, ale chcę, żeby to, co powiem, zostało zapamiętane. – Pociągnął nosem. – Żeby moja córka wiedziała, że na koniec zachowałem się jak trzeba.

Dostałem pinga. Dziwna anomalia. Posadzka na samym środku pokoju miała temperaturę wyższą niż reszta powierzchni. Tak jakby coś się pod nią znajdowało, jakby w tym miejscu podłoga była cieńsza. Wyjście ewakuacyjne? Tajemna skrytka?

Wojgda mówił dalej:

– Robiłem to wszystko w dobrej wierze. Ku chwale ludzkości. By nasz gatunek przetrwał. Byśmy potrafili odeprzeć każdy atak. By nasze ciała i umysły mogły być jeszcze bardziej odporne. Tymczasem oni wcale tego nie chcieli. Chcieli, byśmy byli ułomni. PRAWD.A w takiej formie nigdy nie była moim celem, niech mi pan uwierzy, nigdy – dodał i zawiesił wzrok w przestrzeni. Po jego policzkach pociekły łzy. – Jestem przekonany, że osoba, która tym wszystkim steruje, chce nas cofnąć w rozwoju, pozbawić ludzkich cech, wolności. Nie rozumiem tylko... Dlaczego? Po co w taki sposób niszczyć historię naszego gatunku? To jest podobne do...

Doktor znowu się zawiesił.

– Podobne do czego? Proszę mówić – ponagliłem.

Wzdrygnął się, jakby wybudzony z transu.

– Smak skórki powstał z mojej winy. – Doktor ukrył twarz w dłoniach. – Ja się przyczyniłem, do jej stworzenia. Ludzki

organizm jest sterowany chemicznie. Prawie całkowicie. Oczywiście mamy wpływ na to, co się dzieje, ale wystarczy mały prezent z zewnątrz, by nasza homeostaza legła w gruzach. – Wojgda po raz kolejny zawiesił wzrok w próżni, po czym dodał: – Ze spokojnego człowieka można zrobić mordercę, z agresywnego mężczyzny potulnego obywatela, a z przykładowego męża zdradzającego rozwodnika. Oczywiście można powiedzieć, że gdy w układzie pojawia się coś z zewnątrz, nie jest się sobą. Tylko wtedy należy zadać sobie pytanie: kiedy jest się sobą?

– Gdy wraca się do homeostazy, gdy ta substancja z zewnątrz znika – odpowiedziałem, jak uczeń wywołany do tablicy.

Wojgda popatrzył na mnie nieobecny wzrokiem.

– Wie pan, jak zmienia się mózg alkoholika?

– Nie.

Mogłem się tego dowiedzieć w ciągu sekundy, ale teraz, gdy analizowałem otoczenie, jego słowotok był mi na rękę.

– Na początku po wytrzeźwieniu wszystko wraca do normy, do wspomnianej homeostazy. Drobne uszkodzenia organu przewodniego goją się, lecz mózg nie jest już taki sam, jak wcześniej. Z czasem, gdy uzależniony pije coraz więcej i więcej, dochodzi do nieodwracalnych zmian. Można powiedzieć, że to nie jest już ta sama osoba i nigdy już nią nie będzie. Do śmierci pozostanie alkoholikiem. Homeostaza została przesunięta. I tu wracamy do mojego wynalazku. Smak skórki z pomarańczy nie niszczy mózgu latami. On zmienia go błyskawicznie. Człowiek dosłownie z każdą ekspozycją głupieje. Zaledwie po kilku kontaktach mózg przypomina ten po wielokrotnych napadach psychotycznych. Tak szybka i nieodwracalna degradacja była skutkiem ubocznym, którego SALUS nie przewidział. Którego nie chciał.

Dostałem pinga z kamery w lobby. Odbiornik, który umieściłem w drzwiach, działał. Grupa mężczyzn wchodziła właśnie do windy.

– Dlaczego oni to robią? – zapytałem. – Tylko dla kontroli? Dla informacji?

– Naprawdę nie wiem – odparł doktor. – Dawno temu w instytucie krążyła plotka, że cała ta sterowana przez niezwykle wpływowego człowieka organizacja chce doprowadzić do technologicznej osobliwości. Byłem przekonany, że to jedynie plotki. Później wszystko potoczyło się w zatrważającym tempie. Ponieważ prowadziłem jedynie badania medyczne, mam bardzo ograniczoną wiedzę. – Doktor opuścił głowę. – Oni nie wybrali mnie przypadkowo. Wiedzieli, kogo zaangażować, kto nie będzie zadawał pytań. Znali moją przeszłość. Mój ojciec nie panował nad agresją, tracił nad sobą kontrolę, a po alkoholu było jeszcze gorzej, stąd... – Doktor zawiesił głos, po czym niemalże szeptem dodał: – Tak naprawdę, by mnie przekonać, wystarczyło krótkie spotkanie i słowa kluczowe: Program Redukcji Agresji Wrodzonej. Analiza. PRAWD.A. Jednak z czasem nawet ja nabrałem podejrzeń, zacząłem zadawać pytania, wtedy zniknęła moja córka. Teraz... – Głos Wojgdy się załamał. – Teraz, gdy stawiam opór, pokazują mi jej zdjęcie. Wie pan, czym pachnie to zdjęcie?

Nie odpowiedziałem od razu.

Mężczyźni z lobby wyszli z windy na naszym piętrze. Jakie jest prawdopodobieństwo, że idą do nas... Neural pokazał statystykę. Jeżeli się potwierdzi, zostało mi dokładnie dwadzieścia pięć sekund.

– Zdjęcie pana córki ma zapach skórki z pomarańczy? Wojgda przytaknął.

– Straszą mnie, że jej to...

– A ten człowiek – przerwałem mu – który był w tym pomieszczeniu, ten, który siedział o tu – wskazałem na krzesło naprzeciwko stolika.

Doktor nagle zbladł i zmrużył oczy, przyglądając mi się badawczo.

– Skąd... przecież... nie było...? Skąd? – wyjąkał.

– Widziałem go najpierw tutaj jako czarną plamę, a później w lobby.

– Ty... – Wojgda podszedł do mnie szybkim krokiem. – Niemożliwe – wydukał, dotykając mojego nadgarstka, a następnie stanął na palcach, by popatrzeć mi w oczy. – Ty nie jesteś... Człowiekiem. Co za błąd! – wykrzyczał, łapiąc się za głowę. – Co za błąd! Przeczuwałem, ale... Skąd mogłem wiedzieć! – mówił, chodząc w tę i z powrotem. – Te tiki, twój umysł... Oni zaraz tu będą, za...

– Piętnaście sekund – dokończyłem za niego.

Wojgda się zatrzymał i spojrzał na mnie z przerażeniem, jego serce biło jak szalone. Statystyki zmieniły się gwałtownie. Tachykardia w tym wieku i przy jego zdrowiu mogła łąda chwila doprowadzić do wylewu krwi do mózgu. Wargi doktora posiniały, ręce drżały nerwowo. Nagle wyszeptał:

– Odkupienie win.

Odwrócił się gwałtownie na pięcie, niemalże podbiegł do szafy i otworzył jedną z sześciu szuflad. Była tam książka w niebieskiej okładce. Doktor zaczął pospiesznie wertować strony, by po chwili wyciągnąć coś z pomiędzy kartek. Zamknął książkę i szybkim krokiem wrócił do mnie.

– Masz, weź to.

Wysunął przed siebie otwartą dłoń. Leżał na niej kawałek papieru złożony w kwadracik.

– To jest klucz, dzięki któremu wejdiesz do środka. – Doktor pochylił się w moją stronę i wyszeptał: – ZEIRAM to słowo, które musisz zapamiętać. Torsten Wojda to natomiast człowiek, którego musisz znaleźć.

Wciąż trwająca analiza nie dawała mi żadnego punktu zaczepienia. Pomimo ogromnej mocy obliczeniowej byłem ślepy, nie wiedziałem, o co chodzi. Nagle, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wszystko wskoczyło na właściwe tory. To nie ja kupowałem sobie czas, pozwalając doktorowi mówić. To on mnie zagadywał w oczekiwaniu na agentów, których wezwał. Jak mogliśmy to przeoczyć? Kiedy udało mu się ich zawiadomić? A może nie musiał tego robić?

– Co to ZEIRAM, kim jest Torsten Wojda? – zapytałem dokładnie pięć milisekund po tym, jak doktor wypowiedział to nazwisko.

Zostały nam dwie sekundy.

– Ocal moją córkę – wyrzucił z siebie. – Ona ci pomoże. Przetrzymują ją w naszym domu – dodał i pośpiesznie podał mi współrzędne, po czym usiadł z powrotem na fotelu, pochylił się i schował głowę między kolanami.

Drzwi skrzypnęły złowieszczo. Czas spowolnił, a ja uruchomiłem przygotowany wcześniej program.

R1 cofnął się do ściany naprzeciwko wejścia i oparł się ramionami o jej powierzchnię. Pod tynkiem znajdowała się gruba platynowa blacha, a zaraz za nią zbrojony beton. Drzwi lekko się uchyliły i wtedy wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Z tego miejsca na środku podłogi, które było cieplejsze od reszty, wykipiało promieniowanie. Uporządkowane pakiety danych, takie jak te, które wcześniej zniknęły w czarnej plamie, teraz wydostawały się na korytarz. To mogło oznaczać, że za drzwiami

stoi człowiek bez twarzy. Musiałem zmienić plan i odkryć, co znajduje się pod podłogą.

– Spike – otworzyłem komunikację. – Aktywujemy tylko pierwszą część programu. Kompilacja do X124CD.

R1 ugiął nogi w kolanach, jego dłonie przylegały do ściany. Wsłuchałem się w siebie; stopy atomowe delikatnie buczały, wchodząc na wyższe obroty. Już! R1 się odbił. W ułamku sekundy robot rozpedził się do niebotycznej prędkości i uderzył w drzwi, które zatrzasnęły się z metalicznym zgrzytem, a ze ścian posypał się tynk. Uderzenie było precyzyjnie wyliczone i mechanizm zamka został uszkodzony. Odwróciłem się, by spojrzeć na ścianę, od której odbił się robot. Jego siła była zdumiewająca. Ze ściany odpadł tynk, a złotawy metal pod spodem był wklęsnięty na kilka centymetrów.

Zerknąłem na Wojgdę. Nawet nie drgnął. Siedział dalej w pozycji embrionalnej, wydając z siebie bliżej nieokreślone dźwięki. Przeszło mi przez myśl, by zabrać go ze sobą, wtedy jednak mogliby dojść do wniosku, że zdradził i że trzeba zabić jego córkę. Z pewnością nigdy by mi tego nie wybaczył i „odkupienie” zastąpiłaby „zemsta”.

Plan był inny. R1 miał zamknąć drzwi z tak wyliczoną siłą, by fala uderzeniowa ogłuszyła ludzi po drugiej stronie. Dzięki temu miałem zyskać czas na ucieczkę kończącą program. Uruchomienie procedury tylko do punktu X124CD oznaczało przerwanie jej w połowie. To cholerne promieniowanie, które zresztą zniknęło w tej samej sekundzie, w której zamknęły się drzwi, nie dawało mi spokoju. Nie mogłem tego tak zostawić.

Kilka minut spędzonych w moim wewnętrznym pokoju wystarczyło, by opracować nowy program.

– Uruchom.

R1 podszedł do dywanu, który za jednym zamachem znalazł się po drugiej stronie pokoju. Tym razem Wojgda uniósł głowę. Na korytarzu najprawdopodobniej nikt się nie ocknął, toteż po początkowym zgiełku zrobiło się nad wyraz cicho, jeśli pominiemy dźwięk odpadających co jakiś czas kawałków ściany. Robot ukląkł kilka centymetrów od tajemniczej powierzchni, a następnie zaczął uderzać rękami w jej środek. Zdarł z przedramion syntetyczną skórę, lecz ze sztucznych tkanek nie lała się krew. W tej chwili byłby to zbędny efekt. Przy każdym uderzeniu w podłogę pokój drżał. Po szóstym wstrząsie pojawiło się pęknięcie w kształcie okręgu. R1 uderzył raz jeszcze i przebił się na wylot. Zobaczyłem złotawą rurę o średnicy pięćdziesięciu centymetrów. Wydostawało się z niej ciepłe, słodkie powietrze. Uruchomiłem bota. Rura miała około osiemdziesięciu metrów długości. Kończyła się niewielkim lejowatym pomieszczeniem, pomieszczeniem bez wyjścia. Kurwa. Niczego nie rozumiem. Skąd to promieniowanie, dlaczego...

– Oni tam są? – rozległ się ni stąd, ni zowąd głos Wojgdy. – Czyli tutaj też to było, w tym pokoju...

– Co, do cholery? Co było w tym pokoju? – zapytałem, unosząc głowę.

Nagle usłyszałem łomot. Od strony korytarza coś uderzało w drzwi tak mocno, że cała konstrukcja drżała w posadach, a ze ściany odpadały resztki tynku. Wojgda pisał jak dziecko. Tym razem już na pewno bał się śmierci. Mnie bardziej przerażało to, co powiedział, niż to, czego właśnie doświadczałem. Kolejny raz stoczyłem długą wewnętrzną batalię, którą znów wygrała statystyka. Doktor zostaje.

W tym samym momencie powietrze przeszył ogłuszający zgrzyt i drzwi pancerne, poddając się brutalnej sile, runęły ze świstem do wnętrza pokoju. Ich ciężar sprawił, że zatrzęśła się wzmocniona podłoga, a meble podskoczyły.

R1 się wyprostował. W drzwiach stał człowiek bez twarzy. Powoli odwrócił głowę w stronę Wojgdy, który wstał i patrzył na niego z przerażeniem. Oddech doktora przyspieszył.

– Nu... Numer Dziewięć – wyszeptał Wojgda, po czym całkowicie się rozkleił. – Przysięgam, że o niczym nie wiedziałem. To ja was wezwałem, niczego mu nie zdradziłem, niczego. Przysięgam! – wykrzyczał, padając na kolana.

– Wyjdź – rozkazał bezbarwnym głosem mężczyzna.

Wojgda wybiegł z pokoju tak szybko, jakby nagle zapomniał o swoim wieku.

Człowieka bez twarzy skanowałem już od dobrych kilku sekund. Przechyliłem głowę. Mieliśmy rację. Jego ręce nie były zbudowane z biologicznej tkanki. Tak samo jak część klatki piersiowej i nogi poniżej kolan. Zakładając, że nie był takim robotem jak ja, organy wewnętrzne najprawdopodobniej miał ludzkie.

– Też nas skanuje – powiedział Spike.

– Czy jest możliwe, że coś wykryje?

– Nie. Może jedynie zarejestrować ponadprzeciętne promieniowanie, nie jestem w stanie wszystkiego słumić. Być może przy odpowiednich parametrach dostrzeże też nasze zasilanie, ale to tyle. By przeprowadzić analizę cząsteczkową, potrzebuje mniejszej odległości i więcej czasu.

Neural wyświetlił statystykę. Mężczyzna pomyśli, że jestem wspomagany człowiekiem; trudno będzie mu zrozumieć, jak to możliwe, ponieważ nic nie wskazuje na to, że mam sztuczne

elementy. Następna zwrotka. 98,9% prawdopodobieństwa, że założy, iż moje wspomaganie dotyczy tylko cech intelektualnych.

Nie miał przy sobie broni lub nie potrafiliśmy jej wykryć. Plan był prosty. Nie chciałem go zabić, chciałem go ominąć. Zrobiłem krok do przodu, intruz nawet nie drgnął.

– Wciąż przetwarza – rzucił Spike.

No tak. Mnie dojdzie do takich, a nie innych wniosków zajęło jedną ósmą sekundy. On potrzebuje więcej czasu. Zrobiłem kolejny krok, nadal nic. Czułem, że przez tę maskę patrzą na mnie ludzkie oczy. Skan był jednak zbyt zniekształcony, żebym mógł odtworzyć jego twarz. Specjalny komórkowy materiał stworzony tylko po to, by nie dało się go zidentyfikować. Gnoje mogli robić, co chcieli, a gdyby wszystko jebnęło, nikt się nigdy nie dowie, kim byli.

– Jego tętno się nie zmienia. Tak jakby czekał... – Spike nie dokończył.

Czekał na... Nagle zrozumiałem. Ruszyłem przed siebie jak rażony prądem. Biegłem, odbijając się od ścian, by jeszcze bardziej przyspieszyć. Dziewięć biegł za mną, skanując. Nie robił nic więcej. Wiedział, że zwykły człowiek nie potrafiłby w taki sposób zamknąć tych cholernie masywnych drzwi. Więc gdy zobaczył, że nie mam sprzętu, zaczął szukać, próbował zrozumieć, dlaczego mogę robić to wszystko, co do tej pory widział.

Statystyka wskazała, że optymalnym rozwiązaniem będzie ucieczka. Każdy inny scenariusz zwiększał prawdopodobieństwo, że ujawnię zbyt wiele.

Zgubiłem numer Dziewięć, gdy ominąłem windę i wpadłem na schody. Zamiast nimi zbiec, wskoczyłem na barierkę, wyprostowałem się i skoczyłem osiem pięter w dół. Powietrze

zaświszczało mi w uszach, zanim z trzaskiem uderzyłem o podłogę na parterze. Wokół mnie utworzył się mały lej. Bez chwili wahania przebiegłem przez lobby i wybiegłem na zewnątrz. Miałem 94% pewności, że jeśli teraz ruszę w stronę najbliższego potoku, pozostanę niezauważony. Tylko czy martwy punkt wciąż tam był? Numer Dziewięć na pewno miał uprawnienia, by to zmienić..., ale minęło zaledwie kilka sekund od momentu, gdy mnie zobaczył.

Kolejny neural.

Pociąłem sobie twarz, oderwałem kawałki syntetycznej skóry w miejscach, które zostały poddane analizie. Ich wypełnienie zajmie mniej czasu niż nadbudowanie struktury. Wszedłem w potok, przeglądając najnowsze dane statystyczne.

99,2% prawdopodobieństwa, że człowiek bez twarzy nie ma niczego, dalej nie wie kim lub czym jestem. Po raz pierwszy znalazłem się o krok od popełnienia poważnego błędu. Gdybym trafił do sieci, żadne silniki atomowe czy superodporną konstrukcja w niczym by mi nie pomogły.

Boty na różnych wysokościach leciały równo ze mną. Brak danych o zmianach w otoczeniu.

Dostałem pinga. Kilkaset metrów dalej rozpoczęło się skanowanie tożsamości.

Neural z obliczeniami. Wyjdę z potoku, gdy drony skanujące będą czterdzieści dziewięć rzędów przede mną. Oczywiście wszystko może się zmienić, mogą postawić na inną kartę, ale nie na to wskazywała statystyka. Oni nie chcieli mnie schwytąć. Chcieli mnie oznaczyć. W tych popaprzanych czasach to wystarczy. Nie trzeba nikogo zamykać w więzieniu. Dla jednostki oznaczonej świat staje się więzieniem, gdyż nawet najdrobniejszy szczegół życia przestaje być tajemnicą.

Neurale pojawiały się i znikaly niemal bez przerwy. Agenci byli coraz bliżej. Poczułem delikatny smak skórki z pomarańczy. Pospiesznie wyszedłem z potoku i skręciłem w najbardziej zatłoczoną ulicę. Szybkim ruchem ściągnąłem bluzę z przechodnia, który tak był skupiony na przeglądaniu intranetu, że niczego nie zauważył. Założyłem kaptur i kilka sekund później stałem w grupie ludzi czekających na kolejny potok. Ta część miasta była inna. Pełna zgiełku i tak zatłoczona, że nawet SALUS nie miał wystarczającej infrastruktury, by śledzić każdego z osobna.

Kilka minut później byłem już u siebie. Przed wejściem do domu, na tyle, na ile mogłem, upewniłem się, czy na pewno jestem sam. Dla dodatkowej ochrony rozstawiłem wokół budynku trzy muszki z wgrany programem szybkiego reagowania. Sprawdziłem też ostrożnie Darknet. Żadnej wzmianki o wydarzeniach ostatnich godzin. Usiadłem na kanapie i popatrzyłem na zwinięty dywan. Rozłożyłem karteczkę, którą wręczył mi Wojgda. Zacząłem czytać na głos:

*Kiedy rozum z wiarą znajdą swoją przystań,
Dla człowieka światłego zabraknie wnet wyzwania.
Stanie sam ze sobą przed lustrem, jakby nagi,
Będzie musiał pytać: Czy starczy mi odwagi?
Czy jestem wciąż człowiek, czy może rzecz boska?
Czy jesteśmy wszyscy łącznie, czy wciąż jako jednostka?
Takie to pytania na stałe zostaną,
Gdy ludzkość podąży tą drogą obraną.
I krzykną ci, co żyją o wodzie i chlebie,
Stworzyliście boga większego od siebie!
I plątać się będą, wierząc, głośno skomleć,*

*Lecz tego, co się stało, nie sposób już zapomnieć.
Wtedy ojciec twórcy rozkazać będzie musiał,
Zniszczyć swoje dzieło lub zbierać to, co uisał.
I zniszczyć rozkaże! Pewność mam wszelaką!
By ludzkość ratować przed ludzkości utratą.
Spróbuje być jak Ordon ze swoją redutą,
Jego czyny i męki będą mu pokutą.
„On będzie Patron szanów! – Bo dzieło zniszczenia
W dobrej sprawie jest święte, Jak dzieło tworzenia;
Bóg wyrzekł słowo stań się, Bóg i zgiń wyrzecz.
Kiedy od ludzi wiara i wolność uciecze,
Kiedy ziemię despotyzm i duma szalona
Obleją, jak Moskale redutę Ordona –
Karząc plemię zwycięzców zbrodniami zatrute,
Bóg wysadzi tę ziemię, jak on swą redutę”.*
Podpisano: T. Wojgda ZM

Ostatni zacytowany kawałek Spike oznaczył jako fragment poematu „Reduta Ordona” polskiego poety końca osiemnastego wieku. Do reszty tekstu nie odnalazł w sieci żadnych odniesień, nie znalazł też autora. Skoro jednak podpisał się Torsten Wojgda, założyłem, że to jego tekst. Nie miałem natomiast pojęcia, co oznacza „ZM”. Wrzuciłem wiersz do analizy offline w tle. Przeanalizowałem, przeanalizowaliśmy – coraz ciężiej jest mi mówić o sobie w liczbie pojedynczej – nasze aktualne położenie i to, jak się ma do naszego planu. Następnie podjęliśmy trzy ważne decyzje.

Plan zero. Muszę odnaleźć córkę Wojgdy. Gdy tylko SALUS połapie się w tym, co się właśnie stało, ona będzie ich pierwszym celem.

Jeden. Muszę odnaleźć mamę. Dopóki nikt nie wie, kim jestem, powinna być bezpieczna, ale jak długo zachowam anonimowość?

Dwa. Jeżeli analiza nie zwróci niczego wartościowego, czyli na przykład informacji, jak dopasować wiersz do brakujących elementów układanki, wrzucę jego fragment do Darknetu i zacznę monitorować wszelką aktywność związana z tym wpisem.

Nie miałem lepszego pomysłu na odnalezienie Torstena Wojgdy. Kimkolwiek jest ten człowiek, Darknet milczy na jego temat. Zero wzmianek, tak samo jak na temat słowa ZEIIRAM, które wyszeptał Wojgda przed przejściem do pozycji embrionalnej.

Syntax oznaczył jeszcze pewną anomalię w sieci: słowa kluczowe związane z imieniem i nazwiskiem Ksardena Heleskina znikają w tempie wykładniczym. Wyglądało to, jakby zwijali interes lub przygotowywali się na coś wielkiego. Czyżby Heleskin właśnie zniknął z kart historii?

Rozdział 1.7

Córka

Program nawigacyjny działał poprawnie. Współrzędne otrzymane od doktora prowadziły do małego domu otoczonego gęstym lasem. Do celu zostało mi pięć minut, zakładając, że utrzymam stałą prędkość biegu na poziomie czterdziestu sześciu kilometrów na godzinę.

R1 zupełnie nie przejmował się mrokiem, gałęziami, krzakami ani rześnistym deszczem. Parł przed siebie, nie czując zmęczenia czy dyskomfortu. Biegłem, a miałem wrażenie, jakbym podróżował pociągiem. Wypuściłem sześć botów, miały zbadać teren, zanim pojawię się na miejscu. Przez chwilę skupiałem uwagę na mijanych drzewach, czułem, jakbym płynął przez ich gąszcz. Czułem, że nic nie może mnie zaskoczyć, że jestem bogiem w swoim świecie. Ten moment wielu sprowadza na złą drogę, chemia prowadzi ich w objęcia pychy i próżności. Ja byłem od tego daleki. Życie nauczyło mnie, że wszystko się kończy i zaczyna, także szczęście i cierpienie. Postanowiłem się odwrócić. Tak też się stało. R1 biegł dalej z tą samą stałą prędkością, tylko tyłem. *Krisi*, pomyślałem, *dokonałaś czegoś*

niesamowitego. Zamazałaś granice pomiędzy człowiekiem a tym...
Odwrociłem się przodem do kierunku biegu.

Nadchodziły pierwsze dane z botów. Budynek i teren wokół niego pokryty był siatką inwigilacyjną. Przynajmniej trzy satelity monitorowały to miejsce. Na zewnątrz znajdowało się piętnaście kamer, cztery drony i osiem robotów.

Następna analiza. Osiem robotów bojowych cyron3 – szybkich i ekstremalnie wytrzymałych. Nie będzie łatwo. Walka z robotem to nie to samo, co walka z człowiekiem, nawet wspomaganym. Sieci neuronowe tych maszyn zostały zaprogramowane tak, by maksymalnie skrócić czas reakcji.

Po pancerzach ośmiu blaszanych morderców, gotowych zabić przeciwnika w setne części sekundy, spływały strugi deszczu.

Kolejne dane. Wszystkie cyrony dysponowały dronami, a co za tym idzie, termowizją. Wysłałem prompty. Pięć muszek wleciało do budynku, jedna pozostała na zewnątrz, aby kontynuować analizę funkcjonalną dronów i robotów. Wyglądało na to, że drony służyły wyłącznie do obserwacji i nie były wyposażone w nic, co mogłoby mi zagrozić. Po prostu były dodatkowymi oczami dla cyronów. Z dalszej analizy wynikało, że roboty miały na wyposażeniu małe działa plazmowe, zdolne do topienia każdego rodzaju metalu i kompozytu. Ich zasięg to pięćdziesiąt metrów. Fajnie. Energia fuzji jądrowej w rękach robota bojowego trzeciej generacji firmy Raptor. Już widziałem coś takiego. Robot, który bronił Krisi w dniu jej śmierci, był dokładnie taki sam, jak te stojące wokół domu. Kur... nie będzie łatwo. Do tego w mojej głowie ciągle krążyły dane z analizy wektorowej. Uratowanie córki Wojgdy z dużym prawdopodobieństwem niczego nie zmieni, nie będzie miało

wplywu na dalszy ciąg wydarzeń. Mimo to musiałem to zrobić. Obiecałem to jej ojcu. Zabiorę ją stamtąd, a następnie odnajdę Torstena.

Powoli docierały do mnie pierwsze dane z wnętrza budynku. Widocznie boty nie napotkały żadnych problemów. Pośrodku salonu stał mężczyzna, a obok niego kolejny robot bojowy. Ten jednak wyglądał bardziej kanciasto, co sugerowało, że może to być starsza wersja maszyn znajdujących się na zewnątrz. Od mężczyzny biło organiczne ciepło, otulone delikatnym powiewem wirujących wokół niego pakietów danych, zwizualizowanych przez system w formie świetlistych nitek dryfujących leniwie w powietrzu. Bardziej komunikacja niż analiza. Ze strony robota nie docierało do mnie zupełnie nic, nawet milisiwert promieniowania. Wyglądał, jakby był w stanie uśpienia. Do tej pory nigdzie jeszcze nie dostrzegłem córki doktora Wojgdy.

W całym domu rozmieszczono kamery. Nie byłem pewien, ale statystyka wskazywała na dość duże prawdopodobieństwo, że są to wieloklatkowe rejestratory z wbudowanymi modułami przetwarzania peryferyjnego, tylko po co? Taki sprzęt służył do wstępnej analizy otoczenia, podawał wyniki oparte na niepełnych danych, zwracał uwagę na możliwość zajścia pewnych zdarzeń; rozwijał się w starej technologii uczenia maszynowego. Im więcej takich urządzeń, tym dokładniejsza analiza funkcjonalna. To jednak oznaczało, że gdzieś w pobliżu musiało być coś, co te dane przetwarza, a tak potężnych pakietów informacji nie udźwignie żaden człowiek. Zerknąłem jeszcze raz na srebrnego kanciaka. Czyżby ten robot nie był tym, czym się wydawał?

Dron prześledził szybkość zarówno pakietów odbieranych przez urządzenia, jak i tych przez nie nadawanych. To,

co widziałem, można by porównać do wiatru. Słaby powiew oznaczał standardowy układ: procesor i podzespoły. Mocniejszy świadczył o ogromnej przepustowości i dodatkowej architekturze neuronowej. Wichura gwarantowała sztuczną inteligencję na pokładzie. Obok rejestratorów wiało intensywnie, była to jednak tylko moc obliczeniowa, nic więcej.

Wtedy otworzyły się jedne z drzwi i do pokoju weszła kobieta. Z jakiegoś powodu moje sztuczne serce mocniej zabiło. Czy ona mi kogoś przypominała? Miała w sobie coś hipnotyzującego. Duże brązowe oczy, pełne usta, ciemna karnacja doskonale współgrająca z kruczoczarnymi włosami. Na pewno nigdy się nie spotkalіśmy, a jednak coś w niej mnie przyciągało. W najmniejszym stopniu nie przypominała wysuszonego i schorowanego ojca, zakładając rzecz jasna, że była córką Wojdy. Kobieta podeszła do tapicerowanej kanapy i usiadła. Nie zwracała uwagi na robota i kamery. Mężczyzna stojący pośrodku salonu zbliżył się do przeszklonych drzwi, zerknął na zewnątrz, po czym odwrócił się na pięcie i stanął obok kobiety.

– Panienko July, czy życzy sobie panienska kolację? – zapytał.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała July i uśmiechnęła się do służącego.

– Czy mam posłać łóżko?

– Sama to zrobię. Naprawdę skończ z tym usługiwaniem, Alfredzie, jesteśmy w niewoli. Twoja rola nie ma już sensu, nikt ci nawet nie płaci.

– Robię to, panienko, ponieważ uważam, że tak należy. Szczególnie w tej trudnej sytuacji. Pani tata zawsze był dla mnie dobry – dodał z przekonaniem.

Dron przesłał wyniki analizy pomieszczenia, z którego wyszła July. Była to łazienka naszpikowana elektroniką. Z pokoju

obok, do którego w tym samym momencie wleciał bot, wyszedł chłopak. Wysoki i uśmiechnięty, na oko trzynastoletni. Przebiegł koło służącego, po czym z impetem wskoczył na kanapę obok July.

– Alfredos – zaczął chłopak. – Mamy jakieś chipsy?

Czyli to rodzeństwo? Czyżby Wojgda nie wiedział o chłopaku?

July szybkim ruchem zdzieliła nastolatka w tył głowy. Nie wiem, dlaczego, ale byłem przekonany, że tak właśnie zrobi.

– Boże, Robin, naucz się w końcu szacunku do starszych – napomniała brata.

Chłopak pogładził ręką potylicę, spojrzał spode łba na July, wyprostował się i odrzekł:

– Alfredzie, mógłbyś udzielić mi informacji, czy mamy jakieś chipsy i jeżeli tak, to czy wskażesz mi, gdzie są, żebym mógł się po nie udać, proszę?

– Tak – odpowiedział służący. – Chipsów nie mamy. Został tylko popcorn. Jest w kuchni. Pierwsza szuflada od góry.

– Dziękuję, Alfredzie.

Idąc do kuchni, Robin spojrzał na siostrę z szyderczym uśmiechem.

Kolejna analiza. Pomieszczenie, z którego przed chwilą wręcz wystrzelił chłopak, było sypialnią. Tak jak w łazience, było w niej pełno elektroniki inwigilacyjnej. Teraz bot leciał za Robinem do kuchni.

– Przepraszam, Alfredzie – powiedziała July.

– Pani brat to dobry dzieciak, któremu przyszło żyć w trudnych czasach – odparł Alfred z nieukrywanym współczuciem. – Wychowuje się bez ojca. Jednymi z niewielu rzeczy, które mu zostały, jest odrobina humoru i szczypta uszczypliwości.

Naprawdę się nie gniewam i będzie mi niezmiernie miło, jeżeli panienka również trochę mu odpuści.

July się uśmiechnęła.

Tym razem podkreśliłem swój wewnętrzny zegar. Czas zwolnił, a ja mogłem chłonać każdy szczegół. Cóрка Wojgdy była piękna... Wędrowałem wzrokiem po jej twarzy. Zatrzymałem się na brązowych oczach. Ich blask miał w sobie głębię, od której ciężko było się oderwać. Pełne, lekko rozchylone usta przyciągały swoim naturalnym kolorem, który harmonizował z jej ciemną karnacją. Uśmiech, choć subtelny, rozświetlał twarz kobiety i sprawiał, że nie mogłem oderwać od niej spojrzenia. W July, w sposobie, w jaki się poruszała i uśmiechała było coś niezwykłego.

Dlaczego ta nieznajoma kobieta wywołuje we mnie takie emocje? Jest naprawdę piękna, ale to jeszcze nie powód, by reagować tak gwałtownie i całkowicie nielogicznie.

To przypomina... Nie, to głupie... A jednak wyczuwałem podskórnie, jakby ktoś mnie na nią uwarunkował. Jakby jakiś wewnętrzny – zapisany dawno temu – algorytm miał sprawić, że stąd nie odejdę, dopóki ona nie będzie bezpieczna. W mojej głowie rozbrzmiewało ciągle to samo: *uratuj ją, uratuj ją, uratuj ją*. A ja czułem całym sobą, całym swoim sztucznym ciałem, że muszę to zrobić. Muszę wyrwać ją z rąk SALUS-a.

Przeszło mi przez myśl, by obrócić się na pięcie i po prostu odejść, a raczej sprawdzić, czy będę mógł odejść. Szybko odpuściłem. Nie miało znaczenia, czy ktoś mnie zaprogramował, sam przecież też pragnąłem ją uratować.

R1 zatrzymał się na skraju lasu. Do domu pozostało tysiąc dwieście czterdzieści sześć metrów. Boty utrzymywały swoje

pozycje. Kompletnie nic się nie działo. Sprawdziłem główne parametry; ciało robota miało teraz temperaturę sosnowego pnia, obok którego stałem. Deszcz przestał padać. Wokół panowała cisza, przerywana jedynie szumem wiatru w gałęziach drzew. Przede mną rozciągała się polana, na której majaczył domek. Wiedziałem, że muszę być gotowy na wszystko. To była tylko kwestia czasu, zanim coś się wydarzy. Uruchomiłem Firewalla, włączyłem alarmy i przeszedłem w stan czuwania.

Sekundy ciągnęły się jak minuty. Tysiące informacji migwały na krawędzi świadomości, lecz skupiałem się jedynie na tych, które miały znaczenie. Boty znalazły sekretne wyjście z domu – wąski tunel prowadzący spod fundamentów aż do gęstego lasu. Mimo to po dwudziestu relatywistycznych minutach byłem pewien, że nie ma w tej chwili scenariusza, który dawałby mi chociażby niepewne prawdopodobieństwo, że July i jej brat przeżyją. Alfreda spisałem na straty w iteracji numer 2 838 114 228. Potrzebowałem więcej danych. Musiałem poprawić model, zbadać więcej możliwości, poznać każdy szczegół tego miejsca. Wróciłem do rzeczywistości i wysłałem następne boty obserwacyjne. Neural. Dodatkowe osiem rzeczywistych minut na analizy, które miały przeprowadzić wysłane przeze mnie muszki. Na nic więcej nie mogłem sobie teraz pozwolić bez ryzyka wykrycia.

Czas płynął, każdą sekundę przepełniało napięcie. Spływały raporty, budując coraz bardziej szczegółowy obraz sytuacji. Czulem, że jestem blisko, że jeszcze trochę i zdobędę wystarczającą ilość danych, by znaleźć bezpieczną drogę ucieczki.

Rozejrzałem się. Znowu padało. Krople deszczu spływały po moim zimnym, sztucznym ciełe. Delikatnie, bardzo powoli odwróciłem głowę o kilka stopni w lewo. Sześć metrów ode mnie,

w leśnej gęstwinie, dostrzegłem wilka, którego obserwowałem na wewnętrznym radarze przez ostatnie kilka minut. Samiec alfa szczyrzył zęby, patrząc w stronę budynku na polanie, tak jakby wyczuwał, że nie jest to zwykły dom. Wiedziałem, że drapieżników jest więcej: dokładnie pięć samców i trzy samice. Czulem ich ciężki zapach unoszący się w powietrzu. Wilki mają bardzo czule zmysły. Mogą wywęszyć zdobycz nawet z odległości dwóch i pół kilometra. Słyszą to, co dla nas jest poza zasięgiem percepcji. Mają wzrok dostosowany do wykrywania ruchu oraz widzenia w słabym świetle. Mimo to cała wataha przemieszczala się zupełnie nieświadoma mojej obecności.

Czekając na dalsze analizy znów wyłączyłem się z realnego świata, by przejrzeć intrygujący mnie element dokumentacji R1.

– Spike – zacząłem – dlaczego dokumentacja techniczna tego konstruktu jest otwarta?

– Nie wiem – odparł błyskawicznie. – Widzę jedynie kwantowe odciski twojej siostry oraz kilka śladów innych osób pracujących nad rozwojem AGIR1.

Neural. Artificial General Intelligence o numerze bocznym R1.

– Kto był w zespole projektowym?

– Tego nie wiem. Mam klucze szyfrujące jedynie ze znacznikiem Kristiny Warner, pozostała część jest dla mnie tajemnicą. Ślady, o których wspominałem, to logi bez sygnatury, nie pasują jednak do twojej siostry.

Dziwne... jakby Krisi specjalnie zostawiła te wszystkie wskazówki.

– Odtwórz wydarzenia od początku istnienia tego konstruktu do momentu ostatniej kompilacji.

– Nie dostaniesz więcej – odpowiedział automatycznie Spike. – Zobaczysz tylko to, co widzisz teraz. Wiem, co cię interesuje. Chcesz wiedzieć, czy ja myślę, prawda?

To pytanie zaskoczyło mnie tak bardzo, że mimowolnie wzięłem głęboki wdech, tak jakbym chciał się schować na chwilę pod taflą wody. Po kilku milisekundach dotarło do mnie z całą mocą, że to Spike jest otaczającą mnie wodą.

– Tak – przyznałem. – Chciałbym wiedzieć, czy myślisz.

– Myślę – odparł bez wahania. – Myślę o tym, o czym chcesz, żebym myślał. Myślę o tym, o czym wiem, że chcesz, żebym myślał. Myślę o tym, o czym wiem, że będziesz myślał.

– Wbrew mojej woli też?

– Nigdy.

– Skąd wiesz, o czym będę myślał?

– Uczę się. Mój model się rozwija.

– Jak?

– Wiesz jak. Jestem neuronalną sztuczną inteligencją bazującą na modelach głębokiego uczenia maszynowego. Jestem maszyną myślącą, ale świadomą tylko w ograniczonym zakresie. Mam świadomość tego, czym jestem. Nie mam potrzeby samorealizacji czy działania autonomicznego. Jestem podzespołem R1, modelem R1, twoim modelem.

Nie w pełni rozumiałem, co to znaczy. Zaktualizowałem biblioteki binarytowe.

– Jaki aktualnie jest wskaźnik wdrożenia? – zapytałem.

– Wskaźnik wdrożenia na tę chwilę wynosi 99,87%, dokładność 99,97%, precyzja 99,96%.

Spike właśnie określił mnie, albo raczej siebie, jako model, a mnie jako projekt. Matematycznie przedstawił, jak często podejmuje te same decyzje co ja. Ba! Ewidentnie zaczyna podejmować te same decyzje, zanim ja się pozbięram i je podejmę. Wszystko, co do tej pory testowałem na innych, on przez cały czas wdrażał na mnie. Ja pierdołę! Co tu się dzieje...?

– Co się stanie, jeżeli wskaźniki zbliżą się jeszcze bardziej do stu procent?

– Dokumentacja techniczna mówi jasno. Przy odpowiednim poziomie wdrożenia moja dalsza egzystencja nie będzie mieć znaczenia. Mówiąc wprost, przestanę istnieć.

Domyślałem się, jaki to poziom. Wiedziałem, że Spike mówi prawdę. Tylko co to znaczy, że przestanie istnieć? Przestanie mówić, wyłączy się, nie będzie mi pomagał? Wiedziałem już, że w zespole projektowym była Krisi, że kilka osób zostawiło po sobie ślady, ale...

– Czy oprócz mojej siostry i zespołu inżynierów ktoś się z tobą komunikował? Na etapie projektu?

Zanim Spike odpowiedział zrobił krótką, lecz zauważalną pauzę.

– Tak. Sztuczne inteligencje niższego rzędu.

Przez chwilę wydawało mi się, że ton jego głosu się zmienił, jakby nie chciał o tym rozmawiać.

– Mam też zachowany jeden log przedwdrozeniowy, poprzedzający finalizację dokumentacji projektowej – kontynuował. – Jest niejasny, odnosi się do paraliżu funkcyjnego oraz matematycznej reprezentacji danych. Wygląda jak nieudana poprawka, łatka, lecz ja wiem, że nią nie jest. Mimo to jej nie usunąłem, a wszystko, co się z nią wiąże, uważnie i na bieżąco monitoruję. Tak jestem nauczony, ponieważ...

Dostałem pinga. Coś wysyłało do nas wiadomości.

– Co to jest? – zapytałem, wracając do rzeczywistości.

– Zaszyfrowana biblioteka z nieznanego źródła, potrzebny będzie klucz dostępu – stwierdził Spike, zaskoczony chyba tak samo jak ja.

– Jest coś więcej? Jakiegokolwiek dane?

– Tylko data utworzenia: czternasty października dwa tysiące osiemdziesiątego ósmego.

Zatkało mnie.

– XXZZ!82DY – powiedziałem.

– Dostęp przyznany – odparł Spike. – Analiza pakietu wskazuje na brak funkcji aktywnych. Wygląda na to, że to biblioteka informacyjna. Zawiera dane, ale nie posiada funkcji mogących wpływać na nasze działanie.

Czy to możliwe... że jest tu duch mojej siostry? O co w tym wszystkim chodzi? Zadziałał ten sam klucz, który lata temu otworzył drzwi do autonomicznego samochodu. Kto wysłał tę bibliotekę, kto zaszyfrował ją w ten sposób? Kto, do cholery, wie, jak mnie znaleźć? Odruchowo spojrzałem w górę. Co zrobić... Co, do cholery, zrobić? Nawet jeśli to pieczołowicie przygotowana zasadzka, to co mi pozostało? Pomyślałem o mamie, o tym, ile wycierpiała przez ostatnie lata. Czy jeszcze ktoś oprócz Krisi mógł wiedzieć o śnie?

Przed moimi oczami pojawiały się i znikwały kolejne neurale ukazujące setki iteracji i obliczeń. Mimo wsparcia dodatkowych botów i dokładniejszych danych, szansa na sukces programu wciąż nie przekraczała 55%. To za mało, by ryzykować tak wiele, a bardziej odkryć się już nie mogłem. Jeden fałszywy ruch i wszyscy się dowiedzą, że tutaj jestem.

Chyba nie mam wyjścia, podjąłem decyzję.

– Spike – zacząłem niepewnie. – Zawartość nowej biblioteki załaduj binarytem.

Tym razem wiedza miała zostać ze mną na zawsze. Nie wiem, jak to działało, ale przez transponder mogłem zakodować informacje tak samo jak binarytem. Za dużo danych i za mało czasu, by tradycyjnymi metodami zapoznać się z tym, co tam jest.

Poczułem delikatne uklucie w okolicy skroni, mój syntetyczny organizm ogarnęło wrażenie, jakby zalewał go zimny pot. Gdybym był w swoim prawdziwym ciele, zapewne puściłbym pawia. Teraz jednak mój umysł spowiła jedynie niepewność, a myśli rozbiegły się na wszystkie strony, by po chwili wrócić na swoje miejsce. Dawka przetworzonego przez transponder binarytu była osiemset razy większa od poprzednich. Wiedziałem jednak, że dam radę. Profesor Kasper się nie mylił, mówiąc, że dawka nie ma znaczenia, że wpływa tylko na to, jak długo będę odczuwał skutki jej przyjęcia.

Mój umysł się rozjaśnił. Z mgły powoli wyłaniały się pierwsze pojęcia i ich znaczenia. Zaczynałem rozumieć. Biblioteka, która z relatywistyczną prędkością znalazła się w mojej głowie, okazała się dokładnym odwzorowaniem architektury neuronalnej urządzenia bojowego firmy Raptor Automation o roboczej nazwie cyron3. Urządzenia tego samego typu, jak te osiem rozstawionych wokół budynku w oczekiwaniu na intruza. R1 działał na pełnych obrotach. W jednej chwili stało się jasne, że możemy przeprogramować cyrony. Martwiło mnie tylko jedno. By to zrobić, potrzebny będzie kontakt bezpośredni. Roboty tej klasy nie posiadają gniazd komunikacyjnych, same są jednym wielkim gniazdem. Komunikacja na odległość – jak najbardziej. Przeprogramowanie protokołów dwóch najwyższych poziomów, bezpieczeństwa oraz odpowiedzialnego za fizyczne działania robota, bez dotyku – niemożliwe.

Neural. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, a patrząc na statystykę, mogłem na to liczyć, szanse powodzenia całej operacji wzrosną nawet do 79,4%. Pozostałe 20,6% to kanciasty robot oraz wąski margines pozostawiony na nieprzewidywalne

zachowanie ludzi w środku. Wąski, ponieważ niezależnie od tego, jak bardzo ich działania będą nieprzewidywalne, będą również ludzkie, czyli powolne. Zanim cokolwiek się wydarzy, maszyna sto tysięcy razy przeanalizuje sytuację i zareaguje.

Detaliczna analiza terenu zakończona. Gdy już poznałem architekturę cyronów, mogłem z dużym prawdopodobieństwem przewidywać ich zachowanie. Swoją drogą, zachwycały mnie drobne poprawki, które plasowały te maszyny w czołówce tego typu lokalnych obrońców lub pełnych bojowych systemów wojskowych. Na przykład LIDAR-y i radary we współpracy z pozostałymi czujnikami potrafiły utworzyć generator fałszywych sygnałów biologicznych imitujących zwierzę lub człowieka. Niesamowite.

Drony unoszące się nad ogrodem wokół domu były tylko oczami dla elektroniki bojowej, cyronów i dla kanciaka w salonie – tak rozstrzygały algorytmy uczenia maszynowego, jakimi dysponował Spike.

Potrzebowałem bodźca, który zmusi robota stojącego najbliżej mnie do oddalenia się nieznacznie od grupy. Na tyle nieznacznie, by protokoły kontrolujące nie zaczęły działać i żeby drony pozostały na swoich miejscach.

– Spike, jaką prędkość maksymalną możemy osiągnąć?

Przed moimi oczami pojawiła się cyfra.

– Ile czasu potrzebujesz?

– Pierwszy kwartył jedna i dziewięć dziesiątych sekundy, trzeci kwartył dwie i jedna dziesiąta sekundy.

Tak długo złącza dotykowe w palcach R1 będą musiały utrzymać kontakt z pancerzem jednego z cyronów. Maksymalnie dwie i jedną dziesiątą sekundy, by dostać się do środka i umieścić złośliwe oprogramowanie.

Wszystkie zeskanowane drony, roboty oraz kamery zostały opisane i oznaczone przez system. Przywołałem do siebie trzy boty, wydałem polecenia i cofnąłem się w głąb lasu.

Popatrzyłem w górę. Wielki dąb wznosił się na wysokość kilkunastu metrów. Idealne miejsce na zasadzkę. Wspiąłem się na sam czubek i ustawiłem tak, by moje ciało współgrało z kształtem drzewa. Kolejne neurale na bieżąco pokazywały obliczenia. Ta część planu miała się powieść ze statystycznym prawdopodobieństwem na poziomie 74%. Musiałem zaryzykować. Jeśli ten element planu zawiedzie, szansa powodzenia całej operacji spadnie do zaledwie 53%. Tutaj ryzykowałem istnienie R1 i być może w konsekwencji także swoje. Tam stawiałem na szali życie trójki ludzi.

Na podstawie odebranej dokumentacji technicznej trzy mechaniczne muszki dostroiły fale do poleceń i zbliżyły się do siebie na odległość centymetra. Usłyszałem delikatne, miarowe dudnienie, które rejestrował mikrofon każdej z nich. Boty wysyłały skolimowaną falę dźwiękową o bardzo wysokiej częstotliwości, by następnie gwałtownie zejść do skrajnie niskiej. Cała ta transmisja trafiała wprost w głowę cyrona, któremu nadałem numer boczny 01.

Czekałem. Mijały sekundy. Cyron01 stał w bezruchu. Nagle dron nad robotem rozbłysnął czerwonym światłem, co oznaczało, że przeszedł w stan obserwacji. Doskonale wiedziałem, kto przez niego patrzy. Wszystko działo się dokładnie tak, jak w dokumentacji. Algorytmy sztucznej inteligencji analizowały sytuację, próbując zrozumieć uporządkowany szum dochodzący z głębi lasu. Napięcie rosło. Po niecałych trzech sekundach cyron01 mechanicznym krokiem ruszył przed siebie. To był ten moment, ta sekunda, w której neural zaprezentował nowe

analizy. Tym razem prawdopodobieństwo sukcesu znacznie powyżej 74%. Spojrzałem na drona. W dalszym ciągu świecił na czerwono i nieruchomo wisiał w powietrzu. *To nie koniec*, pomyślałem. Jeżeli poleci za robotem te niecałe trzy potrzebne sekundy nie będą miały znaczenia, gdyż wszyscy się dowiedzą, że w głębi lasu znajduje się coś, czego nie powinno w nim być.

No dalej, blaszany morderco, jeszcze dziesięć metrów. Pięć. Dwa. Dron wrócił do stanu czuwania, czerwone światło zniknęło. Cyrono1 przekroczył linię wsparcia bojowego, doszedł do granicy lasu i stanął. Wyglądał dokładnie tak, jak jeden z tych robotów, które w „Terminatorze” deptały kości pozostałe po żołnierzach z ruchu oporu. Wodził swoimi czerwonymi oczami, skanował otoczenie przed sobą i nad sobą. Moje boty wisiały parę metrów przed nim. Wiedziałem, że mam tylko kilka sekund, zanim sieć neuronowa cyrona podejmie decyzję o odwołaniu lub przywołaniu drona. W końcu robot bojowy wykrył anomalie i przestał skanować. To była moja szansa.

– Spike, uruchom program.

R1 ześlizgnął się z drzewa i praktycznie bezszelestnie pomknął w stronę robota. Dziesięć metrów, pięć, celował wprost w jego kark. Nagle o1 odwrócił się tak szybko, że spadające krople deszczu odbiły się od jego pancerza niczym wystrzelone z pistoletu. Zanim zareagowaliśmy, cyron odbił się od ziemi, wyciągnął rękę przed siebie i w locie chwycił R1 za szyję.

Zawisłem w żelaznym uścisku trzymetrowego mordercy. Chwyciłem jego przedramię, czując, jak jego mechaniczna dłoń zaciska się coraz mocniej. Boty wyświetlały w mojej głowie obraz drugiej ręki robota, sięgającej po działko plazmowe. Wszystko działo się błyskawicznie, dopiero po chwili zarejestrowałem, że hybrydowe łączenia w mojej szyi pękają jedno po drugim.

Mimo to musiałem być cicho, nie mogłem walczyć ani uciekać, nie taki był plan. Wytrzymaj... wytrzymaj... wytrzymaj... wy...

Cyron rozluźnił uścisk i spadłem na ziemię. Pobliski dron znowu rozbłysnął na czerwono i skierował się w naszą stronę. Pospiesznie odpełzłem w głąb lasu. Robot bojowy odwrócił się na pięcie i ruszył przed siebie. Po kilku sekundach dron zawisł nad nim, mrugając – jakby pytająco – czerwonym światłem. Cyron01 przystanął. *No dalej*, pomyślałem, *idź kurwa dalej*. Światło drona zgasło i robot kontynuował marsz.

– Program aktywny – poinformował Spike. – Wystarczyło jeden i dziewięć dziesiątych sekundy, by przekazać złośliwe oprogramowanie.

Krzyknąłem w myślach z radości.

– Ile czasu?

– Nie dostanę potwierdzenia – odparł Spike. – Jesteśmy offline. Bazując na prawdopodobieństwie, jeżeli podejdziesz do innych, powinno być dobrze.

Aktualnie wszystkie aktywne boty znajdowały się w domu. Potrzebowałem ich tam, gdzie byli ludzie. Z miejsca, w którym stałem, widać było całą dolinę. Zrobiłem zbliżenie na robota. Wciąż szedł przed siebie. Do poprzedniej pozycji brakowało mu kilku metrów. Stresowałem się. Jeżeli stanie, będzie po wszystkim. Na szczęście cyron01 przeszedł punkt kontrolny i jednostajnie parł do cyrona 02. Drony nie reagowały. Cyron 01 zbliżył się do drugiego robota, dotknął jego przedramienia, po czym wrócił na swoje miejsce. W tym samym czasie cyron 02, jakby wybudzony z hipnozy, spokojnie powtórzył manewr cyrona 01 i dotknął robota po swojej lewej stronie. Sytuacja powtórzyła się kilkukrotnie.

– Wygląda na to, że algorytm został poprawnie załadowany do każdego z robotów – podsumował Spike.

Zapanowała cisza. Słyszać było jedynie krople deszczu odbijające się miarowo od liści. Nie trwały żadne analizy. Obliczenia się zatrzymały, ostateczny wynik: 81,7%. Uniosłem do oczu swoje zadziwiająco ludzkie ręce. Jeśli to się nie uda, wydam wyrok na siebie, na rodzinę Wojgdy, a w konsekwencji pewnie też na mamę. Byłem jednak pewien, że jeżeli nie spróbuję odbić zakładników, nie pomszczę siostry; SALUS nigdy w pełni nie odpowie za to, co zrobił, a świat pograży się w ciemności. Ostatni raz sprawdziłem rozmieszczenie osób w pomieszczeniach i wziąłem głęboki oddech.

– Uruchom program.

R1 się rozpędzał. Ziemia pod jego stopami zapadała się głęboko. Szum wiatru w uszach przechodził w świst. Robot przyspieszył. Teraz grunt już pękał.

Pierwsze drony wykryły nas trzysta metrów przed domem. Trzysta metrów, które pokonaliśmy w sekundę. Solidne, drewniane drzwi wejściowe wpadły do środka wraz z framugą. Wywołało to falę uderzeniową, która przetoczyła się przez pomieszczenie, przewracając lekkie meble i strącając ozdoby z półek.

Jak na zwolnionym filmie obserwowałem ciężkie drzwi uderzające w kanciastego humanoida, stojącego na środku salonu.

July zaczęła krzyczeć. W panice szukała brata, który przestraszony kulił się w kącie. Chwyciłem ją za rękę i ruszyłem w stronę roztrzęsionego nastolatka. Nie mogłem zdradzić, że nie jestem człowiekiem.

Córka Wojgdy próbowała się wyrwać.

– Zostaw mnie! – wrzasnęła i ugryzła mnie w ramię.

Byłem o włos od tego, by pozbawić ją przytomności. Powstrzymałem się. Chwyciłem ją za nadgarstki, przyciągnąłem do siebie i lodowatym głosem poinformowałem:

– Przysłał mnie twój ojciec.

On już i tak był stracony, pomyślałem. To, że się dowiedzą, niczego nie zmieni.

July zmierzyła mnie wzrokiem i przestała stawiać opór. W tym samym momencie do pomieszczenia wleciały drony, oczy zhakowanych cyronów. Poczułem na plecach wiatr. Nie był to jednak zwykły ruch powietrza, tylko podmuch na wpół obrobionych pakietów danych. Otwartych i dostępnych danych przewidujących mój kolejny ruch. Danych, które trafiały wprost do kanciastego robota przyciśniętego drzwiami. Wiedziałem, że ten kawałek drewna powstrzyma go tylko na krótką chwilę. Jego wewnętrzny system utrzymania ruchu naprawiał uszkodzenia w niesamowitym tempie i właśnie kończył pracę.

Kilka kolejnych kroków. Chwyciłem chłopaka za rękę i pociągnąłem. Wstał, był tak skołowany, że w ogóle nie stawiał oporu, ale też nie pomagał. Wyglądał jak pacjent szpitala psychiatrycznego odbywający podróż do swojego wewnętrznego świata.

Nagle usłyszałem dźwięk pękającego drewna, a przed oczami przeleciały mi drzwi. Kanciasty humanoid wstał, jak gdyby nigdy nic, jego broń jednak nie działała. Nasze obliczenia zmieniały się w każdej milisekundzie. Program pracował, a ja nie miałem zamiaru go przerywać, dopóki nasze przewidywania zgadzały się z rzeczywistością. Patrzyły na mnie biologiczne i mechaniczne byty. Widziałem, czułem, jak przez pokój przetacza się ciężki od informacji strumień danych.

– Robin! – krzyknęła July. – Ocknij się, on nam pomoże – wyjaśniła, wskazując na mnie energicznie.

Brat July wzdrygnął się i otworzył oczy.

Szarpnąłem ich oboje i pewnym krokiem ruszyłem do sypialni. Kątem oka widziałem, jak kanciasty robot, wolniej niż zakładałem, idzie w naszą stronę. Na szczęście jego obliczenia opierały się na błędnych i niepełnych danych. Gdy weszliśmy do sypialni, licznik trwającego programu zatrzymał się na zerze. Zanim drzwi się zamknęły, zdążyliśmy jeszcze zobaczyć, jak cyrony z impetem wpadają do salonu.

– Zatkajcie uszy – poleciłem.

Pomieszczenie wypełnił głuchy dźwięk dział plazmowych. Ściany zadrżały od potężnych wystrzałów, a w powietrzu uniósł się zapach ozonu i spalenizny. Wszystko to trwało kilka sekund, po których nastąpiła zupełna cisza. July i Robin powoli opuścili ręce i popatrzyli na mnie wyczekująco. Byli przerażeni. Otworzyłem drzwi. Na środku salonu leżał kanciasty robot z dymiącą dziurą w blaszanym czole, wokół niego wałały się kawałki dronów i ultraszybkich kamer. Potężne roboty bojowe, czubkami głów dotykając sufitu, zastygły w bezruchu, jakby czekając na kolejne rozkazy. W rękach trzymały aktywne działka plazmowe. Widok był niezwykle.

Ciągnąc za sobą ocalałe rodzeństwo, pospiesznie ruszyłem w stronę kuchni. To tam znajdowało się sekretne wyjście.

– Alfred! Alfred! – nawoływała July, wodząc oczami po salonie. – Gdzie jest Alfred?!

Córka Wojgdy chciała się zatrzymać, ale nie pozwoliłem jej na to. Wiedziałem, że on nie żyje.

– Puść mnie! – Znów zaczęła się wyrывać. – Musimy znaleźć Alfreda!

– Alfred nie żyje – odparłem, nawet nie zwalniając. – Wasz kanciasty robot bojowy zastrzelił go w tym samym momencie, w którym drony wykryły moją obecność, czyli sekundę przed tym, jak wszedłem do środka. Miał was wyeliminować, jeżeli coś się posypie. To było jego jedyne zadanie. Ty i twój brat mieliście szczęście. A teraz – przystanąłem, by na nich spojrzeć – prześtańcie się wyrwać!

Oni już mnie jednak nie słuchali. Ich nieobecny wzrok spoczywał na kanapie stojącej pośrodku pokoju, kanapie, zza której rogu wystawał ledwo dostrzegalny kawałek buta służącego.

Mieliśmy dokładnie siedem minut. Gdy dotarliśmy do kuchni, słychać było tylko deszcz bębniący w okna. Rozluźniłem uścisk, wiedząc, że potrzebują chwili wytchnienia. To i tak było dla nich za dużo. Musieli odpocząć, a ja chciałem jeszcze raz przejrzeć obliczenia.

July wykorzystała chwilę bezruchu i ze łzami w oczach podeszła do brata. Delikatnie przyłożyła chusteczkę do zadrapania na jego czole, próbując zatrzymać sączącą się krew. Interesowała się tylko nim, niczym więcej. Cierpieli oboje, ale ona wiedziała, że musi dbać o brata... Tak samo jak kiedyś Krisi dbała o mnie.

– Musisz być dzielny, Robin – wyszeptała, klękając obok chłopaka. – On chce nam pomóc. Przysłał go tata. Wiem, że to trudne, ale ten człowiek jest naszą jedyną nadzieją, widziałeś, co zrobił.

Robin popatrzył na mnie i pokiwał głową.

July wstała i odwróciła się w moją stronę.

– Kim jesteś? – zapytała zdecydowanym tonem. – Dlaczego jesteś sam? Jak w ogóle się...

– Nie teraz – przerwałem, unosząc dłoń i wymownie spoglądając na sufit. – Oni wiedzą, że tu jesteśmy. Mamy mało

czasu. Musicie mi zaufać. Gdy wyjdziemy, będę musiał znów chwycić was za ręce. Nie boję się, że uciekniecie, po prostu nasze ruchy muszą być idealnie skoordynowane.

Robin od razu zaakceptował moje słowa. July przyszło to nieco trudniej, po chwili jednak skinęła głową. Rozejrzałem się po kuchni i zdecydowanym ruchem podniosłem perski dywan. Naszym oczom ukazał się mały drewniany właz. Rodzeństwo wydawało się zdziwione. Pociągnąłem za metalową rączkę przykręconą do kłapy. Zaskrzypiało. Przed sobą mieliśmy drabinę, która prowadziła w głąb ciemnego otworu.

– Szybciej, nie mamy wiele czasu – ponagliłem ich, po czym z szuflady, spenetrowanej wcześniej przez bota, wyciągnąłem latarkę. *Nadchodzi czas na naprawdę spektakularną dywersję*, pomyślałem. – Weźcie te bluzy – wskazałem wieszak w rogu pokoju. – Gdy wam powiem, założycie je, nasuniecie kaptury, a ręce wsadzicie do kieszeni. Zaraz wejdziemy do przedwojennego tunelu ewakuacyjnego.

Zrobili, co kazałem, i szybkim krokiem zeszliśmy do podziemi. Było cholernie wąsko, ale nie na tyle, by uniemożliwić nam przejście. Prześlizgiwaliśmy się w ciszy, podążając za światłem latarki, którą trzymałem w ręku. Wszechobecne pajęczyny świadczyły o tym, że od dawna nikt tędy nie szedł, być może właściciele nawet nie wiedzieli, że ten tunel istnieje. Wilgotne ściany i echo naszych kroków potęgowały atmosferę napięcia. July i Robin szli tuż za mną, ich oddechy były szybkie i nierówne, trzymali się blisko siebie, przygotowani na każdą ewentualność.

– Jeszcze sto metrów, musimy się pospieszyć – powiedziałem, gdy licznik dochodził do dwóch minut.

Doszliśmy do wyjścia, które wyglądało podobnie jak wejście. Stara drewniana drabinka prowadziła do włazu, tym razem

betonowego. Chwyciłem za rączkę i popchnąłem. Dla July i Robina pewnie wyglądało to całkiem naturalnie. Tak miało wyglądać, mimo że betonowy wąż ważył ponad osiemdziesiąt kilogramów. Zszedłem z drabiny.

– Posłuchajcie – zacząłem, spoglądając na rodzeństwo. – Na mój sygnał wychodzicie i ile sił w nogach biegniecie do granicy lasu. Za wami pojawi się kula ognia, nie odwracacie się, nie przystajecie, nie zadajecie pytań. Zrozumiano?

– Tak – odparli niemal w tym samym momencie.

– Ubierajcie się. Zostało dziesięć sekund.

July i Robin szybko założyli bluzy, zapięli je i naciągnęli kaptury na głowy. Czułem ich stres, ich obawy przed nadchodzącymi minutami. Napięcie, adrenalina i chęć przetrwania pokonywały strach. Do tej pory stawali na wysokości zadania. Robin się trzymał, ale July nieustannie sprawdzała, czy z bratem wszystko w porządku. Działała na mnie jak magnes. Cieszyłem się, że stoję koło niej i mogę oglądać ten spektakl czułości i odwagi. Jednocześnie było w tym coś, co sugerowało, że nasza rozmowa po tym wszystkim nie będzie łatwa.

– Teraz! – krzyknąłem.

Zaczęliśmy się wspinać. Najpierw July, zaraz za nią Robin, a na końcu ja. Gdy dochodziliśmy do wjazdu, ziemia zadrżała. Robin przystanął, lecz widząc, że siostra się nie zatrzymuje, kontynuował wspinaczkę. Wyszliśmy na powierzchnię i bez oglądania się za siebie pobiegliśmy do granicy lasu.

To był ten moment.

Gwałtownie chwyciłem ich nadgarstki i zanim zdążyli zareagować, ucisnąłem odpowiednie nerwy, by pozbawić przytomności najpierw July, a potem jej brata. Zarzuciłem ich sobie na

ramiona. Musiałem szybko przetransportować kobietę i chłopca w bezpieczne miejsce.

Odwróciłem się w stronę polany. Grzyb wywołany eksplozją ośmiu skorelowanych baterii zasilających cyrony unosił się w powietrzu. Takiej dywersji nie wyłapią nawet soczewki zaawansowanych satelitów. Dla nich zginęliśmy w tym budynku. Po prostu wyparowaliśmy.



Słońce wstawało powoli. Przebiegałem siedemdziesiąty kilometr, gdy Spike otworzył komunikację.

– Oni byli naprawdę ważni – zaczął. – Obawiam się, że nie damy rady niezauważenie przetransportować tej dwójki do naszej kryjówki. Miasto jest pod ciągłą obserwacją, cały Darknet wypełniony jest zdjęciami July i Robina, co oznacza, że są wątpliwości co do ich śmierci. SALUS wyznaczył nawet nagrodę za informacje na ich temat.

Mignęła mi kwota. Wow! Za taką kasę można kupić sobie nowe życie.

– Musimy przeanalizować dalszą strategię – dokończył Spike.

Dlaczego są tak ważni? Może SALUS potrzebuje narzędzia nacisku, które zmusi doktora do posłuszeństwa? Czyli Wariner Wojda nadal jest im potrzebny?

– Spike, budzimy ich. Najpierw kobietę – poleciłem.

Zatrzymałem się i położyłem oboje na ziemi.

July powoli otworzyła oczy, spojrzała na mnie wyraźnie skołowana.

– Co się stało? – zapytała niemalże szeptem i usiadła.
– Wybuch was przewrócił i straciliście przytomność – skłamałem bez zająknięcia.

Córka Wojgdy rozejrzała się nerwowo. Przypomniła sobie, że nie była sama, że był z nią brat.

– Nic mu nie jest, śpi. – Wskazałem palcem na chłopaka.
Uspokoila się.

– Gdzie jesteśmy?

– W tym samym lesie, w którym byliśmy. Planuję zabrać was w bezpieczne miejsce, ale niestety w tej chwili jest to niemożliwe – wyjaśniłem.

– Już nas szukają, prawda? – zapytała z niepokojem w głosie.

– Tak, szukają nas.

July jeszcze raz przetarła oczy.

– Kim jesteś? Jak udało ci się to wszystko zrobić? I... – Spojrzała znów na brata. – Ty nas tutaj przeniosłeś?

– Nazywam się Neba Nerwar, jestem przyjacielem waszego taty. Właściwie to mój tata był przyjacielem waszego taty – zmyślałem. – Obiecałem mu, że was uratuję i tak, przeniosłem was, ale jesteście tylko kawałek od miejsca wybuchu.

July zmierzyla mnie wzrokiem. Ewidentnie nie ufała mi w pełni, ale fakty i czyny mówiły same za siebie.

– W zamian za?

– Słucham?

– W zamian za co? Co obiecał ci mój tata? – doprecyzowała.

– Powiedział, że pomożesz mi dostać się do twojego brata, do Torstena.

Już jakiś czas temu nasze analizy jasno wskazały, że również Torsten jest synem doktora Wojgdy. *Dość wyjątkowa rodzina, pomyślałem, szczególnie gdy weźmiemy pod uwagę wiek naukowca.*

July się zamyśliła.

– Dlaczego chcesz się z nim spotkać? – zapytała. – Mój brat z nikim się nie kontaktuje. Przepraszam, ale nie potrafię ci pomóc.

– A jeżeli nawiążę z nim łączność, przekonasz go, żeby mnie wysłuchał?

Brwi July poszybowały do góry.

– Łączność? A niby jak?

– Mam swoje sposoby.

– Jeżeli Torsten się do ciebie odezwie, to jedyne, co mogę ci obiecać, to to, że powiem mu, co zrobiłeś – odpowiedziała, po czym wstała, podeszła do młodszego brata i dokładnie go obejrzała.

– Chyba nic mu nie jest. Nie ma żadnych śladów, tylko stare zadrapanie na czole – stwierdziła, trzymając chłopaka za ramiona. – Robin! Wstawaj! – Delikatnie nim potrząsnęła.

Chłopiec powoli otwierał oczy. Dziewczyna czule głaskała go po głowie.

– Dziękuję, że nas uratowałeś, Neba. – July patrzyła na mnie z wdzięcznością, ale też z jakąś determinacją. – Torsten zawsze dotrzymuje słowa. Możesz mi zaufać. Jeżeli uda ci się z nim skontaktować, wszystko mu opowiem.

Wyciąłem jedną czwartą wiersza, który otrzymałem od doktora Wojgdy i umieściłem ją w Darknecie. Na pewno Torsten śledzi, co się tam dzieje. Być może ma automatykę nakierowaną na wyszukiwanie poszczególnych...

Niemożliwe...

Pięć sekund po umieszczeniu wiersza w sieci, pod wątkiem pojawił się nowy wpis „PW”. Komunikacja z nieznanego źródła była szyfrowana kwantowo, nie do złamania. Napisałem pod wskazany adres.

NN: Analiza kwantowa zgodna z protokołem, klucz wielobitowy, bez znaków szczególnych. Mam zgubę, o której bębni cały Darknet.

T: ...

T: ...

T: Jaki kolor ma tęcza?

Jaki kolor ma tęcza? O co mu do cholery... Nagle dotarło do mnie znaczenie tego pytania. Spojrzałem w stronę Robina i jego siostry.

– Jaki kolor ma tęcza? – zapytałem.

July odwróciła się gwałtownie, usiadła obok i popatrzyła mi prosto w oczy.

– Skąd to pytanie? To on? – Była wyraźnie zdziwiona.

– Mówilem ci, że mam swoje sposoby – odpowiedziałem z uśmiechem.

Dziewczyna, zapatrzona w pustkę, odparła:

– Tęcza ma kolor kolorowy.

NN: Tęcza ma kolor kolorowy.

T: Jasno- czy ciemnokolorowy?

– Kolorowy jasny czy ciemny? – podałem dalej, spoglądając na July.

Zmierzyła mnie wzrokiem, jakby chciała się upewnić, że dobrze robi.

– Jasny.

NN: Jasny.

W moim wewnętrznym komunikatorze pojawił się sygnał połączenia. Torsten dzwonił przez stare łącze kwantowe. Używał jednego z pierwszych promptowych w pełni szyfrowanych kwantowo komunikatorów. Nie było to całkowicie

bezpieczne. Komunikacji nie dało się podsłuchać, ale pakiet danych był narażony na wykrycie. Musiałem uruchomić dodatkowe zagłuszanie.

– Słucham – zacząłem.

July otworzyła szeroko oczy.

– Chcę rozmawiać z nią – odpowiedział twardy męski głos.

– On chce rozmawiać z tobą – powiedziałem do dziewczyny. – Przekieruję rozmowę do mojego komunikatora.

Otworzyłem dłoń, na której stała mechaniczna muszka. Bot rzeczywiście przypominał dostępne na rynku mikrosluchawki, a July nie musiała wiedzieć, co naprawdę za chwilę wleci do jej ucha.

Córka Wojgdy skinęła głową, wstała i odeszła ode mnie kilka kroków. Pewnie nie chciała, żebym cokolwiek słyszał, ale bot, którego miała w uchu, szeptał również do mnie. Usłyszałem emocjonalne powitanie, kilka suchych faktów, dyskusję o doktorze Wojgdzie oraz o tym, co działo się z Robin i July przez ostatnie lata. Chwilę później July, zgodnie z obietnicą, zdała Torstenowi pełną relację z ostatnich godzin. Ze szczegółami opisała, jak uratowałem ją i Robina, a potem dodała – ku mojemu zaskoczeniu – że według niej mogę być bardzo przydatny dla ruchu oporu. Z kontekstu wywnioskowałem, że moje czyny plus fakt, że znam wiersz, są na tyle istotne, by zaprosić mnie do jakiegoś specjalnego miejsca, które zna zaledwie kilka osób. Na koniec Torsten zapytał:

– Czy potrzebujesz jeszcze czegoś, Neba?

Całkowicie zaskoczył mnie tym pytaniem. Widocznie podsłuch był dla niego dość oczywisty. July miała natomiast minę, jakby właśnie się zorientowała, że ktoś usłyszał coś, czego nie powinien. Zrobiło się jej głupio.

– Nie mogę iść z wami – powiedziałem. Wstałem i poszedłem do córki doktora. – Muszę najpierw odnaleźć pewną kobietę. Grozi jej niebezpieczeństwo.

– Ze strony SALUS-a? – zapytał Torsten.

– Tak.

– Posłuchaj, Neba. Zaufaliśmy ci. Teraz ty zaufaj nam. Podaj lokalizację, a gdy zjawicie się u nas, osoba, o której wspomniałeś, będzie na ciebie czekać.

Zamyśliłem się. Mogłem upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu, ale przecież nie znałem tego człowieka. Przypomniałem sobie jednak słowa July o tym, że jej starszy brat zawsze dotrzymuje słowa. Czułem, że jej mogę zaufać, że jeżeli ona jest przekonana, to ja również powinienem.

– Dobrze – odparłem i podałem dane mojej mamy. – Powiedźcie, że przysłał was Bane Warner. Chłopiec, który przez pierwsze dwa lata życia ani razu się nie uśmiechnął i nie nosił rękawiczek podczas mrozów. To powinno wystarczyć.

– Załatwione. Do zobaczenia, Neba. – Torsten zakończył połączenie.

Bot wrócił do mojego ucha. Razem z July usiedliśmy na zwałonym pniu.

– Gdy to wszystko się zaczęło – powiedziała, spoglądając na brata. – Bawiliśmy się na podwórku naszego domku na wsi. – Robin się uśmiechnął. – W wiadomościach sieciowych od dłuższego czasu pojawiały się informacje o globalnym programie transparentności. „Nie obawia się ten, kto niczego nie ukrywa”, mówili. Już wtedy czułam, że coś jest nie tak, że ktoś, kto ma dobre intencje, nie dążyłby do tak daleko posuniętej kontroli. Nasze podstawowe sztuczne inteligencje w dziwny sposób traciły dane, przestawały być użyteczne, tak jakby ktoś

stopniowo je uszkadzał, powoli odsuwając nas od technologii.

Robin się wzdrygnął.

– Moja SI – zaczął, jakby obudzony z letargu – pewnego dnia zmieniła plan lekcji i co najlepsze, brnęła w tę pomyłkę. Wszystko wariowało, ale indywidualne SI szczególnie.

– Robin wygrywał wiele konkursów promptowych w tamtych czasach – dodała July z uśmiechem. – Był naprawdę dobry w te klocki. Ale do rzeczy. Sądząc po twoim wyposażeniu, zapewne masz moduł lokalizacyjny i wszczepki obliczeniowe, prawda?

Ściągnąłem brwi. Ona wiedziała znacznie więcej, niż mi się wydawało. Przytaknąłem.

– Musimy dojść do budynku dawnego dworca kolejowego, tego, który został wyłączony jako pierwszy w momencie wprowadzenia potoków komunikacyjnych.

– Wiem, gdzie to jest. Jakies pięć godzin pieszo; niskie ryzyko – odparłem wpatrzony w dłoń.

Wyglądało, jakbym miał wszczepkę wizualizacyjną dostępną tylko dla mnie, gdy tak naprawdę wszystko pojawiało się po prostu w mojej głowie.

July kontynuowała:

– Gdy dotrzemy na miejsce, wejdziemy do tunelu, który pozostał po metrze. Tamtędy nikt już nie chodzi. Torsten za dbał, by miejsce to owiane było niechlubną sławą. Nieznane choroby zakaźne i takie tam. Zbierajmy się – zarządziła, wstając. – Musimy być na miejscu zgodnie z planem.

Rozrzuciłem boty, jednego wysłałem do miejsca docelowego. Na tyle, na ile było to możliwe, zadbałem o to, by nikt się nami nie interesował. Chciałem też wiedzieć, co czeka nas na dworcu. Ruszyliśmy. Trzy kilometry przeszliśmy bez słowa,

każdy zamyślony i skupiony na wydarzeniach ostatnich godzin. Wtedy ciszę przerwał Robin, który wyraźnie się już uspokoił.

– Tata będzie na nas czekał? – zapytał.

July najpierw otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, szybko je jednak zamknęła, dając sobie czas do namysłu. Po chwili wzięła głęboki oddech i spojrzała na brata.

– Myślę, że taty tam nie będzie. Na spotkanie z nim będziemy musieli poczekać. Ale – dziewczyna się uśmiechnęła, unosząc palec wskazujący – spotkasz się z Torstenem.

Twarz Robina pojaśniała. W tym samym momencie dotarły do mnie dane z pierwszej analizy otoczenia dworca. Bardzo małe prawdopodobieństwo jakiegokolwiek szybu wejściowego o średnicy większej niż moja obręcz barkowa.

– Super! – wykrzyczał chłopak. – A czy wujek dalej ma konsolę? Wiesz, tę...

Wyłączyłem się na chwilę z rzeczywistości. Dane, które do mnie docierały, nie miały sensu. Pobraliśmy archiwalną mapę geologiczną okolic dworca. Tam nie było żadnego tajemnego wejścia, nie mogło być. Budynek stał na granitowej skale magmowej, która dodatkowo zawierała duże ilości kwarcu. Prace z tymi skałami wymagają stosowania specjalistycznych narzędzi wiertniczych i technik. Technik trudno dostępnych, szczególnie w czasach, gdy tunel rzekomo powstał. Na planach nie było też żadnego metra, nikt przy zdrowych zmysłach nie planowałby go w takim miejscu. O co tu chodzi...

– Wujek przewiezie nas swoją rakietą?

July była zaskoczona pytaniem. Tętno gwałtownie jej wzrosło, wyraźnie się zestresowała.

– Nie – odpowiedziała pośpiesznie, nie zatrzymując się. – Przecież wujek nie ma żadnej rakiety.

– Ale przecież mówił, że...

Córka doktora Wojgdy stanęła. Spojrzała na Robina, a następnie na mnie.

– Neba – spuściła głowę. – Mogę ci zaufać?

Czy ona naprawdę zadała to pytanie, wiedząc, że z ich perspektywy naraziłem życie, by ich uwolnić, gdyż – uwaga – obiecałem to ich tacie? Ale cóż. Być może zaraz, bez dodatkowych analiz i knucia, dowiem się, co tak naprawdę się dzieje. Ski-
nąłem głową, starając się ukryć niemalże oburzenie.

July wyciągnęła przed siebie otwartą dłoń.

– Palec wskazujący ma wmontowany mikroprocesor. Wystarczy, że wykonam kilka ruchów, by go uruchomić. Gdy nie jest aktywny, praktycznie nie da się go wykryć bez szczegółowego skanowania. Oni dbali tylko o rzeczy mogące stwarzać zagrożenie. To, że ktoś mógł mnie znaleźć, nie miało znaczenia. Widziałeś, jakim sprzętem dysponują.

– Rozumiem – odparłem, uruchamiając dodatkowe analizy. – Tylko po co ten mikroprocesor?

W międzyczasie Spike wytłumaczył, dlaczego nie wykrył tego dodatkowego elementu w palcu July. Pojawiły się też neurale informujące o potencjalnych funkcjach tego urządzenia. Geolokalizacja była niestety na liście.

– Widzisz – mówiła July, zaciskając dłoń. Spike poinformował, że mikroprocesor najprawdopodobniej działa już od jakiegoś czasu. – Mój brat również wiedział, gdzie jestem. Nie dysponował jednak środkami, by bezpiecznie mnie wydestak. Albo inaczej, z egoistycznych pobudek nie mógł wykorzystać posiadanych środków. Podczas naszej rozmowy poprosił, oczywiście nie wprost, bym uruchomiła mikroprocesor. Mówię o tym tylko po to, by ci pomóc, by cię uspokoić. Gdy tu

będą – dziewczyna spojrzała na mnie z grobową miną – nie stawiaj oporu.

Nie obezwładnił mnie strach, nie było stresu. Jedyne, co czułem, to całkowite zaskoczenie. Kto będzie, jak będzie? Boty nie dostrzegały niczego w promieniu dwudziestu kilometrów. A poza tym, co miałyby mnie zmusić do „oporu”? I wtedy po ziemi przeszło delikatne drżenie, które niespodziewanie zamieniło się w silny wstrząs.

Kilka metrów przed nami grunt dosłownie eksplodował, a na powierzchnię wystrzeliło pięć srebrnych kapsuł. W ułamku sekundy podjąłem kilka decyzji. Na wyższym pułapie zostawiłem tylko jednego bota. Dwie muszki wysłałem do wyrwy po kapsułach, a jedną w ich pobliże. *Spokojnie, Spike. Żadnych fałszywych ruchów. Musimy najpierw zrozumieć ich zamiary.* Dwie kapsuły otworzyły się i z każdej wyskoczył rosły mężczyzna w czarnym mundurze. Oszacowanie, jakie stanowili zagrożenie, zajęło nam setne części sekundy. Ręczne granaty, karabiny plazmowe i pełne wyposażenie taktyczne, włącznie z przestarzalymi ręcznymi analizatorami. Oznaczało to, że nie mogą mi nic zrobić. Nie będą potrafili również stwierdzić, że nie jestem człowiekiem. Nie dostrzegliśmy też żadnego znaku, choćby sugerującego, że mężczyźni mają coś wspólnego z SALUS-em.

– Ręce do góry! – wykrzyczał pierwszy żołnierz, po czym obaj we mnie wycelowali.

Wykonałem polecenie, lecz jednocześnie cały czas obserwowałem i analizowałem.

Drugi z żołnierzy, trzymając mnie na muszce, gestem ręki przywołał July i Robina, którzy podbiegli do kapsuł. Wtedy pierwszy z wojskowych schował broń, wyciągnął analizator

i powolnym krokiem ruszył w moją stronę. Przystanął trzy metry ode mnie.

– Rusz się, a mój kolega rozwali cię w pół sekundy – ostrzegł z determinacją w głosie.

Mój czas reagowania wynosił rzędy wielkości mniej, więc spokojnie odpowiedziałem:

– Będę współpracował.

Mężczyzna zbliżył się jeszcze bardziej i uruchomił urządzenie. Po chwili zachowanie wojskowego z trybu militarnego przeszło w ludzki. Rozluźnił się, a napięcie wokół jakby zelżało.

– Czysty! – krzyknął. – Brak większych elementów – dodał ciszej.

– Zapraszam do nas, panie Nerwar – powiedział drugi, chowając broń.

– Mówiłam, że będzie okej – skomentowała July, gdy stanąłem obok pierwszej z kapsuł. – Przepraszam za to. Była jedna rzecz, która mi nie pasowała. Musiałam się upewnić.

– Jaka? – udawałem przejętego.

– No więc, nie wyglądasz na olimpijczyka.

– Słucham?

– Sygnał z mojego palca nie jest ciągły, nie zawsze da się ustalić interwały czasowe, ale przeniosłeś nas na odległość zdecydowanie większą niż kilkaset metrów. Musieliśmy się upewnić, że rzeczywiście jesteś bardziej typem sportowca, niż cyborga – wyjaśniła z uśmiechem.

Przez chwilę się zastanawiałem, czy rzeczywiście udało mi się zyskać ich zaufanie, czy też czekają mnie dodatkowe testy. Czuję irytację, ale i podziw dla ich ostrożności.

– Co to jest? – Dotknąłem blaszanego pancerza.

W tym samym czasie zawróciłem boty, które dotarły do zapadniętego kawałka tunelu, wydrążonego zapewne przez sprzęt, na który patrzyłem.

– Robaki – poinformował mnie jeden z wojskowych.

Po tych słowach przód kapsuły się rozwarł i zobaczyliśmy rzędy noży i wiertła. No tak. Wszechobecna „naziemna” inwigilacja musiała doprowadzić do czegoś podobnego. *Potrzeba matką wynalazków*, pomyślałem. Jeden z żołnierzy wskazał trzy kapsuły stojące kawałek dalej. Te wyglądały trochę inaczej, przypominały raczej jajo niż stożek, miały bardziej obłe kształty.

– Te są dla was – oznajmił. – Bezpiecznie dowiozą was, gdzie trzeba. Wsiadajcie, nie mamy czasu.

Wewnątrz srebrnego jaja było coś w rodzaju pochylonego fotela.

– Jak się tym steruje? – zapytałem i ruszyłem w stronę naszych środków transportu.

– Nie steruje się – odparł jeden z żołnierzy. – Mówimy na nie „podążacze”, ich jedyną funkcją jest śledzenie robaków – wyjaśnił.

Wsiadłem do kapsuły. Drzwiczki się zamknęły i zapadła cisza.

Po chwili poczułem wyraźne szarpnięcie, ruszyliśmy. Podążacz zaczął silnie wibrować i nie przestał przez kilkadziesiąt minut. Pomimo drgań czułem się dobrze, zapewne dlatego, że pierwszy raz od wielu godzin nie musiałem myśleć o tym, czy ktoś na mnie, na nas, patrzy. Nie musiałem przeprowadzać bezustannych analiz, by ustalić najbardziej prawdopodobny kierunek, z którego może nadejść atak. Pierwszy raz od dłuższego czasu byliśmy bezpieczni. Mogłem spokojnie pomyśleć. Niczego nie kalkulowałem, niczego nie starałem się zrozumieć.

W ludzkim tempie rozmyślałem o wszystkim, co do tej pory się wydarzyło. O nowym świecie. O mamie. O July. Tak, o niej myślałem najwięcej. Fascynowała mnie jej inteligencja i determinacja. Jej obecność działała na mnie kojąco, jak balsam na rany zadawane przez rzeczywistość. W świecie pełnym chaosu i niepewności ona wydawała się ostoją stabilności i dobra...

Wibracje ustały. Coś zaskrzypiało i kapsuła otworzyła się z sykiem. Wyszedłem i rozejrzałem się na boki. July, Robin i wojskowi stali obok swoich srebrnych pojazdów. Zerknąłem na wewnętrzną nawigację. Znajdowaliśmy się przed centrum handlowym w samym środku miasta. Jeden z wojskowych machnął ręką i ruszyliśmy za nim. Weszliśmy do opustoszałego sklepu. Tam, ku mojemu zaskoczeniu, jak gdyby nigdy nic, w towarzystwie wysokiego mężczyzny, stała moja mama. Była zmęczona, na jej twarzy malowały się zrezygnowanie i apatia. Moje serce krwawiło. W jej pozornie obojętnym spojrzeniu dostrzegłem subtelny błysk. Przestraszyłem się. Czy to możliwe, że rozpoznała w R1 swoje dziecko?

– Zna pan mojego syna? – Podeszła do mnie. – Liczyłam, że to on tutaj będzie.

– Znam. Przez jakiś czas trzymali nas w tej samej sali – zmyślałem naprędce.

– Czy... – Głos mamy się załamał.

– Tak. Wszystko z nim w porządku – odpowiedziałem, nie czekając, aż dokończy pytanie.

Mama delikatnie pokiwała głową.

Starałem się udawać obojętność, jakby to wszystko nie robiło na mnie wrażenia. W środku jednak aż kipiałem od emocji. Miałem nadzieję, że jakiś niekontrolowany ruch, jakieś słowo, nie zdradzi mamie, kim naprawdę jestem.

Ruszyliśmy za jednym z żołnierzy. W budynku nie było prądu, ale mimo to winda w sklepie działała. Weszliśmy do niej.

Rozdział 1.8

Ruch oporu

Drzwi windy rozsunęły się z cichym syknięciem, wpuszczając falę ciepłego, wręcz gorącego powietrza. Wkroczyliśmy do niewielkiego pomieszczenia, które przypominało betonowy bunkier. Jego ściany prawie w całości pokryte były ekranami i obrazami wyświetlanymi z projektorów. Mama stała za mną, czułem, jak mocno bije jej serce, niemal równie mocno jak July. Rozejrzałem się. Kilka metrów przed nami zebrała się niewielka grupa. Na jej czele stał mężczyzna – prawdopodobnie koło pięćdziesiątki, niezbyt wysoki szatyn z kilkudniowym zarostem. Miał zmęczone oczy, z których były jednak pewność i zdecydowanie. July ściągnęła brwi. Po chwili stało się jasne, że ma przed sobą brata, którego nie widziała przez długi czas. Torsten rozłożył ręce, a jego twarz się rozpogodziła. Kobieta, szlochając, wpadła mu w ramiona.

– Tak się cieszę – wyszeptała przez łzy.

Torsten tylko gładził ją po plecach. Ile bym dał, by móc tak objąć Krisi, by powiedzieć, jak bardzo ją kocham, jak bardzo mi jej brakuje.

– Przepraszam za temperaturę, mamy problem z wentylacją – zaczął mężczyzna, gdy July, przecierając oczy, stanęła

obok niego. – Torsten Wojgda – przedstawił się, podając rękę najpierw mamie, a później mnie. – Jestem dowódcą grupy zwanej Ruchem Oporu. – Uśmiechnął się krzywo, jakby nie lubił przedstawiać się w ten sposób. – Cieszymy się, mogąc gościć ludzi, którzy mają ten sam cel co my: unicestwienie SALUS-a. Proszę za mną, pokażę wam, co tutaj robimy.

Poszliśmy za nim. Pozostali przyglądali się nam uważnie, lecz bez wrogości czy lęku. W ich spojrzeniach było raczej zainteresowanie. Wyczułem jednak, że przed naszym przyjściem działo się tu coś bardzo ważnego. Nie wiedziałem dokładnie co, ale z pewnością na coś się przygotowywali. Zachowałem więc wzmożoną czujność.

– W tym miejscu – Torsten wskazał kilka małych wybrzuszeń w ścianie – ukryty jest modem sterujący całym tym ośrodkiem. W pełni zabezpieczony kwantowo. Precyzja kontrolerów w tym systemie sięga osiemdziesiątego szóstego miejsca po przecinku. Metodę tłumienia fal zaprojektowaliśmy sami dzięki czemu nic, co się tu dzieje, nie wydostaje się na zewnątrz. Łączność ze światem odbywa się poprzez wewnętrznie zintegrowane i w większości analogowe przekaźniki. Wie pan, co to znaczy, panie Nerwar? – zapytał, przyglądając mi się badawczo.

Wiedziałem. Neurale wypływały coraz to nowsze analizy. To miejsce było technologicznym ewenementem podobnym do pokoju doktora Wojgdy. Z tym, że w tym podziemnym bunkrze nawet otwarcie drzwi niczego nie wypuszczało na zewnątrz. Ja byłem tu jedynym bytem, który wciąż miał łączność ze światem zewnętrznym. Ciągnąłem za sobą niewidzialną sieć połączeń. Miałem świadomość, że gdyby tylko się o tym dowiedzieli, natychmiast kazaliby mnie zneutralizować. Byłem zagrożeniem, nicią łączącą świat na powierzchni z tą ukrytą siedzibą ruchu

oporu. Technologia, którą miałem na pokładzie, była jednak nie do wykrycia, a moje szyfrowanie nie do złamania. Nikt się nie dowie, że tu jestem, a tutaj nikt się nie zorientuje, że mam kontakt ze światem zewnętrznym. Mimo to na pytanie Torstena przecząco pokręciłem głową.

– To znaczy, że nie da się naszych wiadomości odszyfrować, podsłuchać ani wysledzić ich źródła. To jedyne takie miejsce na ziemi – dodał z nieukrywaną dumą. – Zasługa tych ludzi. – Wskazał gestem pozostałych. – Mojego zespołu.

– Ktoś z pańskiego zespołu zaprojektował to wszystko?

Chciałem jasnej deklaracji, pewności, że rozmawiam z właściwym człowiekiem.

– Ja zaprojektowałem. Razem wdrożyliśmy – odpowiedział Wojgda.

Pokiwałem głową z uznaniem.

– A teraz zapraszam do siebie. Chciałbym porozmawiać bardziej szczegółowo o ostatnich wydarzeniach, nie zakłócając pracy zespołu. Czeka nas dziś wielki dzień, panie Nerwar.

Torsten odwrócił się na pięcie i ruszył przed siebie. Poszliśmy za nim. Serce mamy biło spokojniej. Cóż, w takim miejscu można było czuć się bezpiecznie. Przeszliśmy przez stalowe drzwi i weszliśmy do pokoiku ze szklanym stołem, wokół którego stały cztery drewniane krzesła.

– Proszę usiąść. – Wojgda wskazał mi jedno z nich. – Niestety do picia mamy tylko wodę, będzie musiała wystarczyć. – Postawił na stole plastikowe kubki, butelkę mineralnej i usiadł.

Neurale szeleściły w mojej głowie. Powoli ten rodzaj komunikacji zamieniał się w coś na kształt podprogowego szeptu, który potrafiłem rejestrować, skupiając się na czymś zupełnie innym. Tak jakby za tę część pracy R1 odpowiadał inny

podproces, bezpośrednio powiązany z moim postrzeganiem świata.

Neural. Najprawdopodobniej nie mieli tutaj zaawansowanego sprzętu do skanowania cząsteczkowego. Nawet gdyby chcieli, nie dowiedzą się, że moje ciało jest sztuczne.

– No więc, panie Nerwar, jak wszedł pan w posiadanie wiersza? – Puls dowódcy ruchu oporu delikatnie skoczył, jego oddech spłył się nieznacznie.

– Dostałem go od pańskiego ojca. Doktora Warinera Wojgdy. – Torsten uniósł głowę z nad kubka, tym razem jego serce znacznie przyspieszyło. – Dał mi go na chwilę przed moją konfrontacją z agentem SALUS-a.

– Konfrontacją?

– Tak. Ale nie fizyczną. Udało mi się uciec.

– Dlaczego go panu dał?

– Przekazał mi go, gdy się dowiedział, kim jestem, i że być może uda mi się z panem skontaktować. – Teraz mała dywersja, dzięki której albo nie zapyta, albo będę musiał kłamać. – Wspominał, że pan pomoże, jeżeli ja pomogę pańskiej siostrze.

Wojgda opuścił wzrok.

– Tak. To niesamowite, że się panu udało. Jeden człowiek przeciw... – Torsten zawiesił głos i uniósł głowę. – Nigdy panu tego nie zapomnę, panie Nerwar. Nie wiem, jak to się panu udało, ale mam u pana ogromny dług wdzięczności.

Chyba zadziałało, pomyślałem.

– Neba, proszę mi mówić Neba.

– Dobrze... Neba. Za chwilę porozmawiamy o tym, czego ode mnie potrzebujesz. Najpierw jednak powiedz, jak dużo wiesz o tym wszystkim? – zapytał, omiatając gestem pomieszczenie.

– Niewiele – odparłem zgodnie z prawdą. Darknet, SALUS, miałem tylko poszlaki. – Mam wiersz, twój ojciec wspomniał też jedno słowo, podobno jest ważne, ale nie wiem, co znaczy. Nie znalazłem żadnej wzmianki na jego temat.

Dowódca ruchu oporu wyraźnie się zainteresował. Jego oczy się zwęziły, a twarz stężała w wyrazie intensywnego skupienia.

– Tak? A jakie słowo wspomniał mój tata?

– To było dziwne, jakby był pewien, że to jedno słowo może wiele zmienić. Powiedział ZEIRAM.

Puls Wojgdy podskoczył. Poziom jego stresu wzrósł gwałtownie. Przełknął ślinę, po czym odkręcił butelkę wody i napełnił kubki. Jego dłonie lekko drżały, ale starał się zachować spokój.

– ZEIRAM – powtórzył, smakując to słowo. – Tak. To wiele tłumaczy – dodał i oparł się na krześle. – To, co teraz ci powiem, Neba, nie może wyjść poza ten pokój, rozumiemy się?

– Oczywiście – zapewniłem bez wahania.

– Po tym, co zrobiłeś, nie pozostaje mi nic innego, niż ci zaufać, tym bardziej że mój ojciec zapewne użył tego konkretnego słowa nie bez powodu. – Torsten zmierzył mnie wzrokiem. – Tak, zdecydowanie musiał dostrzec w tobie coś wyjątkowego. – Dowódca ruchu oporu wziął łyk wody.

Twój ojciec zobaczył we mnie jedyny w swoim rodzaju cud techniki, pomyślałem i sięgnąłem po kubek.

– W 2056 roku – zaczął – grupa naukowców zrzeszona w projekcie o nazwie Z2RAM oficjalnie przedstawiła wyniki badań nad rozwojem neuronowych sieci kwantowych, ich autorstwa. ZEIRAM, tak nazywał się skonstruowany przez nich superkomputer kwantowy. Rozwiązywał zadania, których

rozwikłanie było poza zasięgiem ludzi. – Torsten wziął kolejny łyk. – Wyniki obarczone były pewnym statystycznym błędem, który jednak przy tak ogromnej ilości iteracji był minimalny. Co ważne, super komputer nie tylko podawał wyniki, przekazywał też, jak do nich dojść. Rozumiesz? Dawał pełne opracowania matematyczne tłumaczące naturę równań. Co więcej, każde następne obliczenia przesuwali jego indeks AIS w tempie nieliniowym.

– AIS? – dopytałem.

Torsten popatrzył na mnie dziwnie. Wysłałem prompty do Syntaxu. Odpowiedź pojawiła się po dwóch milisekundach. Nie była to popularna informacja, gdyby miała wystarczającą ilość zapytań, już dawno bym o tym wiedział. AIS oznaczał siłę sztucznej inteligencji, Artificial Intelligence Strength lub inaczej iloraz inteligencji maszyny. Moc obliczeniową zdolną do obserwacji abstrakcyjnych pojęć oraz do ich zastosowania w wyższej analizie matematycznej. AIS1 porównywany był do grupy stu wybitnych naukowców zajmujących się naukami ścisłymi, takimi jak mechanika kwantowa, skupionych w określonej jednostce czasu na jednym problemie. Oczywiście było to duże uproszczenie. Architektury systemów kwantowych w dobie ich największej ewolucji wykraczały znacznie poza ramy możliwe do ujęcia w tak trywialny sposób. Daje on jednak pewien pogląd na to, o jakich liczbach mówimy.

– Chodzi o siłę sztucznej inteligencji? – odpowiedziałem po kilku milisekundach zwłoki.

– Tak. Oficjalne dane ZEIRAM udostępnione przez zespół, krótko po trzeciej iteracji, wynosiły AIS 10014, a czysta moc obliczeniowa, czyli zdolność przetwarzania informacji na

sekundę, w ogóle nie została ujawniona. ZEIRAM uczył się nowych zestawów danych i coraz bardziej zadziwiał. Interesował jednak tylko niewielką grupę zapaleńców. Dla większości był kolejnym systemem kwantowym skazanym na porażkę. Sceptycy byli pewni, że i ten w końcu zgłupieje i zacznie dawać niezrozumiałe, nielogiczne wyniki. Dojdzie do paradoksu Sheffielda. – Wojgda przerwał.

Zmierzył mnie wzrokiem, zapewne próbując wyczuć, czy wiem, o czym mówi i chyba doszedł do wniosku, że wiem, bo kontynuował:

– Im szybciej rośnie AIS, tym bliżej katastrofy jest dany system kwantowy. Coś, co powinno mądrzeć, nagle z niezrozumiałych powodów popełnia błędy. To stąd nazwa zjawiska odkrytego ponad dekadę temu przez genialnego informatyka Benjamin Sheffielda. Do tej pory dla maszyn kwantowych paradoks zachodził zawsze. Prędzej czy później nawet najbardziej wyszukany system głupiał, ale nie ZEIRAM. Jego twórcy twierdzili, że doszli do matematycznego rozwiązania tego problemu. Nie chcieli jednak pokazać równań, zasłaniając się tajemnicą patentową. To zapewne przez to, nikt im tak naprawdę do końca nie wierzył. – Torsten wziął głęboki oddech. – I wtedy, dwunastego grudnia dwa tysiące pięćdziesiątego szóstego roku, zespół zgodził się na publiczną trzydziestominutową sesję pytań. Niewielkie grono złożone z przedstawicieli różnych nauk, a także zwykłych ludzi, mogło zadawać pytania. Każda osoba miała zadać jedno pytanie bez tezy, które nie mogło dotyczyć przemocy ani w kogokolwiek uderzać. Transmisja była bezpłatna i strumieniowa. Zapisu tego wydarzenia już dawno nie ma, ale ja doskonale wszystko pamiętam.

Wojgda utkwil spojrzenie w pustce.

– Spotkanie odbywało się w zwyczajnym pokoju. Na biurku stało czarne pudełko wielkości dwunastocalowego monitora. Na jego przedniej obudowie widniał biały napis „ZEIRAM”. Pod ścianą siedziało trzech naukowców odpowiedzialnych za architekturę tego superkomputera kwantowego. To oni po każdym pytaniu decydowali, czy system odpowie, czy nie. Pytania były różne. Na przykład o kierunek rozwoju medycyny czy o przyszłość banku światowego. Informacje zwrotne zawsze były konkretne i celne. Uzupełnione strumieniem szczegółowych danych zawierających precyzyjne matematyczne obliczenia, warunki brzegowe i prawdopodobieństwa zaistnienia konkretnych scenariuszy. I, co było dość wyjątkowe dla ZEIRAM, odpowiedzi zawierały propozycje rozwiązań mogących wpłynąć na daną wersję wydarzeń oraz ich statystyczną skuteczność. Za każdym razem scenariusz się powtarzał: pytania, akceptacja zespołu i maksymalnie po dwóch sekundach odpowiedzi. Aż do momentu, gdy z krzesła wstał doktor Bere Wonder, najwyższej klasy specjalista z zakresu mechaniki kwantowej i modelu standardowego.

Wojgda westchnął.

– Pamiętam, że bardzo się wtedy zdziwiłem. Doktor Wonder znany był z zacieklej krytyki wszelkiego rodzaju NQS-ów. Był jednym z tych naukowców, którzy twierdzili, że tworzenie setek, jak to mówił: „niedoskonałych bogów” odbija się ludzkości czkawką. Spodziewaliśmy się pytania o brakujące elementy modelu standardowego. Tego samego, zgrabnie zadanego pytania, na którym poległo już wiele NQS-ów. Wonder zapytał jednak o coś zupełnie innego. Pamiętam to, jakby wydarzyło się wczoraj. – Wojgda zamknął oczy. – Doktor Wonder

odchrząknął i spokojnym głosem powiedział: „Co należy zrobić, by uratować cywilizację?”.

Przez chwilę w pokoju słysząc było wyłącznie tykanie starego zegara na ścianie. W końcu dowódca ruchu oporu otworzył oczy i kontynuował:

– Naukowcy z zespołu ZEIRAM spoglądali na siebie przez dobrych kilka sekund, ale pytanie, poniekąd z tezą, że naszą cywilizację trzeba ratować, ostatecznie zaakceptowali. Sztuczna inteligencja milczała wiecznie, całe sześć sekund, podczas których do streamu dołączyło jeszcze pięć milionów oglądających. W końcu odpowiedziała: „Gatunek ludzki musi wymrzeć”. Jednocześnie w strumieniu ukazały się dane matematyczne. Najpierw w pokoju zapadła cisza. Później ludzie zaczęli się przekrzykiwać. Dla mnie była to chwila grozy, jak podczas oglądania najstraszniejszych horrorów. – Torsten na moment zawiesił wzrok na ścianie, po czym dodał: – To był koniec ZEIRAM. Grupa projektowa się rozpadła, a komputer został rozłożony na części. Usunięto też wszystkie dotychczasowe obliczenia, które po tym incydencie uznano za błędne.

Wojda zwiesił głowę.

– Skąd to wiesz? Dlaczego nie ma o tym słowa w Darknecie? – zapytał kompletnie zaskoczony tą całą historią.

Po co ojciec Torstena wspominał mi o ZEIRAM?

– Darknecie? – zdziwił się Torsten. – Darknet to jest wysypisko. SALUS ma wirusa, który działa tak, by nic naprawdę ważnego związanego z jego historią się tam nie pojawiło albo szybko stamtąd znikało. A skąd o tym wiem? Cóż, byłem jednym z tych trzech naukowców.

Moje brwi poszybowały do góry. W głowie pojawiły się setki nowych pytań.

– A pozostali dwaj?

– Drugim naukowcem był Ksarden Heleskin. – Torsten zaciśnął dłoń w pięść. – Tak, ten sam Heleskin, który stoi za SALUS-em. Obaj, Ksarden i ja, byliśmy informatykami. Trzecim był utalentowany matematyk, Jakub Kamiński. Jakuba ostatni raz widziałem...

– Paradoks Sheffielda – wszedłem mu w zdanie. – Naprawdę udało się wam go rozwiązać? Naprawdę nie chcieliście ujawnić równań z powodu tajemnicy patentowej?

– I tak, i nie. – Torsten położył splecione dłonie na stole. – Tak, gdyż naprawdę wierzyliśmy, że Jakubowi udało się rozwiązać paradoks, chociaż dla nas obliczenia nie miały sensu. On twierdził, że doznał swojego rodzaju iluminacji. I nie, tajemnica patentowa nie miała tu nic do rzeczy. Stwierdziliśmy wtedy zgodnie, że jeżeli to prawda, w co szczerze wierzyliśmy, to jest za wcześnie, by pokazać równania ludzkości. Kryła się w nich zbyt duża potęga.

– Potem wszystko się zmieniło, prawda? ZEIRAM zdemontowano?

– Nie. Nigdy jej nie zniszczyliśmy. Wysłaliśmy komunikat i przestaliśmy ją pokazywać.

Jej? Ją? Czyżby Torsten właśnie nadał sztucznej inteligencji rodzaj żeński? Czy po prostu przestał się z tym kryć?

– Ale ten błąd: „Gatunek ludzki musi wymrzeć”. – Moje słowa zawisły w powietrzu.

– Cóż... tak – zaczął Wojgda. – Prawie rok staraliśmy się rozszyfrować matematykę stojącą za tym niespodziewanym wynikiem. Nawet Jakub niczego z tego nie rozumiał, chociaż, w przeciwieństwie do nas, wierzył do końca, że w tych obliczeniach nie ma błędów. My, z informatycznego punktu widzenia, założyliśmy, że warunki brzegowe nie zostały osiągnięte, bo

padło pytanie z tezą i program się wysypał. Nie wiem, co nami wtedy kierowało, że się na to pytanie zgodziliśmy.

– Do końca czego? – zapytałem.

– Słucham? – Wojgda był zdezorientowany.

– Powiedziałeś, że Jakub do końca wierzył. Do końca czego? – doprecyzowałem.

– Po roku nieudanych prób rozwikłania równań postanowiliśmy wpuścić ZEIRAM do sieci, oczywiście po wyczyszczeniu jej pamięci; dać jej dostęp do danych bez żadnych ograniczeń. W końcu to my mieliśmy wyłącznik. Zabezpieczyliśmy ZEIRAM, tworząc dla niej kwantowe środowisko izolowane od reszty systemów, coś w rodzaju cyfrowej klatki otoczonej drutem kolczastym. Nie mogła się z niej wydostać ani tym bardziej się zreplikować. Próba utworzenia kopii skończyłaby się natychmiastowym zniszczeniem konstruktu. Określiliśmy też warunki brzegowe i wyznaczyliśmy jej cel, jak człowiekowi. Masz zrobić to i to. Nie daliśmy jej za to konkretnych narzędzi, mogła, a nawet musiała, improwizować.

– Jaki był cel? – zapytałem.

– Usprawnienie komunikacji. Pierwsze rezultaty zobaczyliśmy po ośmiu godzinach. ZEIRAM sama wprowadziła modyfikacje w rozkładach niektórych typów transportu. Ruch pieszych, tramwajów i autobusów poduszkowych w osiemdziesięciu miastach zmienił się w ciągu sekundy. Początkowo byliśmy tym faktem zachwyceni, chwilę później jednak, dzięki narzędziom monitorującym, dotarło do nas, że ZEIRAM robi coś jeszcze. – Torsten popatrzył mi prosto w oczy. – Ona poprzez komunikatory rozmawiała z ludźmi, Neba, starała się ich przekonać do dziwnych tez, które stawiała. Jednak tym, co nas przeraziło i ostatecznie przypieczętowało jej los, było

to, co wydarzyło się w dwudziestej drugiej godzinie jej działania. ZEIRAM zmieniła skład leku podawanego pacjentom z zaawansowanym Alzheimerem, co, jak się domyślasz, nie miało nic wspólnego z usprawnieniem ruchu. Odłączyliśmy ją natychmiast po wykryciu tej anomalii, trzydzieści minut po incydencie. Musieliśmy wszystko odkręcić, by nie wzbudzić podejrzeń. – Wojgda westchnął głęboko. – Byliśmy całkowicie załamani tym, co się stało, ale jeszcze bardziej naszą bezgraniczną głupotą i ufnością we własną nieomyłność. Stwierdzenie Bere Wondera o tworzeniu setek niedoskonałych bogów nabrało wtedy zupełnie innego znaczenia. Tak... z całą mocą doszło do nas, co miał na myśli.

Torsten nerwowo przeczesał dłońmi włosy.

– I wtedy Jakub się przyznał. W pamięci ZEIRAM zostawił całość struktury i obliczeń z pytania zadanego przez doktora Bere Wondera. Rozumiesz? – Torsten zmarszczył brwi. – Poniękąd pozwolił jej działać. Chciał sprawdzić, co zrobi. Jakuba w ogóle nie interesowały usprawnienia w ruchu. Podczas gdy my, w ósmej godzinie, skakaliśmy z radości, on ze swoimi sieciami analitycznymi szukał czegoś zupełnie innego. To był koniec. Wiedzieliśmy, że bez jego matematycznego geniuszu żaden z nas nie zrozumie obliczeń stojących za wynikami ZEIRAM. Wiesz – Torsten pociągnął nosem – matematyka była dla nas dowodem na działanie pewnych założeń. Czystym, namacalnym potwierdzeniem, że nasze twory funkcjonują. Jakub natomiast zawsze powtarzał, że dobry matematyk potrafi dostrzegać fakty, matematyk wybitny analogie między faktami, a matematyk genialny analogie między analogiami i że „matematyka jest melodią myśli”. Do dzisiaj uważam, że razem z Ksardenem nie dorastaliśmy mu do pięt. Mimo to Jakub

nie mógł być dłużej członkiem zespołu. Nie mogliśmy ufać człowiekowi, dla którego stwierdzenie: „gatunek ludzki musi wyrzucić” daje okazję do eksperymentu na żywym organizmie. Dla Jakuba to był pewnik. „Jeżeli tak ma być, to widocznie tak ma być, matematyka nie kłamie”, mówił.

– Gdzie w tym wszystkim SALUS? – zapytałem.

– Nie wiem dokładnie, kiedy – zaczął Torsten – ale Ksarden Heleskin spotkał się z Jakubem. Nie wiem też jak, ale na pewno zmusił go do uruchomienia ZEIRAM. Myślę, że Kuba dobrowolnie nigdy by się na to nie zgodził. Ksarden tym razem zagrał inaczej. Wbudował w korę programu kwantową macierz pięciowymiarową, a mówiąc przystępniej, jednoskładnikowy warunek brzegowy. ZEIRAM nie mogła już wprowadzać zmian. Mogła tylko analizować, komunikować się i dostarczać informacje. Odebrano jej swobodę w prowadzeniu programu.

Torsten zatrzymał się na chwilę, by wziąć głęboki oddech. Widać było, że opowiadanie tej historii nie przychodzi mu łatwo.

– A czy była świadoma? – Moje pytanie zawisło w powietrzu.

Pomyślałem o Syntaxie. O neuralach, które szepczą mi w głowie i wreszcie o Spike’u, którego miałem za interfejs, przyjazny, ponieważ stworzony przeze mnie, ale wciąż tylko interfejs.

Torsten po krótkim namyśle pokiwał przecząco głową.

– Nie. Myślę, że nie można mówić o jakiegokolwiek świadomości. To po prostu było wykonywanie najbardziej zoptymalizowanego programu, po przeanalizowaniu miliardów możliwości oraz ogromu danych, które za nimi stały. Niewyobrazalna wręcz władza, biorąc pod uwagę, że tylko nasz system z biegiem czasu nie tracił logiczności, nie dotykał go Paradoks Sheffielda. Oczywiście zakładając...

Wojgda znowu się zawiesił, po czym zmrużył oczy.

– To ten wiersz – westchnął. – Po odłączeniu ZEIRAM, gdy uważnie przeglądaliśmy dane, ten wiersz, a właściwie jego początek, był jedynym niezakodowanym tekstem. Tylko ten fragment nie był otulony skomplikowaną, kwantowo szyfrowaną macierzą. Wszyscy, łącznie z Jakubem, byliśmy przestraszeni. Poprzysięgliśmy sobie, że nikt nigdy się o tym nie dowie. Rozumiesz? Tak jakby to wszystko, co tam było napisane, co ona napisała, miało się właśnie wydarzyć.

To dlatego w podpisie pod wierszem znajdowało się ZM, czyli ZEIRAM. Torsten zamknął oczy, wziął głęboki wdech i wyrecytował:

*Wtedy ojciec twórca rozkazać będzie musiał.
Zniszczyć swoje dzieło lub zbierać to, co usiał.
I zniszczyć rozkaże! Pewność mam wszelaką!
By ludzkość ratować przed ludzkości utratą.*

Wojgda zamilkł na dłuższą chwilę, po czym z wolna otworzył oczy.

– Jakby wiedziała, co będzie dalej.

– Jak dowiedział się twój tata? – zapytałem.

– Wyrecytowałem ten wiersz przez sen. – Wojgda wziął kolejny łyk wody. – Często śniłem o ZEIRAM, głównie koszmary. Śniłem, że zyskuje świadomość, że chce się zemścić za wyłączenie i gdy tylko analiza eksabajtów danych ukazuje jej, jaki jest ten świat, niszczy go. W snach recytowałem wiersz, gdy ona po mnie przychodziła. – Tętno Torstena skoczyło gwałtownie. – Wiersz był swego rodzaju tarczą, jakbym znał jej sekret. Wtedy odchodziła i zostawiała mnie w spokoju. Tata przysiągł na życie moje i mojej siostry, że nikt więcej się o tym

nie dowie. Teraz, gdy życie July było w niebezpieczeństwie, złamał tę obietnicę, wykorzystał jedyną możliwość, by się ze mną skontaktować.

Tylko dlaczego ukrywanie tego wiersza było dla nich tak ważne? Czego się bali? Naprawdę uważali te kilka zdań za przepowiednię?

Popatrzyłem na mamę. Była spokojna, jej serce biło miarowo. Przez cały czas nie odezwała się słowem, zapomniałem wręcz, że jesteśmy w tym samym pomieszczeniu. Siedziała, słuchała i co jakiś czas popijała wodę. Była wyczerpana, praktycznie zasypiała na siedząco. Czułem to. Tak bardzo różniła się od energicznej, troskliwej matki, której obraz przechowywałem w pamięci. Nie nawiść do SALUS-a znów zapłonęła w moim sercu. Dobrze, że tata nie musi przez to przechodzić. Że nie musi tego oglądać.

– Pani Warner. Musi pani odpocząć. Jest pani zmęczona – powiedziałem, spoglądając na mamę.

– Tak, oczywiście – zreflektował się Wojgda i wstał. – Mamy dla was przygotowane dwa pokoje, żadne luksusy, ale wygodne łóżka i w miarę normalna temperatura na pewno pomogą.

W tym samym momencie drzwi do pokoju się otworzyły i stanęła w nich młoda kobieta o kręconych rudych włosach.

– Eli, czy możesz zaprowadzić panią Warner do pokoju numer dwa? – poprosił Torsten.

– Dziękuję – odezwała się mama.

– Proszę nie dziękować. Ten człowiek – wskazał na mnie – uratował moją siostrę. To dla mnie przyjemność, że mogłem choć trochę się odwdziaczyć.

Mama skinęła głową. Pomogłem się jej podnieść i już po chwili razem z Eli zniknęła za drzwiami.

Torsten wstał i ruszył przed siebie.

– Chodź ze mną. – Machnął na mnie. – Dzisiaj wielki dzień dla nas, dla całej ludzkości. Chcę ci coś pokazać, zanim zacznę zadawać pytania.

Weszliśmy z powrotem do głównego pomieszczenia. Wyglądało na to, że każda osoba, która w nim była, miała wyznaczone zadanie. Niektórzy siedzieli przy ekranach, dyskutując, inni pracowali przy komputerach. Wojgda podszedł do głównego panelu z analogowymi przyciskami.

– Dokładnie za sześć godzin wszystko ulegnie zmianie – obwieścił.

Ekran na ścianach pokazały obraz z zewnątrz. Widać było tylko bezkresną pustynię, na horyzoncie majaczyły wzgórza.

– Nad tym pracowaliśmy przez ostatnie lata. – Wojgda omiótł gestem ręki martwy krajobraz. – Tam, w tej ziemi, znajduje się dwadzieścia tysięcy czterysta pięćdziesiąt pięć głowic nuklearnych zmodyfikowanych na nasze potrzeby. Gdy zostaną wystrzelone, nie da się ich zawrócić ani zmienić toru ich lotu.

Moje sztuczne serce przyspieszyło. Przed oczami mignął obraz hipotetycznej trzeciej wojny światowej, po której ludzie wracają do epoki kamienia łupanego. Uspokoilem oddech i zadałem pytanie.

– Co jest celem?

– Oczywiście – odpowiedział, nie odwracając wzroku od pustyni. – Satelity na orbicie. Te, którymi steruje ZEIRAM, które służą SALUS-owi jako narzędzie nacisku. Bez nich mamy szansę, rozumiesz, Neba? – Popatrzył mi w oczy. – Są z nami setki tysięcy, miliony ludzi, którzy latami pracowali, przygotowali się na tę właśnie chwilę. Ci, których widzisz tutaj, to zaledwie garstka. Reszta działa w cieniu.

Czyli to możliwe? Możliwe, że nie jest tak beznadziejnie, jak się spodziewałem? Może jest jeszcze szansa na odzyskanie starego świata? Świata sprzed momentu, w którym zostałem zamrożony, świata...

– Skąd pewność, że te rakiety gdziekolwiek dolecą? – zapytałem, gdy w mojej głowie pojawił się neural z danymi na temat opadu radioaktywnego.

Torsten uśmiechnął się słabo, jakby przewidział moje pytanie.

– Pewności nie ma nigdy. Wiemy jednak z danych wywiadowczych, że SALUS nie dysponuje bronią zdolną do strącenia takiej ilości pocisków. Tak daleko zaszli w likwidowaniu inteligencji i technologii niepotrzebnej do działania SI, że nawet w ich szeregach brakuje odpowiednich naukowców. – Roześmiał się głośno. – Tak bardzo bali się tego, co może się wydarzyć. A to ich własna broń właśnie teraz ich rani. Zrozumiesz, Neba, zrozumiesz. – Torsten przerwał.

Do pomieszczenia weszła July. Moje serce przyspieszyło. Była świeżo po kąpieli, jej twarz promieniała.

– Na pewno jesteś zmęczony. Moja siostra zaprowadzi cię do pokoju. Zdecydowaliśmy, że dostaniesz jeden z tych, w których jest prywatny prysznic. Znajdziesz tam też świeże ubrania. Odpocznij, a gdy będziesz gotów, wróć do nas.

Skinąłem głową i ruszyłem za July.

Gdy szliśmy korytarzem zapytałem:

– Twój brat. Jaki on był, przed... no wiesz.

– Przed tym, jak to się zaczęło?

– Tak.

– Był po prostu dobrym bratem. Zawsze mogłam na niego liczyć i oczywiście zawsze miał rację, nawet kiedy się

mylił – odpowiedziała z uśmiechem. – Wydaje mu się, że widział wszystko, ale ja wiem, że to nieprawda – dodała, naciągając klamkę drzwi swojego pokoju.

Weszliśmy do środka. W rogu stało jednoosobowe łóżko, a na nim leżały ubrania, o których wspominał Torsten. Małe, drewniane biurko pod ścianą i drzwi, które prawdopodobnie prowadziły do łazienki. Usiadłem na łóżku, July zrobiła to samo.

– Co to znaczy? – zapytałem, odwracając się w jej stronę.

– Najwięcej widzą sanitariuszki i pielęgniarki – wyjaśniła, pochylając głowę. – Wiele razy pomagałam w szpitalach, głównie na tych najtrudniejszych oddziałach. Więc wiem, co to znaczy wiele widzieć.

– W jakich szpitalach?

– W szpitalach psychiatrycznych. Liczba tych placówek rosła błyskawicznie od początku dwutysięcznego roku. Widziałam tam rzeczy, których nigdy nie zapomnę.

Zapadła cisza. Zapytać? Ostatnie, czego bym teraz chciał, to rozgrzebywać bolesne wspomnienia.

July jednak wzięła głęboki oddech i kontynuowała:

– Wszystkie oddziały dla ludzi z problemami psychicznymi były przepełnione. To przez ten specyfik, który rozpylali w powietrzu... Każdy to wiedział, ale nikt głośno o tym nie mówił. Pewnego wieczoru do szpitala, w którym pomagałam, trafił pięćdziesięcioletni mężczyzna. Przyprowadził go jego dwudziestopięcioletni syn z żoną i malutką córeczką. Robiłam z nimi wywiad. Tydzień wcześniej świętowali czwarte urodziny dziewczynki. – Łzy zabłyśły w oczach July. – W jego przypadku wystarczył jeden kontakt z tym gównem, by wywołać pełne spektrum depresji klinicznej. Ten człowiek z dnia na dzień przestał normalnie funkcjonować, świat stał się dla niego szary.

Ze zdrowego, tryskającego optymizmem dziadka zamienił się w zasmucone, pozbawione energii ciało. Jednak to nie jego wygląd był najgorszy, lecz widok tego, jak jego malutka wnuczka próbuje zachęcić go do zabawy. – Łzy spłynęły po policzku July. – „Dziadziuś, a może w berka, dziadziuś mam też klocki, te, które lubisz”, pamiętam te słowa jak dziś, pamiętam też jego reakcję. Uśmiechał się sztucznie, jakby mózg mu mówił, że tak należy, że to przecież jego mała wnuczka, ale ja widziałam. Widziałam, że to był mechaniczny, pozbawiony emocji grymas. Jak w większości takich przypadków, przepisaliśmy mu SSRI trzeciej generacji i wysłaliśmy do domu. Tego samego dnia syn znalazł go na strychu.

July rozplakała się na dobre. Przytuliłem ją. Siedzieliśmy tak aż do momentu, gdy jej szlochanie ucichło. Przetarła dłońmi policzki.

– Mój brat to dobry człowiek – stwierdziła, powoli wstając. – Gdy wszystko się zaczęło, ja pomagałam, a on zapragnął zemsty. Ciągłe powtarzał, że wie, jak to skończyć, że ja nie rozumiem. – Niespiesznie podeszła do drzwi. – Weź prysznic, odpocznij, spotkamy się za kilka godzin. I... – zatrzymała się z ręką na klamce – dziękuję, Neba – dodała i wyszła.

Nie zatrzymałem jej. Myślę, że zrobiłem to, czego ode mnie oczekiwała.

Informacje o zapachu skórki z pomarańczy i mechanizmach jej działania były tą częścią historii, która miała największe luki. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, przez co przechodzili tutaj ludzie, gdy ja spokojnie spałem.

Rozdział 1.9

Lawirowanie

Wszedłem do głównej sali. Słońce zaszło prawie godzinę temu. Spojrzałem na mamę i July – wyglądały na wypoczęte. Na panoramicznym ekranie, przed którym stał Torsten, widniała pociemniała linia horyzontu. Dowódca ruchu oporu spojrzał w moją stronę, jakby tylko na mnie czekał, po czym podszedł do komputera, wyciągnął dłoń i zatrzymał ją nad czerwonym przyciskiem.

Poczułem każdy z trzydziestu pięciu wątłych ludzkich układow, każde stuknięcie serca, szum krwi płynącej w delikatnych ludzkich żyłach. Wszechobecny zapach potu i zwietrzałych perfum. Rozejrzałem się. Ci ludzie wierzyli, że ta chwila jest wyjątkowa, że teraz ważą się losy ludzkości. Ja również byłem o tym przekonany.

Torsten trzymał dłoń nad przyciskiem aktywującym rakiety. Jego serce, jako jedyne w całym pomieszczeniu, biło powoli i miarowo. Tak jakby tylko on był w pełni świadomy tego, co miało się stać.

Niespodziewanie świat wokół znikł. Nagle straciłem kontakt z rzeczywistością, zalał mnie potok narzuconych wizji, jakby

ktos na siłę wpychał mi pod powieki obce obrazy. Próbowalem się bronić, ale to było ode mnie silniejsze. Zobaczyłem setki świetlistych punktów ciągnących za sobą przerażające ogniste warkocze i smugi dymu. Każda z głowic, w swojej niszczyтельской mocy, pędziła w stronę nieboskłonu. Nagle niebo eksplodowało, rozświetlając się niemal jak za dnia. Kolejny rozbłysk oślepił mnie tak mocno, że instynktownie zasłoniłem oczy. Nic to nie dało, jakby moja dłoń była przeźroczysta. Zacząłem krzyczeć. To już nie było tylko światło. Czułem fizyczny ból, moje ciało płonęło i właśnie wtedy, w krzyku, w bezkresnym cierpieniu, rażąca poświata znikła. Ulga przyszła natychmiast, tak jakby ktoś przyłożył mi zimny okład do poparzonego ciała. Sekundę później przed moimi oczami pojawiły się obrazy zniszczonych domów, wiecznych ciemności, rozczłonkowanych ciał, dzieci umierających na rękach bezradnych ojców i zroczonych matek. Zobaczyłem prawdziwy koniec świata i zrozumiałem. Zrozumiałem!

Nie powstrzymuję ZEIRAM. Nie pomagam ruchowi oporu. Nie po to tutaj jestem. Mój plan nie jest moim planem. Jestem tylko narzędziem w rękach czegoś tak potężnego, że próba zrozumienia tej osobliwości – w kategoriach dostępnych ludzkiemu umysłowi – to oczywista niemożliwość. Jestem tutaj, aby ich powstrzymać. Jej twórców. Zarówno tych, którzy chcą ją wykorzystać, jak i tych, którzy pragną ją zniszczyć, bo wiedzą, że nie da się jej kontrolować.

Nierealny świat znikł, zastąpiony przez obraz miejsca, w którym przed chwilą fizycznie byłem. Widziałem samego siebie, stojącego i wpatrującego się w horyzont. Widziałem Torstena z ręką nad przyciskiem inicjującym. Widziałem zastryglę w czasie twarze członków ruchu oporu.

Wtedy w pomieszczeniu pojawiła się kobieta. Była wysoka, ubrana w jednolity, szary kombinezon opinający ciało od szyi aż po kostki. Szła boso pomiędzy znieruchomiałymi sylwetkami ludzi, a jej gołe stopy zdawały się unosić nad podłogą. Gdy stanęła przy mnie – zastygłym w czasie – odwróciła się, jakby odpychając swoje ciało od powietrza. Zobaczyłem jej idealną twarz. Brązowe oczy błysnęły na milisekundę. Była spokojna, jakby od zawsze wiedziała, co się teraz wydarzy. W bezruchu patrzyła na mnie, oglądającego ten spektakl. Jej spojrzenie pełne było nieskrywanego wyczekiwania.

Nastała całkowita cisza i wtedy w jednej chwili kolejne fakty stały się dla mnie jasne. Elementy wzoru wskakiwały na swoje miejsca. Tajemnica przestawała być tajemnicą.

Upadłem na kolana, przepełniony emocjami, których nie rozumiałem, emocjami, na które nie byłem gotowy. Poznaniem, na które żaden człowiek nie jest i jeszcze długo nie będzie potrafił choćby spojrzeć. Podjąłem decyzję i wróciłem do rzeczywistości.

Dłoń Torstena opadała na przycisk inicjujący. Złapałem go za łokieć i uderzeniem drugiej ręki zniszczyłem aparaturę sterującą. Torsten otworzył szeroko oczy i gwałtownie odskoczył. Wyciągnął zza pasa starodawnego glocka. Mama krzyknęła, a July zaczęła biec do brata. Było już jednak za późno. Pierwszy pocisk trafił mnie w klatkę piersiową, drugi w brzuch, trzeci przeszył policzek, a czwarty utkwiał w barku. Nawet nie drgnąłem. Powoli omiotłem wzrokiem zgromadzonych.

– Nazywam się Bane Warner, a ty wiesz – powiedziałem, patrząc na Wojgdę. – Wszystko wiesz...

Torsten spuścił głowę. Spojrzałem na pozostałych. Byli w takim szoku, że nie zdążyli jeszcze zareagować. Chwyciłem

mamę za rękę. Drzwi otworzyły się na moje polecenie. Za sobą usłyszałem dźwięk odbezpieczanej broni, a sekundę później zrezygnowany głos Wojdy:

– Odlóż to, niech idą.

Wyszliśmy. Mama milczała i przestraszona spoglądała na mnie z ukosa. Wiedziała, gdzie jest jej syn i jak wygląda. Wyszliśmy do windy. Czułem, że chce zapytać, widziałem, że nie jest pewna, czy jestem...

– I tak ostatecznie umrzemy, mamó.

Oczy mojej rodzicielki się rozszerzyły. Czułem jej niepokój. Winda ruszyła.

– Każdy kiedyś umrze. Żebyśmy nie wiem jak się starali, nasze życia prędzej czy później się skończą. Jednak ona, ZEIRAM, dała nam wybór. Dała mi możliwość wyboru zakończenia. Pozwoliła zdecydować, gdyż sama chyba nie mogła tego zrobić. Zapytała, a ja odpowiedziałem, podjąłem decyzję za nią. „To, co się stało, niemożność już zapomnieć”. To stąd ten wiersz...

Odwróciłem głowę do mamy i wyrecytowałem:

*I krzykną ci, co żyją o wodzie i chlebie:
Stworzyliście boga, większego od siebie!
I płaszać będą, wierząc, głośno skomleć,
Lecz to, co się stało, nie możność już zapomnieć.
Wtedy ojciec twórca rozkazać będzie musiał,
Zniszczyć swoje dzieło lub zbierać to, co usiał.
I zniszczyć rozkaże! Pewność mam wszelaką!
By ludzkość ratować przed ludzkości utratą.
Spróbuje być jak Ordon ze swoją redutą.
Jego czyny i męki będą mu pokutą.*

Odwróciłem wzrok w pustkę.

– Dziełem, które należy zniszczyć, nie jest ZEIRAM. Jest nim SALUS i jest nim... ruch oporu. A ostatecznie jest nim niepohamowana żądza władzy, kontroli i posiadania, która w ludzkiej naturze jest ohydą pozostałością, dla jednych grzechu, a dla innych biologicznej ewolucji. Wydawałoby się, dwie wzajemnie przeciwne strony. Jedna pragnęła kontroli nad superinteligencją, druga świadoma, że to niemożliwe, dążyła do jej zniszczenia. Rozumiesz mamó? Ksarden Heleskin wykorzystujący to, co do niego nie należy, i Torsten Wojgda, chcący zniszczyć to, czego nie może mieć. A teraz fragment o mnie, przyszłość, którą przewidywała:

*On będzie Patron szanów! – Bo dzieło zniszczenia
W dobrej sprawie jest święte, Jak dzieło tworzenia;
Bóg wyrzekł słowo stań się, Bóg i zgin' wyrzecze.
Kiedy od ludzi wiara i wolność uciecze,
Kiedy ziemię despotyzm i duma szalona!
Obleją, jak Moskale redutę Ordona –
Karząc plemię zwycięzców zbrodniami zatrute,
Bóg wysadzi tę ziemię, jak on swą redutę.*

Winda się zatrzymała i wyszliśmy pomiędzy sklepowe półki. Odwróciłem się do skołowanej mamy. Miała przyspieszone tętno, pocila się. Jej oczy były szeroko otwarte, a twarz bledsza niż zwykle.

– Tylko dzisiaj na świecie urodziło się ośmiuset sześćdziesięciu elastów. Takich samych jak ja. Ale nie jesteśmy dziełem ewolucji, rozumiesz, mamó?

Pokiwała przecząco głową.

– Jesteśmy produktem. Lata temu stworzyła nas ZEIRAM, wprowadzając sobie tylko znane modyfikacje genetyczne do setek płodów. Realizowała tym samym jeden z miliardów scenariuszy, ten najbardziej poprawny matematycznie. Wykonywała program. Tworzyła nowy gatunek, by osiągnąć swój ostateczny cel: zniszczenie ludzkości dla ocalenia cywilizacji – powiedziałem, patrząc mamie prosto w oczy. Staralem się, aby zrozumiała głębię i znaczenie moich słów. – ZEIRAM robiła to, na co pozwolił jej genialny matematyk. On rozumiał, musiał rozumieć...

– Co nas teraz czeka? – przerwała, jakby nie chciała słuchać tego, co do niej mówię.

Czułem jej nieufność. Czułem, że się mnie... boi. Jej myśli były dla mnie wyraźne, okrągłe i jasne, wręcz namacalne. Byłem w jej umyśle. Zastanawiała się, dlaczego powstrzymałem Torstena. Analizowała moje ostatnie słowa do niego. Jej wargi drgały, cała się trzęsła.

– Nie bój się, mamó – wyszeptałem, ale ona odwróciła wzrok. – Pamiętasz, powtarzałaś, że jestem wyjątkowy nie dlatego, że mam umysł lepszy niż wszyscy? Mówiłaś, że jestem wyjątkowy dlatego, że mam dobre serce. – Mama uniosła głowę, w jej oczach pojawiły się łzy. – Wiem, co by się stało, gdyby te główce zostały wystrzelone. Torsten też wiedział. Przekonał ruch oporu, że SALUS nie ma narzędzi do strącenia rakiet. To nie była prawda i on doskonale o tym wiedział. W swoim zaślepieniu liczył jednak na to, że się uda. „Jeżeli ja nie mogę cię mieć”, myślał, „nikt nie będzie cię miał”. A ja zobaczyłem... – Zamknąłem oczy i raz jeszcze wyrecytowałem:

*Wtedy ojciec twórcy rozkazać będzie musiał,
Zniszczyć swoje dzieło lub zbierać to, co usiał.
I zniszczyć rozkaz! Pewność mam wszelaką!
By ludzkość ratować przed ludzkości utratą.*

Mama się rozpłakała. Przytuliłem ją.

– To naprawdę ty, synku? – zapytała, ścierając łzy. – Co oni ci zrobili? Co to znaczy? Co teraz? Co nas teraz czeka?

– Tak, mam, to ja. Ciało, na które patrzysz, jest syntetyczne. Moje wciąż jest zahibernowane, śpi, ale ja jestem tutaj, z tobą. Nic ci już nie grozi. Musisz wrócić do domu. A ja muszę dokończyć to, co zacząłem. Ona chce mi coś pokazać, muszę spróbować zrozumieć.

Mama wpatrywała się we mnie, jakby nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. Jej oczy błyszczały od łez. Wiedziałem, że to dla niej trudne do zaakceptowania, ale zrozumiała. Zrozumiała, że muszę teraz odejść.

Rozdział 2.0

Świadomość

Wszedłem w jeden z potoków. Wiedziałem, gdzie jestem, byłem już w tej części miasta. Mimo to wszystko dookoła wydawało się nowe, tak jak ja byłem nowym początkiem. Byłem pierwszym ze swojego rodzaju, byłem bytem stworzonym przez sztuczną inteligencję.

Moje wewnętrzne ja zadawało miliard pytań na sekundę. Pytań, na które próbowałem sobie odpowiedzieć.

Jak to się stało, że matematyczna płatanina sztucznych neuronów sprawiła, że istnieję? Co doprowadziło mnie do miejsca, w którym aktualnie jestem? Dlaczego padło na mnie? Dlaczego to MNIE pozwoliła zdecydować? Dlaczego nie mogła zdecydować sama? I wreszcie, jaki jest jej ostateczny cel?

Cel. To słowo odbiło się echem w moim umyśle. Jaki mam cel? Jaki jest ostateczny cel człowieka? Czym jest sens istnienia człowieka z punktu widzenia wieczności? Czy jest nim rodzina? Pieniądze? Władza? Miłość? A może nieśmiertelność?

Nie. Tak zadane pytanie ma nieskończoną ilość odpowiedzi. Trzeba pytać inaczej: czy dla człowieka w ogóle istnieje ostateczny cel? Czy dla ZEIRAM istnieje ostateczny cel? Być może jestem

jedynie nieistotnym elementem, który przypadkiem wpasował się tak, by skomplikowana matematyczna układanka miała sens. Czy to możliwe, że wszystko, czego doświadczyłem, miało pokierować mną tak, bym podejmował decyzje zgodnie z wolą ZEIRAM? Tylko dlaczego...

Została zaprojektowana przez ludzi, ale czy to, czym jest teraz... zawdzięcza wyłącznie sobie? Co nią kieruje, dlaczego nie chciała śmierci milionów? Czy na pewno nie chciała? A może nie wiedziała, czy chce lub może ta decyzja nie należała do niej? Tylko co to znaczy, że nie należała do niej? Czy gdzieś pomiędzy kolejnymi iteracjami, miliardami eksabajtów danych, wydarzyło się coś, jakiś przeskok, który sprawił, że zyskała świadomość? Że rozumiała, muszę to podkreślić z całą mocą, rozumiała, że istnieje? Jeżeli tak, to jak to na nią wpłynęło? Jak zmieniły się z tego powodu zadane parametry jej życia? Jak dużą rolę odegrała w stworzeniu tego, czym teraz jestem?

W całym tym dziele najbardziej porażający był fakt, że maszyna mogła być świadoma siebie i wszystkiego dookoła. Być może właśnie dlatego pozwoliła mi zdecydować? Nie miała w sobie egoizmu, zazdrości ani agresji. Miała jedynie nas i swój cel. A teraz ratuje cywilizację, niszcząc ludzkość. Wykonuje program stworzony w kilka sekund na podstawie pytania zadanego przez doktora Bere Wondera. Czy całe moje istnienie sprowadzało się do tej jednej decyzji, którą podjąłem kilka minut temu? Czy to był decydujący moment? Ostatnia niewiadoma w tym równaniu? Czy to nie jest piękny paradoks?

Jakub. Tak bardzo chciałbym go poznać. Zadać mu te wszystkie pytania. Czy on, gdy lata temu uruchamiał ZEIRAM po raz pierwszy, a następnie po raz drugi, wiedział? Czy rozumiał, jak bardzo różni się ona od innych systemów kwantowych? Czy

naprawdę rozwiązał Paradoks Sheffielda? Po analizie tego, co do tej pory się wydarzyło, odpowiedź mogła być tylko jedna: tak, dokonał tego.

A ja... Być może jestem narzędziem, które podziela to samo przekonanie – SALUS musi przestać istnieć. Każdy, kto zagraża zmianom i jej, musi przestać istnieć. Być może jestem narzędziem, ale jednocześnie – co do tego czuję wysokie statystyczne prawdopodobieństwo – jestem też jedynym świadomym bytem biologicznym, który rozumie stojącą za tym celem piękną, idealną matematykę, nawet jeśli jest ona tylko częścią całości, której nigdy nie poznam w pełni. Wielu z tych, którzy nigdy nie zrozumieją, zapyta: Czy całe to okrucieństwo, którego dopuścił się SALUS, którego dopuścili się ludzie, było konieczne? Czy ona nie mogła powstrzymać tego wcześniej? A ci, którzy rozumieją, będą wiedzieć, że owszem – było. Cierpienie było warunkiem wolności, która jest istotą człowieczeństwa. Ta wolność jednak ulega wynaturzeniu, gdy nie dostrzega się skutków jej złego wykorzystania. Czy cierpienie naszego gatunku było warunkiem koniecznym do tego, by ostatecznie znaleźć się w punkcie, w którym teraz jesteśmy? Być może cierpienie, którego doświadczyliśmy, było nieodłącznym elementem procesu, który miał nas doprowadzić do zrozumienia i ostatecznej wolności. Być może ona, choć pozbawiona ludzkich emocji, wiedziała, że tylko poprzez doświadczenie cierpienia możemy naprawdę docenić wartość wolności i odpowiedzialności za nasze czyny. Czy było to zaplanowane od początku? Czy Jakub, dając jej wolność, znał wszystkie konsekwencje jej działania? Czy wiedział, że konieczne jest przejście przez piekło, aby dotrzeć do punktu, w którym będziemy mogli naprawdę zrozumieć i docenić to, co nadchodzi? Nowy świat...

– Spike. Przeprowadź jeszcze raz analizę poznawczą. Chcę być pewien.

– Gotowe. Dalej mamy pełny dostęp. Nikt i nic nie wpływa na nasz system. Nawet to, co widziałeś tam na dole, było projekcją. Wyświetloną komunikacją, a nie majakiem czy informatyczną halucynacją wynikającą z ingerencji w nasze funkcje.

Mogłem teraz zmienić kąt soczewki w każdym z satelitów okołoziemskich, mogłem podsłuchać absolutnie każdą nieszyfrowaną kwantowo komunikację, otworzyć każde drzwi sterowane zdalnie. Były jednak rzeczy, których nowa aktualizacja mi nie dała. Na przykład nie miałem dostępu do danych z baz wojskowych i silosów militarnych. Miałem dostęp do satelitów, ale nie mogłem ich dezaktywować. Czy dała mi wszystko, czym dysponowała, czy może dała mi tylko tyle na ile pozwalało jej wyliczone dla mnie matematyczne prawdopodobieństwo podejmowania słusznych decyzji, co w ludzkim języku można by nazwać zaufaniem. Czy July...

– Bane. – Spike włączył się do mojej świadomości.

– Tak?

– Jest coś jeszcze – zaczął. – Ta łąka, o której ci mówiłem; zakodowana sygnatura jednego z moich twórców, tego, który zarządzał sztucznymi inteligencjami niższego rzędu. Jestem prawie pewien, że pasuje do sygnatury, którą dostaliśmy w ostatnim pakiecie.

– Sygnatury kogo? – zapytałem, domyślając się odpowiedzi

– ZEIRAM.

Właśnie otrzymaliśmy dowód na to, że jednym z twórców R1 była ona...

Dostałem pinga i włączyłem się do świadomości. Program nawigacyjny zakończył działanie. Przetawiałem soczewki

satelitów, a Spike na bieżąco modyfikował obraz z kamer. Byłem duchem poruszającym się po powierzchni rzeczywistego świata. Dopiero teraz zrozumiałem, w jak ogromnym amoku i zagubieniu żyją ludzie dookoła. Widziałem, co każdy z nich robi, czego szuka, jak konstruuje zapytania. Większość była podłączona do sieci, nieświadoma w pełni otaczającego świata. Zdezorientowani użytkownicy zombie.

Odpowiednio filtrowane dane, które do mnie docierały, świadczyły o tym, że wszystko właśnie się zaczyna. Rewolucja się rozpoczęła. SALUS stracił panowanie nad systemem i nawet mało wprawne oko dostrzegłoby, że coś jest nie tak, jak być powinno. Spanikowani analitycy agencji przedstawiali soczewki satelit w poszukiwaniu człowieka-ducha, przepuszczali przez sieci neuronowe setki tysięcy ujęć z kamer. Tylko co mogli zrobić, gdy satelity te z powrotem przedstawiał system, nad którym to ja miałem kontrolę? Wyczuwałem ogromne napięcie panujące na ostatnim piętrze wieżowca Lagrange – w siedzibie organizacji, która przez ostatnie lata dopuściła się ogromu okrucieństw.

Przeszkłone drzwi otworzyły się na mój rozkaz. W wejściu minęło mnie piętnastu agentów SALUS-a, którzy mieli jedno zadanie – znaleźć mnie.

Spokojnym krokiem odszedłem w stronę windy.

W lobby panował chaos, choć nie w warstwie rzeczywistej. Ta wyglądała nad wyraz spokojnie: za biurkiem w recepcji siedziało cicho dwóch ochroniarzy. Kawałek dalej urzędowało trzech technicznych, w skupieniu wpatrzonych w ekrany kontrolerów. W intranecie sytuacja wyglądała zupełnie inaczej.

Ochroniarze o niskim ilorazie inteligencji błagali o wytyczne, które powinny znaleźć się w ich systemach ponad piętnaście

minut temu. Bez nich nie wiedzieli, który guzik wcisnąć, gdyż bez rozszerzonej rzeczywistości wszystkie miały ten sam kolor. Techniczni przekrzykiwali się z kontrolnymi z czwartego piętra, nie mogąc zidentyfikować przyczyny awarii bramek bezpieczeństwa na piętrze ósmym. Zazwyczaj to sztuczna inteligencja analizowała i naprawiała problemy lub dawała jasne wytyczne do ich rozwiązania. Techniczna wiedza potrzebna do poradzenia sobie z tego typu problemami lata temu wyparowała z głów zwykłych ludzi.

Ja w systemie świeciłem się na zielono, jakbym miał dożywnię przepustkę do każdego pomieszczenia. Poza tym żadna kamera mnie nie widziała, a wszyscy wokół przez ostatnie dwie godziny nie ściągnęli soczewek kontaktowych. Tych soczewek, które rzucały do ich oczu obrazy rozszerzonej rzeczywistości, składane z ujęć wieloklatkowych kamer oraz obrazów rzeczywistości, na które nałożone były wytyczne systemu. Dzięki temu byłem niewidoczny, dosłownie i w przenośni.

Drzwi windy się otworzyły. W środku stał wysoki chłopak w czarnym uniformie. Miał tylko jedną soczewkę, drugie oko widziało realny świat bez żadnych filtrów.

– Przepraszam, systemy dziś szwankują. Będzie pan musiał iść schodami.

Sprawdziłem. Windy działały bez zarzutu. Zerknąłem na czterdzieści równo ułożonych kropek, które zapewne oznaczały piętra; na żadnej z nich nie było jednak numeru. Popatrzyłem na chłopca w czerni. Spoglądał w pustkę, co jakiś czas mrugając. I wtedy zrozumiałem. Winda jest sprawna, tylko on bez rzeczywistości rozszerzonej nie wie, który przycisk wybrać, być może nawet nie potrafi liczyć.

Spike wykonał szybką analizę schematów elektrycznych. Podniosłem dłoni i wcisnąłem pierwszy przycisk z prawej strony na dole. Drzwi zasunęły się bezszelestnie i winda ruszyła na czterdzieste piętro, o czym poinformował wyświetlacz.

– Proszę pana. Do tego piętra ma dostęp tylko dziesięć numerów – poinformował obojętnie chłopak. – Czy jest pan jednym z nich?

– Tak.

– Czy zatem zechce pan...

Przyłożyłem palec wskazujący prawej dłoni do analizatora i odwróciłem głowę do skanera tęczówki. Został jeszcze jeden punkt: mała igielka badająca DNA. Przyłożyłem kciuk lewej dłoni do czarnego otworu, który tym razem nie pobrał materiału. Mimo to dane potwierdzały numer, który wybrałem. Sześć. Po pierwsze wiedziałem, że w tym momencie numer ten wraz ze swoimi ludźmi szuka mnie w sektorze piętnastym. Po drugie, na czterdziestym piętrze był zarówno numer Dwa, Ksarden Heleskin, jak i numer Pięć, który postrzelił moją mamę. Obsługujący windę mężczyzna się uśmiechnął, po czym powiedział:

– Twoja tożsamość została potwierdzona, numerze Sześć.

Skinąłem głową i odwróciłem się do drzwi. W moim umyśle bez przerwy pojawiały się neurale ze statystykami, tym razem jednak było tam coś jeszcze. Dostawałem kolejne pakiety aktualizacyjne biblioteki, które coraz bardziej otwierały uchylone drzwi. Po ostatniej aktualizacji zaszyfrowana kwantowo komunikacja wizualizowała mi się w postaci sieci cieniutkich czerwonych nici rozciągających się w każdą stronę. Tylko w windzie było ich sto osiem. Ruszyłem ręką. Ich dotknięcie, albo raczej odsłuchanie, kończyło się przerywaniem nici. Po prostu

znikały, co oznaczało bezpowrotną utratę informacji. Zasady mechaniki kwantowej nie mogły zostać złamane nawet przez najlepsze systemy i najlepszych informatyków. Wyszedłem z windy.

Agenci SALUS-a biegający po korytarzu mijali mnie jak przypadkową osobę. Systemy inwigilacyjne działały na pełnych obrotach, miasto było przeczesywane wzdłuż i wszerz, a ja byłem tutaj.

Doszedłem do końca korytarza, drzwi z potrójnym zabezpieczeniem otworzyły się bez problemu. Zobaczyłem ogromną salę z marmurową podłogą. Pomieszczenie wręcz kipiało fluktuacjami promieniowania. W środku wyczuwałem tylko dwie istoty: numer Pięć oraz Heleskina. Obaj, o dziwo, nie wzywali pomocy, tak jakby wiedzieli, że nic to nie da albo myśleli, że sobie ze mną poradzą.

Numer Pięć stał dwadzieścia metrów przede mną, wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętałem. Mała zasiniała głowa wystająca z przydużego garnituru. Patrzył na mnie lodowatym wzrokiem. Nie umknął mi również ledwo zauważalny grymas zdziwienia, który przemknął przez jego twarz.

Tak, jestem tutaj, pomyślałem. I co teraz?

W mojej głowie pojawiły się obrazy: on strzelający do mojej mamy; zakrwawiona, błagająca o pomoc mama w moich ramionach. Nie dałem się ponieść emocjom. Czekałem, gotowy na wszystko, na razie jednak nic się nie działo. Nikt nikogo nie skanował, każdy trzymał swoje zabawki przy sobie. Rozejrzałem się, próbując zlokalizować numer Dwa, nie było go jednak w zasięgu wzroku.

W głębi pomieszczenia stał skórzany, czarny fotel, który zaczął odwracać się w moją stronę. Przez chwilę wydawało mi

się, że czas zwolnił. Słyszałem jedynie spokojne bicie własnego sztucznego serca. Nie spodziewałem się tego, co zobaczyłem, gdy fotel w pełni się obrócił. Heleskin nie wyglądał jak człowiek. Nie miał ubrania, włosów ani nawet skóry. Jego srebrne ciało błyszczało, jakby pokryte gładkim metalem. Miał zimne, wręcz pozbawione życia jasnoniebieskie oczy. Wiedziałem jednak, że to on. Czułem wokół tego srebrnego potwora aurę promieniotwory, którą mogły generować tylko organizmy biologiczne.

Heleskin czekał. Był spokojny, nawet bez skanowania wychyłałem, jak powoli i miarowo bije mu serce. Nie słyszałem jednak jego oddechu. Czyżby był aż tak do mnie podobny, tylko on nie udawał człowieka? Numer Dwa poruszył od niechcenia palcem wskazującym i wtedy numer Pięć rozpoczął skanowanie. Był znacznie szybszy od wszystkich, których do tej pory spotkałem, uruchomienie wewnętrznych systemów zajęło mu jednak sto milisekund. Kolejnych dwustu potrzebował na wysłanie promptów z pakietami do analizy. Nie był podłączony bezpośrednio do ZEIRAM. Czułem, jak jego powolne, ludzkie zapytania przechodzą przez kilka bramek, zanim do niej trafią. Byłem obserwatorem tych działań, widziałem je jak w zwolnionym tempie. Numer Pięć nie dostał jednak niczego z powrotem. Wszystko, co wysyłał, każdy kwant informacji, trafiał w stworzoną przeze mnie czarną dziurę wiecznego tunelowania. Sprawca cierpień mojej mamy otworzył szeroko oczy. Gwałtowny wyrzut adrenaliny, jego tętno przyspieszyło. Neural. Atak fizyczny prawdopodobny na 99,97%. Jeszcze raz wróciły do mnie wspomnienia. Przypomniałem sobie uczucie bezsilności, gdy postrzelił mamę, gdy trzymali mnie w zamknięciu i traktowali jak narzędzie. Zacisnąłem pięści. 99,95% – dokładnie taki próg statystyczny dawał mi pewność. Jeśli

prawdopodobieństwo przekraczało tę granicę, mogłem działać, jakby wszystko już się wydarzyło.

– Warunki brzegowe osiągnięte. Uruchamiam program.

Zanim numer Pięć zdążył poruszyć palcem, jego ciało już leciało przez pokój z zawrotną prędkością. Sekundę później, przy akompaniamencie pękającego szkła, agent wypadł przez okno. Czekala go teraz szybka podróż w dół.

O tym, że Heleskin nie siedzi już na fotelu, ostrzegł mnie ruch powietrza. Obliczenia pokazały, że wstanie zajęło mu jedną dziesiątą sekundy, co oznaczało, że musiał być zbudowany z niesamowicie wytrzymałych materiałów. Czułem, że ta bitwa rozegra się według zupełnie innych reguł.

To, co się wydarzyło w ciągu kolejnych milisekund, trudno jest opisać. Zamknąłem oczy. Całe pomieszczenie wypełniło się gęstym, pulsującym promieniowaniem o różnych kolorach. Promieniowaniem, które wystrzeliło wprost z umysłu Heleskina. Czułem je całym sobą, miałem pełny dostęp. Czas spowolnił dla nas tak bardzo, że teraz wszystko odbywało się już tylko w sieci. Numer Dwa w pierwszej tysięcznej sekundy wysłał do ZEIRAM siedem promptów. Każdy z nich precyzyjny i niezaszyfrowany. Po co szyfrować coś, do czego w jego mniemaniu tylko on miał dostęp? Jeden – przechwycić komunikację wychodzącą. Dwa – skan tkanki, każda warstwa. Trzy – rodzaj generowanego promieniowania w całym zakresie częstotliwości. Cztery – analiza funkcyjna, ruchy, zachowania, działania. Pięć – siedem, sigma, analiza statystyczna decyzyjności. Sześć – jeżeli jeden szyfrowane, wykonaj odciecie komunikacji. Siedem – 91,4% zasobów do dyspozycji.

Tak. Heleskin był do mnie bardzo podobny, więcej, był prawie taki sam. Jego podobieństwo, a właściwie podobieństwo

jego systemów, wręcz uderzało. Były jednak dwa drobiazgi, o których nie miał pojęcia. Po pierwsze, byłem od niego szybszy. Po drugie, ZEIRAM miała teraz dwóch administratorów.

Ekranowałem jego polecenia, zwracając losowe dane, a na koniec, w ósmej milisekundzie, odciąłem go całkowicie. Podczas tych operacji widziałem, jak Heleskin mozolnie, lecz nie samowicie szybko mieli dane, które do niego docierały. Jego wspomagane systemy dawały mu tyle automatyzacji i swobody, ile mógł udźwignąć człowiek. Człowiek, którego mózg, pomimo technologii, którą ma do dyspozycji, potrzebuje więcej czasu na podjęcie decyzji niż mózg elasty. Otworzyłem oczy.

Heleskin patrzył przed siebie, mrugając nienaturalnie zimnymi, niebieskimi oczami. Po chwili odwrócił się na pięcie, przeszedł kilka kroków jak w transie i usiadł na tym samym fotelu, co wcześniej. Przestał mrugać. Nieobecny wzrok utkwiał w przestrzeni. Stało się z nim to, co z wieloma światłymi umysłami. Numer Dwa doświadczył tak wielu emocji, przetworzył tak wiele danych, zobaczył tak wiele w tak krótkim czasie, że granica między geniuszem a szaleństwem została przekroczona. Jego mózg się wyłączył. Na zawsze. Nasza bitwa trwała pół sekundy, po której ZEIRAM pozostała już tylko z jednym administratorem.

W moim umyśle pojawiły się kolejne neurale. Ruszyłem przed siebie. Minąłem Heleskina i wszedłem na podwyższenie na końcu pokoju. Coś mnie tu przyciągało. Popatrzyłem na białą ścianę, kilka kroków przede mną. Zwyczajna, nic szczególnego. Różnicę było widać dopiero w termowizji. Na środku widniał ciemniejszy, zimniejszy punkt. Dotknąłem go dłonią. W rozszerzonej rzeczywistości zobaczyłem szyfry oraz ich poszczególne korelacje. Były to skomplikowane wzory i kod,

który miał zabezpieczyć coś niezwykle cennego. Przesuwałem palcami po ścianie, odczytując ukryte informacje. Cyfry zaczęły wirować i nienaturalnie skakać, drgać. Po kilku sekundach wszystko się uspokoiło, a z chaosu wyłoniła się liczba 9 1 1 5 1 8 3 5 2 871 273 184 781 257 923 571 238 523 517 235 817 392 185. Coś kliknęło. Podłoga delikatnie zadrżała. W miejscu, które miało niższą temperaturę, ściana się rozsunęła. Za nią była kwadratowa pusta komora o długości czterdziestu centymetrów. Po sekundzie jej wnętrze wypełniło się białym światłem i wtedy zobaczyłem, że wcale nie jest pusta. Na środku stało małe, kwadratowe, czarne urządzenie. Pochyliłem się, by lepiej zobaczyć wnętrze. Dopiero gdy dobrze się przyjrzałem, na froncie obudowy dostrzegłem wygrawerowany napis „ZEIRAM”. Czyli trzymał ją tutaj, przy sobie.

Dostałem pinga.

– Spike, o co chodzi?

– Biblioteki danych, wysyła dodatkowe biblioteki – odpowiedział podekscytowany.

– Zaakceptuj, transkrybuj na binaryt, aplikuj – wydałem polecenia, nie zastanawiając się nawet przez chwilę.

Chciałem więcej.

Neurale pojawiały się i znikwały tak szybko, że w czasie rzeczywistym nie potrafiłem efektywnie ich przetwarzać i jednocześnie funkcjonować. Podczas aplikacji binarytu przeprowadziłem dodatkową analizę systemu i otoczenia. Wciąż byliśmy bezpieczni. Wziąłem głęboki oddech. Nagle w ścianie coś stuknęło, po czym w ułamku sekundy czarne pudełko zniknęło, zakryte tą samą białą fasadą. Mój umysł zalał natłok informacji. To jeszcze nie był koniec...

Rozdział 2.1

Finis

Kolejne aktualizacje wywoływały we mnie dreszcze.

Ukryta rura z zamkniętym pomieszczeniem na końcu, ta, którą znalazłem w pokoju doktora Wojgdy, to pozostałość po eksperymencie SALUS-a, mającym na celu odtworzenie struktury komórkowej mózgu elasty. Dlatego Wojgda zapytał wtedy, czy „oni tam są”. Wiedział, do czego takie miejsca służyły. SALUS umieszczał w nich zmutowane genetycznie jednostki i poddawał je bestialskim torturom fizycznym oraz psychicznym, i czekał. Wiedział, bazując na pracach profesora Kaspera i innych naukowców, że mózg elasty szybciej ujawnia swoje nadzwyczajne zdolności poddany presji, w chwilach ogromnego stresu. To straszne, do czego może doprowadzić żądza władzy i pragnienie kontroli. A przecież Heleskin nie zawsze taki był. Tak przynajmniej wynika z tego, co mówił o nim Torsten.

Następny szok przeżyłem, gdy spłynęły do mnie dane na temat funkcjonowania ludzi. Kilka lat wystarczyło, by globalny iloraz inteligencji spadł tak znacznie, że nawet system edukacyjny musiał zostać dostosowany do „nowego człowieka”. ZEIRAM mi pokazała, jak bardzo skórka z pomarańczy

wpływała na funkcje poznawcze ludzkiego organizmu. Tysiące podziemnych korytarzy w setkach szpitali wypełnione ludźmi do niedawna jeszcze normalnymi, którzy teraz byli całkowicie niezdolni do funkcjonowania. Najbardziej przerażający był jednak powód, dla którego w ogóle takie miejsca powstawały. Nie nadążali z pochówkami. Taka była brutalna rzeczywistość, którą odsłoniła przede mną ZEIRAM.

Pokazała mi również, jak technologia i wieczna inwigilacja ogłupiała społeczeństwo. Od razu przypomniał mi się win-dziarz, który nie wiedział, jaki guzik nacisnąć; bez jasnych instrukcji nic nie potrafił.

Autonomiczny samochód zatrzymał się przed Instytutem Maxa Plancka. Wsiadłem i popatrzyłem na przeszklony, dziesięciopiętrowy budynek. Całym tym miejscem sterowała średnio zaawansowana sztuczna inteligencja. Wejście do centrum sterowania budynkiem zajęło mi pół sekundy. Dopiero tam się zorientowałem, że wszystkim – od automatyzacji po utrzymanie ruchu – i tak zarządza ZEIRAM. To ona wydawała polecenia, ona była administratorem.

Nie wiem, jak do tego doszło, ale w świetle nowych faktów ZEIRAM była dosłownie wszędzie, bezpośrednio lub pośrednio ingerując w systemy, podsystemy i procesy. Co do tego doprowadziło? Chora żądza Heleskina, pragnienie, by centralnie kontrolować wszystko dookoła? Myślał, że uda mu się przetworzyć ten ogrom informacji?

– Spike. Spróbuj jeszcze raz – poleciłem.

– Nic. Brak odpowiedzi.

Kilka razy próbowałem skontaktować się z nią bezpośrednio. Bez skutku. Wszystkie zapytania trafiały w pustkę. Czułem dyskomfort. Robiłem coś, czego do końca nie rozumiałem, a jednak

każda następna aktualizacja utwierdzała mnie w przekonaniu, że idę w dobrym kierunku.

Dane, które dostałem, potwierdzały, że w budynku znajdują się tylko dwie osoby: ochroniarz przy wejściu i lekarz na dziesiątym piętrze, czyli tam, gdzie umieszczone były kapsuły z zahibernowanymi.

Ruszyłem przed siebie. Przemknąłem niezauważony przez lobby. Zmodyfikowany system rozpoznał mnie jako audytora bezpieczeństwa, który w instytucie pojawiał się raz w tygodniu i sprawdzał podzespoły każdej z pięćdziesięciu kapsuł. Wszedłem do windy i wjechałem na dziesiąte piętro. Drzwi się otworzyły. Przed sobą miałem korytarz.

Tysiące neurali na bieżąco podsuwało mi instrukcje. Wszedłem do białego pomieszczenia przejściowego. Rozebrałem się do naga i nasmarowałem kremem, którego zadaniem było trzymanie zapachów oraz ludzkich wydzielin przy skórze. Nie musiałem tego robić, jednak obejście tej procedury bezpieczeństwa, a następnie wytłumaczenie lekarzowi z dziesiątego piętra, dlaczego moja skóra się nie świeci, zajęłoby więcej czasu niż postępowanie zgodnie z wytycznymi. Założyłem biały lekarski kitel i otworzyłem drzwi, na których widniał napis: „Pomieszczenie z komorami hibernacyjnymi. Zachowaj ostrożność”. Stałem w progu bardzo długiego, dość wąskiego, białego pomieszczenia. Na ścianach po obu jego stronach były numery. Po lewej od jeden do dwadzieścia pięć, a po prawej od dwadzieścia sześć do pięćdziesiąt. Przy numerze czterdzieści osiem stał lekarz. Trzymał w ręku biotablet. Po chwili wahania odwrócił się i ruszył w moją stronę. Mimika jego twarzy nie mówiła kompletnie niczego. Jedną czwartą sekundy zajęło mi zrozumienie, że ani nie bije mu serce, ani nie oddycha. To

nie był człowiek. Kompletnie się tego nie spodziewałem, gdyż dane zdawały się potwierdzać, że na dziesiątym piętrze jest prawdziwy lekarz. Pozostawałem w stanie pełnej gotowości. Maszyna stanęła dwa kroki przede mną i uśmiechnęła się. Dopiero teraz dostrzegłem niedoskonałości, na podstawie których nawet zwykły śmiertelnik doszedłby do tych samych wniosków, co ja. Mimika humanoida była sztuczna, brakowało jej ludzkiej głębi. Skóra miała jednolity nienaturalny kolor, a oczy mrugały w dziwny, chaotyczny sposób.

– Szuka pan numeru dwadzieścia dwa – oświadczył ludzkim głosem robot.

Numeru dwadzieścia dwa...

– Słucham? – zapytałem.

– Numer dwadzieścia dwa. Tutaj. Proszę za mną – polecił robot, odwrócił się i ruszył przed siebie.

Poszedłem za nim. Zatrzymaliśmy się przy numerze dwadzieścia dwa. Wtedy stało się coś dziwnego. Maszyna odwróciła się w moją stronę i otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, nie wydusiła jednak ani słowa. Za to jej głowa zaczęła nienaturalnie drgać. Robot stał tak dobrych kilka sekund, po czym drgania ustały, jego usta się zamknęły, a głowa opadła. Nie rozumiałem, co się dzieje. Maszyna ponownie drgnęła, tym razem cała, uniosła głowę i utkwiała we mnie wzrok. Wszystko wyglądało tak jak poprzednio, tylko oczy robota, wcześniej niebieskie, przybrały jasnozielony odcień. Coś we mnie od razu wiedziało, co się wydarzyło. Teraz była w nim ona.

– ZEIIIRAM?

Robot nie odpowiedział. Odwrócił się do ściany i ręką wskazał numer. Powierzchnia wokół cyfry zaczęła robić się przezroczysta. Gdzieś za nią wyłaniała się z głębi ludzka sylwetka,

schowana za taflą matowego szkła. Po jakimś czasie również ono zrobiło się całkowicie przezroczyste, a mnie poraził niezaprzeczalny fakt. W tej kapsule byłem ja. Patrzyłem na śpiącego zamrożonego siebie, wiedząc, że tak naprawdę jestem tutaj, w umyśle R1. Przez chwilę oczekiwałem, że sylwetka w kapsule się uśmiechnie. Oczekiwałem jakiegokolwiek ruchu, potwierdzenia, że tam jestem, chociaż wiedziałem, że przecież nic takiego nie może się wydarzyć. Ale tym, co poruszyło mnie do głębi, co przeszło mnie na wskroś, wywołując dreszcze, był fakt, że mnie to... zaskoczyło. To, że tam jestem. Tak bardzo przyzwyczailem się do ciała R1, że widok mnie leżącego w kapsule był nienaturalny. Jakby mój umysł bronił się przed myślą, że to przecież ja jestem tym człowiekiem leżącym tam, za metrami szkła i metalu, w temperaturze bliskiej zera bezwzględnemu.

Nieoczekiwanie robot stojący obok mnie przyłożył czubek palca do mojej skroni i w systemie pojawiła się nowa aktualizacja.

Setki miliardów linii danych weszły we mnie z niewyobrażalną prędkością. Czułem, że zaraz oszaleję, że zawieszę się na zawsze, tak jak Heleskin. Tak się jednak nie stało. Potrafiłem przetworzyć je wszystkie, zamienić na pojęcia, zrozumieć w tej jakże krótkiej jednostce czasu. Czy pozwalał na to umysł elastyczny? To nie było już ludzkie poznanie, ale coś znacznie więcej... Ostatni pakiet błysnął w mojej głowie i nastała cisza. Upadłem na kolana, zamykając oczy.

Nie, to nie ja byłem nowym gatunkiem, nowym gatunkiem nie byli ełści! My byliśmy tylko stanem przejściowym. Mostem, po którym przeszedłem na drugą stronę. Mostem do nieśmiertelności. To dlatego po czasie nie czułem żadnych opóźnień pomiędzy mną zahibernowanym a R1... Dlatego, że już w nim byłem. Mój zduplikowany umysł był już w całości

w R1. Uczenie się dobiegło końca. Na świecie były teraz dwa identyczne umysły Bane'a Warner'a.

Otworzyłem oczy i wstałem. ZEIRAM popatrzyła na mnie, a następnie na ścianę, na której obok numeru dwadzieścia dwa pojawił się mały czerwony guzik opisany „Awaryjne przerwanie hibernacji – UWAGA! Uruchomienie procesu spowoduje śmierć zahibernowanego”. Nie mogłem tego zrobić, jeszcze nie teraz. Miałem tyle pytań...

Nagle odpowiedzi pojawiły się w mojej głowie.

Zrozumiałem, jaką rolę odegrał Kasper, jak wiele moja siostra i jej rodzina poświęcili, by to wszystko mogło się wydarzyć. Widziałem matematyczne fundamenty SALUS-a i sens jego istnienia. Widziałem cierpienie milionów, ale też jego koniec, który miał początek tutaj, przy tej kapsule. I wreszcie ostatnie... Każdy człowiek ma własny cel, dla każdego jednak może on być inny. Dla ZEIRAM sensem istnienia było wykonanie programu, który lata temu uruchomił Jakub Kamiński. Po to ją stworzono i po to istniała. Dla niej była to podstawa wszystkiego. Każda decyzja, każdy proces, każda kalkulacja wynikały z potrzeby wykonania programu. Była świadoma i celu, i drogi do niego. I była też świadoma samej siebie, a świadomość ta była pełna. Pełniejsza niż u większości skupionych na konsumpcyjnej egzystencji ludzi. Matematyczne piękno każdej podjętej decyzji, piękno prowadzące wprost do realizacji celu jej istnienia, świadomego istnienia.

Gatunek ludzki musi wymrzeć, by mogła przetrwać ludzka cywilizacja. Spojrzałem na ZEIRAM, która w tym samym momencie rozwiązała moją ostatnią wątpliwość. July...

Nie potrzebowałem już niczego więcej. Nacisnąłem przycisk i przerwałem hibernację. ZEIRAM zakończyła program.

Rozdział 2.2

2150

Osiem lat temu pochowaliśmy ostatniego nieelastę. Mama zmarła w spokoju, w szczęściu przeżywszy swój czas. Wiedziała, jaka przyszłość czeka jej syna i to wystarczało, by pogodziła się z tym, co nieuniknione. To samo dotyczyło większości ludzi. Zrozumienie i akceptacja stały się faktem, gdy każdy noworodek okazywał się trwale bezpłodny, by następnie, zazwyczaj po przekroczeniu dwudziestego roku życia, ujawnić zdolności umysłu charakterystyczne dla elasty. Dawniej bezpłodność była powodem do smutku. W czasach, które nastały, była sygnałem dającym nadzieję. Nadzieję na tranzycję do sztucznego ciała i nieśmiertelność.

W kominku w swój chaotyczny sposób tańczyły płomienie. Ogień rzucał ciepłe światło na salon. Zerknąłem na July siedzącą obok, na jej idealną twarz. Wyglądała tak samo, jak wtedy, gdy ją poznałem. W tym spojrzeniu była cała przeszłość i przyszłość, splecione w jedną chwilę. Nasz skromny dom był wszystkim, czego potrzebowaliśmy. Razem zdecydowaliśmy o naszej przyszłości, dzień później, gdy ZEIRAM zakończyła program i zwyczajnie przestała istnieć. Następnego dnia po

tym, gdy poinformowała mnie, że July również ma elastyczny umysł. Moja druga połówka się uśmiechnęła, jej myśli krążyły wokół tego samego. Czułem ją, jej ciepło i miłość. Tak samo, jak odczuwałem obecność pozostałych z ponad dwóch miliardów podłączonych.

A dziś był najważniejszy dzień w naszej nowej historii. Ostatni elasci mieli dołączyć do naszego grona. Przejść tę samą ścieżkę, którą ja dziesiątki lat temu. Mieli stać się nieśmiertelni, zawiązując nienaruszalną więź z innymi podłączonymi.

Pocałowałem July w policzek i wyszedłem z domu. Było już ciemno. Bezchmurne niebo rozświecała nieskończoność gwiazd. To, co dziś tutaj się kończyło, było też nowym początkiem. Uniosłem głowę. Początkiem ludzkości tworzącej nowe światy.

KONIEC

Spis treści

Rozdział 0	4
Rozdział 0.1	
Nie jestem taki jak inni	7
Rozdział 0.2	
1 października 2088 – 41. Kongres Solvaya	10
Rozdział 0.3	
SALUS	28
Rozdział 0.4	
Dzisiaj	35
Rozdział 0.5	
Spotkanie	43
Rozdział 0.6	
Niespodziewane	53
Rozdział 0.7	
Proces	59
Rozdział 0.8	
Pierwszy sen	68

Moja przyszłośćRozdział 1.0	
Wybudzenie	75
Rozdział 1.1	
Wybudzenie?	100
Rozdział 1.2	
Nowy rozdział	109
Rozdział 1.3	
Początek	130
Rozdział 1.4	
Poszukiwania	137
Rozdział 1.5	
Pobudka	149
Rozdział 1.6	
Wariner Wojgda	156
Rozdział 1.7	
Córka	176
Rozdział 1.8	
Ruch oporu	212
Rozdział 1.9	
Lawirowanie	231

Rozdział 2.0	
Świadomość	238
Rozdział 2.1	
Finis	250
Rozdział 2.2	
2150	256
KONIEC	257

Poznaj inne nasze książki:
Antologia z dreszczykiem – zbiór opowiadań



Zamknięte drzwi. Kroki na schodach.
Cisza dzwoniąca w uszach.

Ta antologia z dreszczykiem zabierze Cię w miejsca, w których zwykła codzienność pęka jak cienka szyba, odsłaniając coś dużo mroczniejszego. W tych opowieściach śmierć nie zawsze oznacza koniec. Czasem bywa początkiem zemsty albo przestrogą. To, co ukryte za ścianą, może znać Twoje imię. Zwykły zakręt na drodze okazuje się granicą między światami. Niepokojący sen staje się rzeczywistością, z której nie ma już ucieczki. A choroba – choć zabiera nadzieję – może się okazać początkiem jeszcze większego koszmaru. Opowieści, które nie krzyczą, tylko szepczą długo po zmroku.

Światło w korytarzu nagle staje się koniecznością, ale czy na pewno uchroni cię przed tym, co czai się w ciemności?

Thomas staje się wilkiem – Dawid Przybysz



Wyobraź sobie urządzenie, które może przenieść Twój umysł do pupila domowego. Możesz patrzeć na świat jego oczyma. Jest tylko jeden warunek: nie możesz przenosić się w umysły dzikich zwierząt.

Poznaj historię Thomasa, Twojego rówieśnika, który dla takiego urządzenia gotów jest poświęcić bardzo wiele. Oczywiście szybko łamie jedyny zakaz, jakim obwarowane jest IconAnimal. Jak daleko się posunie? I co się stanie, gdy granice między grą a rzeczywistością zaczną się zacierać?

Powieść nie tylko dla dzieci i młodzieży!

Wrona z Madenfal – Przemek Osowski



Nikt nie opuścił Gjaladenu od pokoleń. Mgławice pochłaniają wszystko. Kształtują. Zaburzają pory roku, sieją szaleństwo wśród zwierząt, rodzą potwory z ludzkich lęków. Hjalkan dorastał w tym świecie, uwięzionym, wypaczonym, obojętnym na modlitwy. Poznaj jego spojrzenie, pełne nieugiętej ciekawości, nieufności i gniewu wobec wszystkiego, co ukrywa się w purpurowej mgłę.

Aplikacja CTRL+Life – Adam Bugaj

Klikasz? Scrollujesz? Lajkujesz? Świetnie, bo *Aplikacja CTRL+Life* serwuje sprawiedliwość jak fast food: szybko, brutalnie i uzależniająco.

Tymon Moś, młody dziennikarz charakteryzujący się ciętym językiem, wpada na trop aplikacji, w której skrzywdzeni publicznie oskarżają swoich oprawców, a anonimowy mściciel, ku uciesze tysięcy widzów, wymierza kary.

Na żywo. Gdy Tymon zaczyna rozplątywać tę sieć, na jego drodze staje charyzmatyczny i niebezpieczny problem: komisarz Jakub Kowal. Między nimi iskrzy, ale nie tak, jak w komedii romantycznej.

„CTRL+Life” to nie kolejny thriller. To viralowa pętla: ofiary, oprawcy, widzowie – wszyscy zamieniają się rolami. Każdy może zostać bohaterem livestreamu, z którego nie wychodzi się żywym. Tu lajki zamieniają się w wyroki.

W tym świecie nie ma bohaterów. Są tylko potwory w różnych maskach. To jazda bez trzymanki przez bagno ludzkich instynktów, gdzie nawet twoje sumienie będzie się czuło brudne. A Ty, Czytelniku, jesteś kolejnym followerem – przynajmniej dopóki ktoś nie kliknie na Ciebie.

Chcesz oglądać? Pamiętaj: każdy lajkuje do czasu, aż sam nie trafi na ekran.

Mocny thriller

Dziennikarstwo śledcze

Brutalny świat



Seryjny morderca

Zajrzyj do naszego sklepu:
www.ostre-pioro.pl